

Tadeusz KostECKI

Książka Audio

WAZA Z EPOKI MING



MOZAKA
AUDIOBOOKS

TADEUSZ KOSTECKI

WAZA Z EPOKI

MING

Pentham przełknął całkiem brzydkie słowo cisnące się na wargi. Gryząc cybuszek krótkiej fajki z ukosa patrzył na rozłożone karty. Z taką nędzotą licytować szlemika? Dopust boży w postaci Lindsaya jako partnera był dziś cięższy niż kiedykolwiek. Nie chodziło o wynik pieniężny, nie znosił jednak porażek. A w tym wypadku o zrobieniu gry nie było mowy.

Doktor Really tarł koniuszek nosa zgiętym palcem. Rzeczywiście, ten cały Lindsay gra coraz gorzej. Cóż z tego, że teraz jest przeciwnikiem? W następnej turze będzie znów odpowiadać za jego błędy ryzykując własną kieszenią. A doktor jest okropnie czuły w sprawie kieszeni. Wszyscy to zresztą wiedzą.

Drewniana twarz sir Rismonda nie wyrażała żadnych uczuć. W głębi duszy był jednak zadowolony: Lindsay z każdym kwadransiem coraz więcej gadał i mniej uważał. A kwarantannę gry z nim miał już poza sobą. Szanse dwa do jednego nie wyglądały ostatecznie najgorzej.

Lindsay poczuł przez skórę, że jednak coś nie jest w porządku.

- Czy uważasz, że trochę przeholowałem? - spojrzał niepewnie na partnera. -

Przecież myślałem...

- Właśnie - przerwał Pentham z zabójczą uprzejmością. - Myślałeś. Nawet karty świadczą o tym, że myślałeś!

Lindsay zrezygnował z obrony i zaczął znowu coś opowiadać. To był jego stały zwyczaj. Trudno zresztą powiedzieć, by partnerzy specjalnie się nim zachwycali. Karty

padały z suchym szelestem na sukno.

- Bez pięciu - doktor z trudem ukrywał triumf. - Z kontrą i po partii to będzie...

Lindsay nagle coś sobie przypomniał.

- Ach prawda! Chciałem cię o coś zapytać jeszcze wieczorem, tylko mi z głowy wywietrzało...

Pentham rozmyślał z pewnego rodzaju przerażeniem o następnej rozgrywce.

- Hm! - Skwitował chrząknięciem odezwane partnera. - To ci się pewnie zdarzyło nie po raz pierwszy od urodzenia?

Lindsay nie zareagował na oczywistą prowokację. Zbyt był pochłonięty przedsmakiem sensacji, jaką miał wywołać.

- Chciałbyś może nabyć wazę z epoki Ming? Pentham oderwał wzrok od zielonego sukna.

- Wazę z epoki Ming?

- Tak. Półtora metra wysokości. Cudownie zachowany egzemplarz.

Pentham słuchał z rosnącym zaciekawieniem. Od paru lat zbieranie starej porcelany stało się jego pasją. Miał już sporo cennych okazów. Ale waza z epoki Ming? Nie, do tej klasy zbieraczy nie dorósł.

- Ba - westchnął - pewnie żebym chciał. Niestety, to nie na moją kieszeń.

- Tak - powiedział Lindsay - rzeczywiście. Chcą za nią cały majątek. Okrągłe tysiąc funtów, ale...

Pentham wytrzeszczył oczy.

- Co? Tysiąc funtów? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Właśnie. Od razu pomyślałem, że to nonsens wydać tyle pieniędzy na starą skorupę, choćby nie wiem jak była piękna...

- Ależ, człowieku! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jaką wartość przedstawia porcelana, o której mówiłeś? Chyba chcą dziesięć tysięcy?

- Ależ nie! Tysiąc. Z całą pewnością.

- I ktoś to ją sprzedaje?

- Przepraszam - wtrącił słodko doktor Really - gramy w brydża, czy dyskutujemy o porcelanie?

Doktor nie zdradzał najmniejszego zainteresowania porcelaną. Sir Rismond zresztą także.

Pentham chcąc nie chcąc musiał wziąć karty do ręki. Pomimo wysiłku nie mógł jednak skupić uwagi na kombinacjach brydżowych. Waza z epoki Ming za tysiąc funtów? Jeżeli Lindsay nie pokręcił czegoś, w takim razie... Z prawdziwą ulgą powitał zakończenie gry. Tym razem nie interesował go triumf przeciwników, którzy olbrzymim zapisem zakończyli robra.

- Więc kto sprzedaje tę wazę? - rzucił od niechcenia.

Lindsay odłożył krede.

- Sir Gordon z Ricewood.

Pentham zamyślił się. Nazwisko nic mu nie mówiło.

- Ricewood? - powtórzył. - A gdzie to jest? Lindsay wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Czyba nie będzie go trudno znaleźć. Przecież to ten Gordon, prezes Trustu Stalowego...

- Oho! - Doktor Really nagle zamrugał oczami. Porcelana wprawdzie nie obchodziła go ani trochę, jeżeli jednak chodziło o Trust Stalowy, sprawa wyglądała inaczej. Pocierał w zamyśleniu nos. - Hm... Czy - spojrzął spod oka na Penthama - rzeczywiście uważa pan, pułkowniku, że cena tej wazy jest niewspółmierna w stosunku

do jej wartości?”

- Oczywiście - powiedział Pentham. - Jeżeli jest autentyczna i taka, jak ją opisał

Lindsay, musi być warta kilkakrotnie więcej.

Doktor nie przestawał pocierać nosa.

- W takim razie dlaczego sprzedaje ją tak tanio? Pentham zadawał sobie w duchu to samo pytanie.

- Albo nie zna jej pełnej wartości...

- Sir Percy Gordon? - Doktor przygryzł wargi i nawet tego nie zauważył - to jeden z największych zbieraczy.

- Albo potrzebuje na gwałt gotówki...

...Otóż to - pomyślał żałośnie doktor. - Prezes Trustu Stalowego potrzebuje na gwałt gotówki... Ładna historia. Pokażny pakiet akcji Trustu Stalowego stanowił właśnie podstawę egzystencji doktora. Nic więc dziwnego, że myśli jego przybrały zabarwienie pesymistyczne, nie zdradził się jednak ani słowem.

Doszedł do wniosku, że tu trzeba działać i to natychmiast.

Do tego samego wniosku doszedł i Pentham przysłuchując się dalszym słowom Lindsaya. Lindsay napomknął coś o Mac Cormicku. Dziś właśnie do specjalnie szczęśliwych zdarzeń losu należało zaliczyć fakt, że Mac Cormick nie przyszedł akurat tej nocy do klubu. Za to jutro przyjdzie na pewno i wtedy...

II

Radca królewski Wimblow był nie tyle śpiący, co znudzony. Toteż z całą gotowością służył Penthamowi informacjami..

- Ależ tak, pułkowniku - odłożył płachtę „Timesa”. - Nie byłem tam wprawdzie osobiście, za to słyszałem mnóstwo opowiadań. Ricewood jest czymś w rodzaju

osobliwości narodowej. Niech pan pomyśli: podzwrotnikowa dżungla w sercu Anglii! Sir Gordon wydał podobno setki tysięcy funtów, by zaaklimatyzować niektóre gatunki egzotycznych roślin. I co ciekawsze, udało mu się. Jakieś dwadzieścia pięć lat temu, gdy po raz pierwszy zaprosił gości do Gordon's Hill - tak się nazywa jego rezydencja - było o tym głośno w całym kraju. Teraz ludzie zapomnieli o tym. Ostatnio sir Gordon jakoś stronił od towarzystwa.

- A gdzie leży to cudo natury?

- Hm - radca królewski obserwował koniec swego cygara, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź - prawdę powiedziawszy nie wiem dokładnie. W każdym razie gdzieś na południu. Dwieście, czy trzysta mil od Londynu. Doskonała szosa...

Przynajmniej była taką w swoim czasie.

W tej chwili makler giełdowy Harlow podbiegł do telefonu, którego jazgotliwy alarm rozdarł nocną ciszę.

- Halo! - zaryczał wściekle. - Co to u diabła za kawały, żeby człowieka budzić po nocy? Ja...

Gdy usłyszał dalsze słowa, wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Co? - niemal krzyknął. - Zlecenie giełdowe o tej porze? Pan chyba... Zresztą proszę do mnie zatelefonować rano...

Miał już zamiar odłożyć słuchawkę, jednakże energiczny głos, atakujący membranę, powstrzymał go w ostatniej chwili. Dopiero teraz poznał rozmówcę.

- Tak - wytrzeźwiał cokolwiek z oparów snu. To jeden z najpoważniejszych klientów. Nie miał najmniejszej ochoty go stracić. - Ależ panie doktorze - próbował perswadować znacznie łagodniejszym tonem - przecież dopiero piąta i...

Doktor Really przerwał mu bezceremonialnie. Nie zwykł się bawić w delikatności,

gdy chodziło o sprawy finansowe.

- Gdybym się chciał dowiedzieć, która godzina, zadzwoniłbym do zegarynki, a nie do pana. Proszę zanotować zlecenie!

Harlow stłumił westchnienie, nie mógł jednak stłumić ziewania. Dłuższa chwila minęła zanim zdołał odszukać blok i ołówek. Głos doktora zdradzał wyraźne zniecierpliwienie:

- A więc...

Harlow pisał posłusznie. Nagle ołówek zawisł w powietrzu:

- Co? - przerwał dyktującemu. - Chyba źle zrozumiałem?

- Dobrze pan zrozumiał - warknęła słuchawka - i...

- Ależ... ale to przecież cały pakiet... - jęknął makler.

- Niech się pan nie bawi w jasnowidza, dobrze?

- zaproponował sarkastycznie doktor. - Chyba dyktuję zupełnie wyraźnie?

- Jednak puszczenie takiej ilości akcji jednocześnie musi obniżyć kurs. Może puścimy je mniejszymi partiami i wówczas...

- Nie. Sprzeda je pan od razu. I to zaraz po otwarciu giełdy!

- Bez względu na straty?

- Bez względu!

Z Harlowa opadły resztki senności. Zlecenie zaczynało być mocno sensacyjne.

- Po jakim najniższym kursie?

- Po każdym, jaki pan zdoła osiągnąć! Harlow przez pewien czas obserwował bezmyślnie odłożoną słuchawkę.

- Fiuuu - gwizdnął wreszcie przeciągle. - To takie buty? Po każdym kursie? A więc

Trust Stalowy... Doktor Really uchodził w City za tęgiego finansistę. Tak, tego nie

można lekceważyć. - Łyknął kieliszek whisky - all right...

Sięgnął zdecydowanym ruchem znowu po słuchawkę. Piąta nie piąta. Trudno.

Pieczone gołąbki ani rusz same nie... Wiedział, kogo należy ściągnąć z łóżka, by wydusić z rozmowy pokaźną porcję funtów. Telefon zaczął pracować.

W momencie, gdy doktor Really zakończył rozmowę, od drewnianej ścianki rozmównicy oderwał się jakiś cień, znikając bezszelestnie w załomie korytarza. Zaraz po tym w kabynie telefonicznej w hallu klubowym zapłonęła lampka. Tym razem głos, który odezwał się w słuchawce, nie miał w sobie ani śladu senności.

- Tak - zdawał krótko raport - w porządku. Trzeba jeszcze... - słowa rozkazu brzmiały wyraźnie i bezapelacyjnie. Po skończonej rozmowie ktoś na drugim końcu przewodu westchnął ni to z ulgą, ni to z obawą. A może z jednym i drugim uczuciem jednocześnie.

Zaczęło się... Karty zostały rzucone.

* * *

Pentham klął w żywy kamień niewinny rozkład jazdy.

- Psiakrew! Co za porządki! Tylko dwa pociągi na dobę? Po prostu skandal. I żeby taki milioner... Dobrze Wimblowowi zachwycać się szosą. - Pentham nie miał własnego samochodu. - Wynajmować na trzysta mil? Ani mowy!

Zegar w bibliotece klubowej wydzwonił wpół do szóstej. Pentham odłożył rozkład.

Pierwszy pociąg odchodził za niecałą godzinę. Ledwo zdążył się przebrać i coś niecoś zabrać na drogę. A czekać na popołudniowy? Nie, lepiej nie. Lindsay wieczorem oczywiście wyśpiewa Mac Cormickowi o wazie. A ten nie będzie się bawił w rozkłady jazdy. Jego wielocylindrowy wóz połknie te trzysta czy ileś tam mil jednym haustem. Konkurencja Cormicka w razie ewentualnego licytowania się o wazę nie pozostawiała

najmniejszych szans. Bo Cormick był potęgą finansową. I to nie tylko w porównaniu z Penthamem. Poza tym namiętnie miłował chińską porcelanę. Więc jedyną szansę stanowiło te kilkanaście godzin wyprzedzenia.

Gdy Pentham wsiadł do taksówki, mrok rzedniał powoli na ulicach miasta. We wnękach bram było jeszcze zupełnie ciemno. Tak ciemno, że przytulona mocno do muru sylwetka ludzka nie różniła się od jednostajnego tła. Dopóki czerwone światelko taksówki było widoczne, we wnęce panował niczym niezmacony bezruch. Dopiero gdy znikło, szara sylwetka zaledwie widoczna w mroku pobiegła do najbliższego automatu telefonicznego. Bo ten, kto wydawał rozkazy, nie znosił opieszałości. Ani nieostrożności. I potrafił wzbudzać w swych ludziach bezwzględny posłuch.

III

Pentham spojrział na zegarek i odetchnął z ulgą. Teraz na pewno zdąży. Przestał go irytować sapiący motor samochodu i jego żółwie tempo. Co tam, jeszcze kilkaset metrów...

Wyciągnął się na sfatygowanych sprężynach. Gorączkowe tempo przygotowań do podróży trochę go rozkleiło. Przez te kilka lat zasiedział się na miejscu. Przyzwyczał się do wygod. Zardzewiał. Rzucił okiem przez zamazane szyby. Skręcili właśnie w Kingston Road. Jeszcze minutę i będą na dworcu. Zaczął obmacywać kieszenie, szukając fajki. Nie byłby taki spokojny, gdyby znał treść pewnej rozmowy i pewnej transakcji. Gdyby wiedział, że los jego podróży został przesądzony przez kogo innego. I to przesądzony w zupełnie odmienny sposób. Ale nie wiedział...

- Psiakrew - zapuścił palce w którąś tam z rzędu kieszeń podróźnej kurtki - gdzie ta przeklęta fajka?

Nagły wstrząs o mało nie zrzucił go z siedzenia. Cienko zabrzączały szyby.

Spóźnione jazgotanie klaksonów i zgrzyt hamulców. Pentham podskoczył. Kraksa.

Szarpnął drzwiczki i wsunąwszy w rękę klnącego szofera banknot chciał biec w kierunku dworca. Nie miał zbyt wiele czasu do stracenia. Niespodziewana przeszkoda zatrzymała go w miejscu. Srebrne guziki na niebieskim tle. Pasiasty mankiet. Szczelnie opięty na korpulentnych kształtach mundur. Policjant.

- Przepraszam - Pentham chciał go wyminąć. Automatyczny ołówek na kształt semafora zaznaczył zamknięcie drogi.

- Przepraszam - powtórzył Pentham. - Proszę mnie przepuścić. Spieszę się na pociąg.

Ale policjant nie chciał przeprosin. Chciał czegoś bardziej konkretnego.

- Pan był świadkiem zderzenia, sir?

- Nie, nic nie widziałem!

W tej chwili szofer drugiego samochodu przestał się wyklócać ze swoim przeciwnikiem.

- Jak to nie? Właśnie w momencie, gdy ten patałach najechał na mnie, pasażer wyglądał przez okno. Musiał dokładnie widzieć cały przebieg hm... katastrofy - ostatnie słowo wymówił ze specjalną emfazą. - Najlepszy mój świadek.

Nie pomogły perswazje ani pokazywanie legitymacji. Policjant był nieugięty jak skała. Imię, nazwisko, adres, imiona rodziców i tak dalej. Automatyczny ołówek biegł niestrudzenie po kartkach pokaźnej objętości notesu. Pentham miał pecha. Natrafił na służbistę, który niczego nie chciał zrozumieć. Musiał urzędować i czynił to z niewzruszoną powagą.

Pentham raz po raz zerkał na zegarek. Wskazówki biegły naprzód z nieubłaganą konsekwencją. Wreszcie zostały tylko dwie minuty. Policjant urzędował w najlepsze i

nie nie wskazywało na to, by miał zamiar kończyć. Coraz głębiej wdawał się w rozstrząsanie rodowodu Penthama. Ten w końcu nie wytrzymał.

- Czy pan nie może zrozumieć, do cholery, że mi pociąg ucieknie sprzed nosa? - warknął napastliwie.

W wodnistych oczach policjanta zamigotały niebezpieczne ogniki.

- Czy pan chce, bym mu wytoczył sprawę o obrazę urzędnika, co?

Pentham przygryzł wargi. Tak, wyglądało że to zrobi. A to jeszcze bardziej skomplikowałoby sprawę. Minęły czasy, gdy mógł się z niczym nie liczyć. Teraz był zwykłym, szarym obywatelem. Emerytowany pułkownik Reginald Pentham to przecież niewiele znaczy. A zresztą, nawet w tych czasach, gdy brał udział w „wielkiej grze”, mądrurowa policja nieraz wchodziła mu w paradę.

Gdy zziajany przybiegł na dworzec, dowiedział się, że pociąg właśnie przed pięcioma minutami odszedł. Następny był za pięć godzin. Diabli nadali. Najdalej za trzynaście godzin Lindsay dopadnie w klubie Mac Cormicka. I wypaple o wazie. A wówczas potężny motor samochodu Cormicka pokaże do czego jest zdolny. Strzepnął palcami. Pech...

Gdyby wiedział, co postanowili ludzie, których istnienia nawet się nie domyślał, nie wspominałby o pechu. I zastanowiłby się głębiej nad wyruszeniem w tę podróż.

* * *

Człowiek w mundurze szofera kończył właśnie oględziny uszkodzonego samochodu. Zgięty błotnik i rozbity reflektor. No i w paru miejscach porysowany lakier. Wszystko razem bagatela. Najwyżej dwa funty. Był dumny, że poszło tak gładko. Mogło być dużo gorzej. Ale przecież i dwa funty to sporo pieniędzy.

Szczególnie dla człowieka, którego jedynym zarobkiem jest prowadzenie publicznej

taksówki. Nie wyglądał jednak na zgnębionego. Raczej przeciwnie. Z najbliższego automatu zatelefonował pod pewien numer. Powiedział tylko parę słów. Wystarczyły one jednak, by ktoś komuś przekazał jedno jedyne słowo: „załatwione”. Szofer zadzwonił z kolei pod jeszcze inny numer. Z tym jednak rozmawiał o wiele dłużej. Nic dziwnego: rozmawiał z dziewczyną. Ze swoją dziewczyną.

- Wiesz Mary, kupię ci sukienkę, jaką się tak zachwycałaś u Wolwortha!

Ale dziewczyna dbała bardzo o moralność swego chłopca.

- Skąd wzięłaś tyle pieniędzy? Szofer się zmieszał.

- Bo, widzisz, miałem małą katastrofę i...

- Katastrofę? I stąd pieniądze? - Nie, tego Mary nie mogła w żaden sposób zrozumieć.

Szofer za to rozumiał doskonale. Tyle tylko, że z pewnych względów nie miał prawa jej tego tłumaczyć.

IV

Wagony obdrapane. Wytarty plusz obić. Wszystko brzęczało i jęczało przy każdym obrocie kół, jakby lada chwila miało się rozpaść w bezkształtną kupę żelastwa.

Pentham z nienawistnym wstrętem oglądał nowo nabytą fajkę. Świństwo nie fajka.

Oto są skutki kupowania w nieznanym sklepie. Firma na fajce niby pierwszorzędna.

Cena też odpowiednia. A wszystko razem ordynarne oszustwo. Gdy pierwszy raz pociągnął, myślał, że zwymiotuje. Gorzkie i śmierdzi. Miał nadzieję, że się wypali.

Gdzie tam! Za drugim razem było jeszcze gorzej. Nic, tylko pluć. A jego własną fajkę gdzieś diabli wzięli. Czy wypadła wtedy w taksówce, czy gdzie indziej... Wszystko jedno. Dość, że jej nie ma.

Pod plecami jęknęły obluźowane sprężyny. Ociężałym ruchem odłożył ilustrowany

magazyn. Nudny. W ogóle był w paskudnym nastroju...

Ciekawe, czy cały ten pociąg dojedzie o własnych siłach do celu? I co najważniejsze: o której? Powinien być o dziewiątej. Ach, prawda - przypomniał sobie - przesiadka w Brownstone. Dwieście z czymś mil... dziewięć godzin! Tempo jak za króla Ćwieczka. W ogóle na tej linii wszystko wygląda tak, jakby ubiegłe stulecie powróciło w pełni swych praw. Mac Cormick może być najwcześniej... - zaczął obliczać.

Na drogę zużyje w każdym razie ze dwie godziny albo powiedzmy nawet około trzech. W każdym razie noc, przygotowania do podróży... Nie, nie powinien chyba dotrzeć prędzej jak o jakiejś pierwszej...

Monotonny stukot kół wpadał w rozmyślenia usypiającym rytmem.

- Proszę o bilety, sir... - usłyszał jak przez mgłę. Nie otwierając oczu sięgnął do kieszeni.

Konduktor jednak zamiast wycofać się z przedziału ruszył w głąb. - Dziękuję, madame...

- O której będziemy w Brownstone? - Głos był melodyjny jak dźwięk srebrnych dzwoneczków.

- Dziewiętnasta dwadzieścia dziewięć. Szmer zasuwanych drzwi.

- Madame? - zdziwił się Pentham. - I ten cudny głosik? Musiała widocznie wsiąść w czasie mojej drzemki.

Otworzył oczy rzucając dyskretne spojrzenie na miejsce od oknem. Zamknął je jednak czym prędzej. Nie madame, a szkarada. Jakiś wypłowiały beret nasunięty na uszy. Brązowe okulary ogromnych rozmiarów i nogi... No, trudno to w ogóle nazwać nogami. Pentham był specjalnie czuły pod tym względem. A tu, sądząc po rozmiarach

sportowych buciorów sięgających aż do połowy łydek, jakieś okropne odnóża.

Diabli nadali takie czupiradło - wściekał się w duchu - tylko skrępowanie. Jak pech to pech. W każdym razie: dama.

Akurat okropnie zachciało mu się palić. No, nie ma co udawać dalszej drzemki.

- Przepraszam - ukłonił się grzecznie - czy pani pozwoli zapalić?

- Proszę - głos znacznie mniej melodyjny. Jakby stłumiony.

Pentham zabrał się do swej fajki. Po chwili pałący goryczą sok zaczął sączyć się przez cybuszek do gardła. Łykał przepojoną nikotyną ślinę. Nie wypadało przecież pluć przy damie. Żeby ją wszyscy... Wściekłość w duszy Penthama narastała w alarmującym tempie. Sięgnął po odłożony magazyn. Lepsze już to, niż...

Po kilku minutach dama zaczęła szamotać się z oknem. Nie wypadało nie zauważyć.

- Przepraszam, czy chce pani otworzyć?

- Tak... Brak powietrza. - Głos suchy, coraz mniej melodyjny.

Ano trudno. Chcąc nie” chcąc zaatakował okno. Przedsięwzięcie nie należało do najłatwiejszych. Zanim zdołał opuścić upartą ramę, wystąpiły mu na czoło kropelki potu.

- Dziękuję...

W głosie damy dźwięczały jakieś dziwne nutki.

Nie zastanawiał się jednak nad nimi. Nic go nie obchodziła razem ze swoimi okularami.

Fajka dla odmiany przestała ciągnąć! Widocznie się zatkała. Tandeta jakiej świat nie widział. Przeczyszczać? Nie. Lepiej nie. Co innego, gdyby był sam w przedziale. A tak... W każdym razie kobieta. Nie miał prawa narażać jej na nieestetyczne widowisko.

Wsadził fajkę do kieszeni. Wetknął nos w magazyn starając się bezskutecznie zrozumieć za - wiłą pointę jakiejś nowelki. Znowu odgłosy szamotania się z oknem. Zrezygnowanym ruchem odłożył czasopismo.

- Chce pani zamknąć okno?

- Tak, zimno...

Powstał powoli. Uwzięła się widocznie, by mu nie dać chwili spokoju. Mechanizm okna świadczył o żelaznej konsekwencji konstruktora. Tak samo trudno było je zamknąć, jak i otworzyć.

Właśnie kończył skomplikowaną operację, gdy do przedziału zajrzał konduktor:

- Za dziesięć minut dojeżdżamy do Brownstone. Pentham odetchnął z ulgą. Resztę drogi będzie mógł odpocząć po tych wentylacyjnych zachciankach.

Dama nabrała nagle życia. Sięgnąwszy po mały neseserek wyszła z przedziału.

Pogonił za nią złośliwym spojrzeniem. Pewno się chce upiększyć po podróży!

Niewiele jej to pomoże.

Żeby nie wiem co robiła. Czy” takie coś nie posiada w ogóle lusterka? No, niech ją tam...

Korzystając z jej nieobecności zabrał się do przeczyszczenia fajki. Wielka kropla brunatnego soku kapnęła na podrózną kurtkę, znacząc niechlujną plamę.

- Pskakrew! - zaklął na głos. - Ależ pechowa seria...

Zaczęło się od tego nieszczęsnego szlemika. Szlemik bez pięciu. Bagatela! Jak klub klubem raz tylko miała miejsce podobna kompromitacja. Wtedy wpadł Cormick. W zeszłym roku. A przecież dotychczas jeszcze wspominają o tym w formie rodzinnej anegdoty. Teraz przybędzie nowa anegdota. Oczywiście: reputację jednego z najlepszych brydżystów wezmą diabli. Żeby chociaż z tą wazą coś wyszło... Bo na

informacjach Lindsaya nigdy nie można polegać w stu procentach. Jak nic mógł coś przekreślić. Zdarzyłoby mu się to nie po raz pierwszy. Zresztą, przy jego roztrzepaniu... Spojrzał na zegarek. No, nareszcie to nieszczęsne Brownstone. Sięgnął po swoją walizkę. Uderzył go elegancki wygląd bagażu nieznajomej. Świńska skóra i białe, metalowe okucia. Chyba ze srebra? Tak, wyglądało na to. Bagaż dziwnie nie pasował do osoby właścicielki. Oprawiony w skórę bilet wizytowy chybotął się miarowym ruchem. Zerknął ciekawie. I aż gwizdnął. „Florence Gordon, Ricewood Hill”. Więc chyba córka? Bo przecież nie żona? W każdym razie za młoda. No, ładnie musi wyglądać cały ten multimilioner, jeśli zdobył się na spłodzenie tego rodzaju potomstwa. Wcisnął czapkę na głowę. Zoperowana fajka znowu zaczęła ciągnąć. W rezultacie nie wiadomo co lepsze. Ten wstrętny sok spływający na język. Splunął zamasyście. I właśnie w tej samej chwili:

- Dojeżdżamy już do Brownstone, prawda? Głos melodyjny jak wiolonczela.

Melodyjniejszy niż dotąd.

Spojrzał i osłupiał. Zamroczyło go tak, jakby otrzymał niespodziewany cios pałką w głowę. Wytrzeszczył oczy i zastygł w bezruchu. Nie odpowiedział. Nie był w stanie odpowiedzieć. Nie był w stanie nawet zamknąć ust, które bezwiednie otworzył.

Pułkownik Reginald Pentham, były as Intelligence, kawaler iluś tam orderów, między innymi najwyższych, który niejedno już w życiu widział, stał jak zaczarowany. I prawdę powiedziawszy, wygląd jego w tej chwili nie czynił zbyt dobrego wrażenia. Raczej wprost przeciwnie.

Cóż u licha - myślał bezradnie - przecież to niemożliwe. To ma być ta sama istota?

Platynowa gęstwina ocieniała bogactwem loków delikatną twarzyczkę. Kształtne, małe stopki w arcydziełach sztuki szewskiej. I oczy... Fiołkowe, rozświetlone

iskierkami wesołych chochlików.

- Przepraszam! - Konduktor potrącił go wchodząc do przedziału. Zdjął z siatki wytworny bagaż. Jeszcze raz go potrącił wychodząc za nieznajomą.

Pułkownik Reginald Pentham stał jak zaczarowany. Dopiero po dłuższej chwili odzyskał zdolność ruchu.

Psiakrew - zaklął bezradnie. - Żeby... żeby... - Pomimo wysiłku nie potrafił określić tego co zaszło przed chwilą. - Czarna passa... Nic innego tylko czarna passa - odplunął gorzki sok, po czym zacisnąwszy palce na rączce walizki ruszył chwiejnie ku wyjściu.

V

Pociąg, łączący Ricewood z Brownstone, spisał się znacznie gorzej od swego poprzednika. Tuż przed samym kresem podróży utknął na jakiejś stacyjce i stał z niewiadomego powodu przeszło godzinę. Gdy Wreszcie dotarł do Ricewood, dziesiąta minęła już dawno. W każdym razie dotarli. Pentham przez cały czas rozmyślał o transformacji towarzyszy podróży. Dama zniknęła w Brownstone. Widocznie nie jechała do Ricewood. Pomimo wysiłku nie zdołał odegnać natrętnej wizji fiołkowych oczu. Za oknami wagonu zalegał gęsty mrok, rozświetlany zamazanymi plamami latarek ręcznych. Pomimo szczupłości bagażu musiał skorzystać z usług tragarza. Inaczej połamałby chyba nogi na peronie. Jak zdołał zauważyć, był jedynym podróżnym, który tu wysiadał.

W niewielkiej poczekalni kopciły naftowe lampy. Światło ich odbijało się szklisto od tkwiących bezużytecznie w żyrandolu żarówek.

- Co to - zażartował bez humoru - oszczędność prądu?

Tragarz wzruszył ramionami.

- Małe uszkodzenie w elektrowni, sir.

Otrzymałszy napiwek znikł, zanim Pentham zdołał go zapytać o Gordon's Hill.

Pentham rozejrzył się bezradnie. Na sali było pusto. Tylko jakaś bezbarwna paniuszka zamykała kiosk z gazetami.

Pospieszył ku niej w obawie, by i ona z kolei nie zniknęła.

- Droga do Gordon's Hill? - spojrzała na niego wyraźnie zdumiona. - Chce pan tam iść?

- Oczywiście!

- Hm - pokiwała głową z powątpiewaniem. - I to teraz, po nocy...

- No, powiedzmy, że noc jeszcze nie nadeszła. Czyżby były jakieś przeszkody.

- Przeszkody? - zamyśliła się. - Nie... To jest, właściwie... - utknęła. - Nie -

oświadczyła wreszcie pewniejszym głosem - przeszkód nie ma. Tylko daleko.

- Bardzo daleko?

- Przeszło osiem mil. I do tego... - znowu zawahała się. - Widzi pan, Gordon's Hill leży na wyspie. Jest wprawdzie motorówka i łódzie rybackie, ale teraz... Zwłaszcza gdy... - nie skończyła.

Jej wyraźne niedomówienia nie mogły ująć uwagi Penthama. Nie zastanawiał się jednak nad ich znaczeniem. Dostyc miał własnych trosk i kłopotów. Nie można powiedzieć, by droga do upragnionej wazy układała się zbyt gładko.

- Chyba jednak znajdę tu jakiś samochód czy coś w tym rodzaju?

- Tak - paniuszka przekreśliła klucz w kłódce - jest tu samochód. Taksówka ojca

Browna. Czeka codziennie przed stacją na pasażerów południowego pociągu. Ale na wieczorny nigdy nie przyjeżdża. Traciłaby tylko czas. - Zamknęła teczkę. Widocznie zamierzała odejść.

- Chwileczkę - powstrzymał ją błagalnym gestem. - Czy nie mogłaby mi pani

powiedzieć, jak mam znaleźć garaż ojca Browna?

- Och - roześmiała się lekko - nic łatwiejszego. Z dworca prosto, potem w lewo, wreszcie trzecia ulica na prawo. Tuż za rogiem. Bardzo blisko.

Może i było rzeczywiście bardzo blisko. Jeżeli jednak chodzi o łatwość znalezienia garażu, panienska z kiosku mocno przesadziła. Przed dworcem panował mrok tak gęsty, że Pentham nie mógł dostrzec własnej ręki. Z uporem godnym lepszej sprawy zrobił kilkanaście kroków, potknął się o coś niewidocznego w ciemnościach, otarł boleśnie kostkę u nogi i zrezygnowany wrócił na dworzec.

Na szczęście w korytarzu spotkał jakiegoś tragarza.

- Czy nie moglibyście mnie doprowadzić do garażu ojca Browna? - przytrzymał go za rękaw bluzy-

Tragarz nie zdradzał najmniejszego entuzjazmu. Dopiero widok pieniędzy zdołał go jako tako przekonać.

- Ano, pół funta to jest mimo wszystko pół funta - zauważył filozoficznie i zaczął zapalać karbidową latarkę.

VI

Do garażu naprawdę było niedaleko. Już po paru minutach wędrówki żółtawa plama światła, pełgająca po nierównych płytach chodnika oznajmiła, że dotarli do celu.

- Przyrowadzam panu pasażera, ojciec Brown - zaanonsował tragarz. Po chwili cichnące w oddali kroki dowodziły, jak bardzo mu się śpieszyło.

Pentham rozejrzał się wokoło. Na środku niedbale skleconego baraku stał przedpotopowy Ford. Pod podniesioną maską motoru manipulował coś człowiek w zatłuszczonym kombinezonie.

- Pasażera? - podniósł głowę, prezentując gładką łysinę i białą jak śnieg kozią

bródkę.

- Tak - potwierdził Pentham. -, Chciałbym mianowicie jechać...

- Wykluczone - przerwał mu w pół zdania ojciec Brown. - Dopiero przed chwilą wróciliśmy z wędrowki. Ja i on - wskazał kiwnięciem głowy samochód. - Potrzebujemy odpoczynku.

Pentham przysiadł na blaszance od benzyny.

- Chodzi o niewielką przejażdżkę.

- Dość mam jak na dzisiaj przejażdżek - sarknął starzec. - Pański poprzednik też mnie wynajął na przejażdżkę. A potem włączyliśmy się przez sześć bitych godzin po rozmaitych wertepach. Dotychczas nie mogę zrozumieć, w jakim celu.

- Wszystkiego osiem mil...

- Ani pół mili!... Poczekaj pan - popatrzył na niego podejrzliwie. - Osiem mil? Czy nie ma pan przypadkiem na myśli przystani Gordon's Hill?

Właśnie! - Penthama aż zdziwiła jego domyślność.

- Ach, tak! - parsknął. - Gordon's Hill! Tylko tyle? I do tego po nocy? Mała przejażdżka... Nie pojedę! Rozumie pan? Nie pojedę - niemal krzyczał. - Ani za dwa funty. Ani za trzy. Ani nawet za pięć - dał nurka pod maskę samochodu.

Pentham ssał cybuszek niezapalonej fajki. Niech to wszyscy diabli. Na dobitek zaczął mu dokuczać głód..Utknąć tuż przed celem? Żeby Mac Cormick sprzątnął mu sprzed nosa wazę?

- A za dziesięć funtów? Brown wyprostował się nagle.

- Co? - przyglądał się Penthamowi jak jakiemuś nieznanemu okazowi. - Dziesięć funtów za jazdę do przystani?

- Tak.

- Hm... podrapał się w łysinę. - To ma być propozycja na serio?

Pentham wyjął z portfela banknot i wyciągnął go ku staremu. -

- Proszę. Teraz chyba nie wątpicie? Brown obejrzał papier ze wszystkich stron.

- Tak - mruknął. - Nie wątpię. I co więcej: banknot jest prawdziwy. W takim razie...

- Dobry wieczór, ojciec Brown - tyczkowata sylwetka wychynęła z ciemności.

Metalowe guziki zabłysły mdlawo odblaskami światła.

Pentham spojrział z ukosa na przybysza. Znowu policjant! Bania się z nimi dziś rozbiła, czy co? Policjant zwrócił się do Browna.

- Wróciliście jednak. A już zaczynaliśmy się o was martwić.

- Ano wróciłem - Brown nie przestawał majstrować przy motorze. - Ale za chwilę znowu jadę. I to do przystani.

- Ho, ho! - policjant był wyraźnie zdziwiony. - Na przystań? Po nocy? A po co?

- Z tym panem - Brown machnął ręką w kierunku Penthama.

Policjant odwrócił się powoli.

- Ach, tak - obrzucił Penthama przeciągłym spojrzeniem. - Z tym panem?

Przepraszam - zsalutował lekko - pan tu jest obcy?

Pentham miał już całkiem dosyć indagacji policyjnych.

- Cóż - wzruszył ramionami. - To już jak kto uważa.

- Przyjechał pan wieczornym pociągiem? Pentham w milczeniu nabijał swoją fajkę.

Policjant pokiwał głową z ubolewaniem. - Nie chce mi pan odpowiadać, sir?

- Coś w tym rodzaju - odrzucił cicho. Był wściekły do granic wytrzymałości. Jeżeli ten dryblas ma zamiar przeszkodzić mu w jeździe, znokautuje go nie bacząc na skutki.

- Przepraszam, jak się pan nazywa?

- Jakoś tam się w każdym razie nazywam - przytknął zapałkę do fajki. Znowu ten

wstrętny odór. Z czego właściwie to świństwo jest zrobione? Popatrzył z nienawiścią na fajkę.

- Ja jednak chciałbym wiedzieć - policjant nie miał zamiaru ustąpić.

- Ba... - mruknął niedbale - ja też wiele rzeczy chciałbym wiedzieć. Niestety - jednak nie wiem i jakoś żyję.

Dryblas w mundurze wyprostował się nagle w całej swej imponującej postaci.

- Proszę o jakąś legitymację - głos jego zabrzmiał urzędową powagą.

- Oho! - Pentham spojrzał na niego spod oka. A od kiedy to, jeżeli wolno zapytać, w Anglii obowiązuje przymus paszportowy?

- Od chwili, gdy w tej okolicy popełniono morderstwo!

Pentham bez słowa sięgnął do kieszeni. Skoro popełniono morderstwo - policjant był w porządku.

- Dziękuję - przejrawszy dokładnie legitymację zwrócił ją Penthamowi. - Jedzie pan do Gordon's Hill?

- Jadę.

- Radziłbym odłożyć tę wizytę. Pentham wzruszył ramionami.

- Niemożliwe.

- Jak pan uważa. Muszę jednak uprzedzić, że na wyspie od pewnego czasu dzieje się coś dziwnego. No... zresztą to pańska sprawa... Nie mam prawa zatrzymywać siłą.

Dobranoc!

Po chwili już go nie było.

W tym samym momencie Brown z trzaskiem zamknął maskę.

- Gotowe. Możemy jechać!

Samochód trząsł niemiłosiernie. Na wybojach, których nie brakowało, wyprawiał

takie harce, że Pentham musiał się trzymać kurczowo, by nie wylecieć.

- Tak - mruknął Brown. Paskudna droga. A i resory swoje już wysłużyły...

- Że też sir Gordon nie każe wybudować szosy?

- Jakże? Wybudował." I to pierwszorzędną. Ale szosa prowadzi od innej strony. A pociągami do niego nikt nie przyjeżdża. To i nie dba o tę drogę... Zły pan na

Hollowaya?

- Hollowaya?

- No tak! Na tego policjanta. Trudno mu się nawet dziwić, że taki przyczepny. Od tego morderstwa wszyscy potraciliśmy głowy. Dotychczas było u nas spokojnie jak w raj. A tu przedwczoraj ni stąd ni zowąd wyławiają z rzeki trupa młodej dziewczyny. W piersi sztylet wpakowany aż po rękojeść. Na szyi stryczek przywiązany do korkowego drewna.

- Co? - zainteresował się nagle Pentham. - Korkowe?

- I u nas się dziwili, co to może znaczyć.

Pentham zamyslił się. Trup zamordowanej wrzucony do rzeki przywiązany do korkowego drewna? Coś tu nie pasowało. Bo jeżeli...

A co mnie to wszystko obchodzi? - zachnął się. - Przyjechałem po wazę, a nie dla rozwiązywania kryminalnych zagadek.

- Na drugi dzień miała przyjechać komisja - ciągnął dalej stary. - Tymczasem zwłoki złożono w szopie. Drzwi zamknięto na kłódkę. Postawiono wartę. Właśnie Holloway pilnował. No, i jak przyjechali otworzono szopę, okazało się, że zwłoki zniknęły bez śladu. Nikt nie mógł wytłumaczyć, w jaki sposób się to stało. Holloway dostał takiego prztyczka w nos, że aż hej! Biega teraz jak kot z pęcherzem. Chce sobie poprawić opinię.

Samochód wykonał serię epileptycznych podskoków, potem zamarł w miejscu.

Światła reflektorów wydarły z ciemności jasny zrąb jakiegoś budynku.

- Przyjechaliśmy - Brown zgasił motor. Tu właśnie mieszka Perkins. Jeżeli on nie zechce przewieźć pana motorówką, to będzie pan musiał wracać do Ricewood. O innych szkoda marzyć. Od tego morderstwa siedzą zabarykadowani w domach jak myszy w norach. Po zachodzie słońca nikt nie wytknie nosa na dwór... - Wygramolił się z samochodu.

Kołatanie trwało dosyć długo, zanim wywołało jakiś oddźwięk we wnętrzu budynku. Potem zaczęły się prowadzone przez drzwi pertraktacje. Pentham siedział jak na szpilkach. Mac Cormick na pewno już wyruszył w drogę. A jeżeli nawet jeszcze nie, to lada chwila wyruszy. Za trzy, najdalej cztery godziny będzie na miejscu.

Wreszcie trzasnęły otwierane drzwi. Ktoś głośno ziewając, wyszedł na drogę. W świetle reflektorów jasną plamą zamajaczyła twarz.

- Perkins ani rusz nie chce jechać na wyspę - zaraportował Brown. -

Przyprowadziłem... Może panu uda się go namówić.

- Nie - oświadczył stanowczo przybyły. - Nikomu się nie uda. Żeby mi nawet nie wiem jakie skarby kładziono na stół, nie zrobię ani metra w kierunku wyspy.

Rzeczywiście był nieugięty. Nie pomogły żadne najbardziej nawet kuszące propozycje. A przecież Pentham posunął się aż do dwudziestu funtów.

- Widzi pan - tłumaczył pykając z krótkiej porcelanowej fajeczki - żeby chodziło tylko o tę topielicę, to może bym zaryzykował. Ale topielica to tylko szczegół w tym wszystkim, co się tu dzieje. A dzieje się właśnie na wyspie. I to nie od wczoraj. Już jakieś trzy dni. Od chwili, gdy cała dawna służba poszła na urlop, a na jej miejsce przyjechały te żółtki.

- Żółtki? - spytał Pentham, aby coś powiedzieć. W myśli gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. Musi się dostać na wyspę, żeby tam nie wiem co. Za wszelką cenę. Żeby miał nawet wpływ przebyć rzekę.

- Właśnie - potwierdził Perkins. Chińczycy czy coś w tym rodzaju... Widziałem ich, jak przejeżdżali pałacową motorówką. Nie podobali mi się, jakem Perkins. Z oczu im źle patrzyło. I już zaraz na drugi wieczór zaczęły się te krzyki... Człowiek aż cierpnie, gdy słyszy coś podobnego. Jakby kogoś obdzierali żyw-; cem ze skóry. Tej samej nocy latał nad wyspą samolot. Narobił takiego hałasu, że wszystkich pobudził.. Moja stara ściągnęła mnie z łóżka. „Wojna się znowu zaczęła - powiada. - Zaraz będą bomby rzucać.”; Bomb wprawdzie nie było, ale rakiet nie żałowali.. Białe, kolorowe, jakie kto chce. A znowu rano wyło-; wili tę dziewczynę. Diabli wiedzą, co o wszystko ma znaczyć. W każdym razie na pewno nic dobrego. A sprawdzać na własnej skórze? Dziękuję! Nie opłaci się...

Pentham sięgnął po papierosa. Fajka tylko go denerwowała... Musiał przecież wszystko przemyśleć.

- To może choć wynajmiecie mi waszą motorówkę? - zaproponował. - Zapłacę dwadzieścia funtów.

Perkins zastanowił się.

- Wynająć? - powtórzył przeciągle. - A czy pan umie obchodzić się z motorem?,

Mimo całej depresji Pentham z trudem stłumił uśmiech. Czy umie się obchodzić z motorem? Ostatecznie pierwsza nagroda na zawodach „Klubu Błękitnych” miała swoją wymowę.

- Owszem - zapewnił rzeczowo - umiem!

Perkins machnął ręką.

- Nie - zdecydował - nie da rady. Bo kto by mi odwiózł moją „Jaskółkę” z powrotem? Kto wie, co tam z panem zrobią na wyspie, a łódź przepadnie na amen. Lepiej niech pan zrezygnuje z tej wizyty, sir. Bo inaczej jutro pewno wyłowimy pana z rzeki. Po co ryzykować?

Pentham zapalił następnego papierosa. Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż dostać się na tę wyspę - pomyślał bez humoru. Łyknął haust dymu.

- Czekaście - popatrzył na szofera. - A gdyby tak mnie odwiózł ojciec Brown?

Starzec zachnął się gwałtownie.

- Mam jechać na wyspę, po ciemku?

- Chyba na motorówce jest jakaś latarnia?

- Owszem - przyznał skwapliwie Perkins - jest i to bardzo silna. - Proponowana kombinacja zaczęła mu się podobać. Dwadzieścia funtów piechotą nie chodzi, a skoro kto inny ma ryzykować skórę... - Pojechalibyście? - zapytał bezpośrednio Browna. -

Umiecie przecież obchodzić się z „Jaskółką”. Nieraz ją prowadziliście.

Brown kręcił niezdecydowanie głową.

- Ale...

- Dam wam dwadzieścia funtów - powiedział Pentham.

- I dla mnie też dwadzieścia - wtrącił skwapliwie Perkins.

- Naturalnie - sięgnął pośpiesznie do portfela. Znał psychikę tego typu ludzi.

Wiedział, że widok pieniędzy przekonuje silniej od wszelkiej perswazji.

Brown potarł czoło.

- Co tam! - wyciągnął rękę. - Raz kozie śmierć.

VII

Gniewnie chlupotała rozcinana dziobem łodzi woda. Światło przyczepionej na

przodzie latarni rzucało na powierzchnię rzeki migotliwe plamy. Monotonny stukot motoru wpadał miarowym rytmem w panującą wokół ciszę.

Nagle wysoki, wibrujący krzyk zabrzmiał we mgle.

Brown schwycił ramię Penthama.

- Słyszysz pan, sir? - głos jego wyraźnie drżał.

- Słyszę - Pentham pomacał kieszeń. Krzyk rzeczywiście brzmiał niesamowicie.

- Może jednak zawrócimy? zaproponował starzec.

- Nie! - Pentham przysunął się do kierownicy. Był zdecydowany w razie potrzeby objąć sam prowadzenie łódki. Choćby przyszło przy tym użyć siły. - To pewno jakiś nocny ptak - rzucił uspokajającym tonem. Sam zresztą w to nie wierzył.

Nadśłuchiwali przez chwilę. Krzyk jednak się nie powtórzył. Nad rzeką znowu zapadła cisza nocy. Światło latarki przemknęło po spletanym gąszczu, zatrzymując się na jaśniejszej plamie kamiennej przystani.

- Uff! - Brown odetchnął z nie ukrywaną ulgą.

- Przyjechaliśmy.

Dziób motorówki stuknął o twardy stopień.

Pentham wyskoczył na brzeg. Podeszwy głucho stukały po kamieniach. Przystanął niezdecydowanie na kamiennej platformie. Dalsza wędrówka wyglądała raczej niezachęcająco. W odległości paru metrów leżała jednostajnie czerni nieprzejrzanymi ciemności. Tylko tam, dokąd sięgało światło latarki, szarzał krótki korytarz rozrzedzonego nieco mroku. Pentham spojrzał weń bez przekonania. Jeszcze tylko parę kroków jako tako, ale dalej? Żeby choć nie było tej przeklętej mgły.

- Nie moglibyście mi pożyczyć do jutra waszej latarni? - zawołał w kierunku łodzi.

- Zapłaciłbym dobrze.

- Za żadne skarby, sir. Zresztą i bez niej trafi pan bardzo łatwo. - O! - podniósł jeszcze wyżej latarnię. - Widzi pan tę alejkę? Prowadzi wprost do pałacu. Nie może pan zabłądzić. Z obu stron nieprzebyta gęstwina zarośli. Nawet po omacku dojdzie pan na samo miejsce.

Teraz dopiero dojrzał wyrwę w ścianie roślinności. Dał nurka w zagęszczony mrok. Ano, skoro prowadzi do samego pałacu...

- Szczęśliwej drogi, sir! - Zabulgotała rozbijana śrubą woda. Zgasły ostatnie błyski latarni.

Ruszył przed siebie. Szedł pewnym krokiem. Jeszcze w dawnych czasach wykształcił w sobie poczucie kierunku. Pod podeszwami miękko szeleściły zeschnięte liście.

Ależ ciemno. Miał wrażenie, że mógłby zgnieść w palcach mrok jak kawałek czarnego aksamitu. Widocznie aleja stanowiła tunel zarośnięty szczelnie od góry. Na słusność tego przypuszczenia wskazywało również pewne zagęszczenie powietrza. Oddychał z niejakim trudem. Duszno, jak wszyscy diabli... Poczł nagle przemożną ochotę na fajkę. Naładował po omacku porcję tytoniu. Mnóstwo przy tym porozsypywał. Cóż... Widocznie zardzewiał w nieróbstwie obcinacza kuponów. Przecież to już kawał czasu jak wyszedł ze służby. Może to i dobrze przewietrzyć się niekiedy.

Przystanął, chcąc zapalić fajkę. Zmarnował wiele zapalek. Zawilgły. Może od mgły, a może w czasie jazdy łódką, gdy woda opryskiwała go gęstym prysznicem. Wszystko jedno. Niedbałym ruchem odrzucił puste pudełko. Fajka jednak świeciła czerwonym żarem. Właśnie ostatnia zapalka rzuciła iskrę na tytoń. Ruszył dalej.

W każdym razie - pykał fajeczkę - nie można powiedzieć, by ta alejka należała do

najkrótszych.

Minęło już dobrych kilkanaście minut od chwili, gdy zanurzył się w otworze tunelu. A przecież umiał porządnie wyciągać nogi. Zawahał się. A jeżeli zabłądził? W tych egipskich ciemnościach wszystko możliwe. Powiedzmy: jakieś odgałęzienie” alejki, w które właśnie mógł wejść? Wprawdzie szofer o istnieniu takiego odgałęzienia nie wspominał, jednak...

No, tak, chłop miał porządnego stracha, mogło mu wiele wylecieć z głowy. Chciał jak najprędzej odbić od brzegu. Dbał tylko o to jedno. W takich okolicznościach nie można stuprocentowo polegać na informacjach.

Po krótkiej chwili namysłu podjął znowu swą wędrówkę w mroku. Tak czy inaczej nie ma sensu stać na miejscu. W każdym razie gdzieś wyjdzie. Do rana jeszcze daleko. Żeby tylko ten Mac Cormick...

Ogarnęła go wściekłość, że nie wziął kieszonkowej latarki. Ale skąd niby miał przewidzieć takie tarapaty? Do tego ani jednej zapalki. Fajka zaczynała już dogasać. Na szczęście straciła nieco swą pierwotną gorycz. Ale i tak nie ma czym zapalić. Diabli nadali. Rozkoszny spacer...

Zaszeleściły liście. Trzasnęła gałązka. Ptak? Nie... w każdym razie jakaś większa sztuka. Chwilami Pentham miał niemal fizyczne uczucie, że jest śledzony. Znowu trzask łamanych gałęzi. Tym razem zupełnie blisko. Mimo woli wsunął rękę do kieszeni. Palce objęły machinalnym ruchem twardy kształt rewolweru. Nagle parsknął śmiechem, wyjmując rękę.

- Nie staruszku - mruknął półgłosem - tamte czasy już dawno minęły. Nikt nie ma powodu czyhać na twoje życie. Zwyczajna transakcja handlowa. Może troszkę bardziej skomplikowana niż wejście do sklepu przy sąsiedniej ulicy, ale to nie zmienia ogólnej

sytuacji. Nie jesteś już kimś, na kogo warto tracić kulę.

Westchnął. Bodaj nawet czy nie z żalem. W każdym razie wtedy żyło się intensywnie. Żyło się! A teraz? Wegetacja zasapanego pasibrzucha. Ten nocny spacer wytrącił go jednak trochę z równowagi. Zapomniał już niemal o tamtych czasach i nagle... Swoją drogą, jak bardzo wiele dla wyobraźni stanowią dekoracje. Wystarczy samotność w przepojonej zapachem dżungli nocy, by...

Nagle drgnął. Gdzieś, niezbyt daleko, huknął strzał.

...Colt 44 - określił w myśli.

Nie miał najmniejszej trudności w rozpoznawaniu rodzaju broni po odgłosie strzału. Huk nie zaniepokoił go ani trochę. Szedł dalej. Czyżby strzelnica? A może dziwaczny gospodarz strzela na wiwat, aby odstraszyć ewentualnych rabusiów? Wiedział, że niektórzy skądinąd nader spokojni mieszkańcy bardziej zapadłych miejscowości, miewali taki zwyczaj. Znowu, strzał. Tym razem jak gdyby jeszcze bliżej. Coś roztrąciło liście w górze.

- Kula? - wydał wargi, kiwając z dezaprobatą, głową. - Jeszcze mnie tu ustrzelą jak kaczkę. Mac Cormick triumfowałby...

Jeszcze krok i...

Nerwy naprężyły się jak stalowe struny. Krzyk. Krzyk mordowanego człowieka. I znowu strzał. Jakieś chrapliwe, urywane rżenie. To już nie wyglądało na żarty. Bez chwili namysłu wyszarpnął z kieszeni rewolwer. Zarepetował. Podniósł bezpiecznik. Przecież... Jakiś tam ułamek sekundy trwało, zanim ustalił kierunek, skąd dobiegały jęki. Miał wrażenie, że tuż przed nim. Wskazujący palec dotknął delikatnie cyngla. Spłynął nań orzeźwiający spokój. Tak jak kiedyś. Serce uderzało spokojnym rytmem.

- Halo! - zawołał donośnym głosem. - Kto tam? Kto potrzebuje pomocy?

Milczenie. Tylko słabnące odgłosy chrapania. Trzask. Tym razem dojrzał przez liście błysk wystrzału. Tak, to było przed nim. Na pewno. Może nawet w alejce. W każdym razie o kilka jardów od niego. Co u licha? Przycisnął kolbę rewolweru do prawego boku i pobiegł w ciemność.

Nagle, tuż przed oczyma, wykwitła ognista róża. W uszach zawirował boleśnie huk. Poczł zapach spalonego prochu. Później już nic nie czuł. Miał wrażenie, że potężne konary drzew runęły całym ciężarem na czaszkę. Zawirowały purpurowe koła. Coraz prędeej. Zaszumiały tysiące wodospadów. Potem powoli wszystko ucichło i zgasło. Mózg utonął w czarnej mazi mroku.

* * *

W obszernym pokoju czekało czterech mężczyzn. Dwóch białych i dwóch kolorowych. Światło naftowej lampy odbijało od lustrzanej powierzchni polerowanego mahoni. Jeden z białych nerwowym ruchem ogładził szpakowatą czuprynę. Wzrok jego raz po raz biegł ku złoconym wskazówkom antycznego zegara.

- Okropnie długo trwa to wszystko - rzucił w przestrzeń.

Nikt mu nie odpowiedział. Wreszcie nie wytrzymał: zerwał się z fotela i poszedł do stojącego w kącie pokoju baru. Powolnym ruchem napełnił szklaneczkę. Ręka jego wyraźnie drżała. Kilka kropel złocistego płynu padło na marmurowy blat.

Drugi biały obserwował go spod oka. Podeszedł ku niemu.

- Spokojnie, szefie! - zniżył głos. - Nerwy w garść. Bo gdy wasze zawiodą, co się stanie z nami wszystkimi? - Starszy pan wychylił jednym haustem alkohol.

- Masz rację - powiedział z namysłem. - Nerwy! To najważniejsze. Ale nie jestem pewien, czy nie przeceniłem ich wytrzymałości.

- Miejmy nadzieję, że wytrzymają. Muszą zresztą wytrzymać. Teraz, gdy...

Starszy pan znowu spojrział na zegar.

- Najchętniej wycofałbym się ze wszystkiego - powiedział znużonym głosem.

- Za późno. Zbyt daleko zabrnęliśmy, by można zawrócić. - Sięgnął po butelkę. -

Jeszcze jednego, szefie?

Ciemnoskóry podniósł się leniwie z fotela.

- Ładna historia. Łykają sobie w najlepsze, a nas ignorują. Zupełnie jak byśmy przebywali na innej planecie... - Jego białe stopy bezszelestnie grzęzły w puszystym dywanie.

Do pokoju wszedł mężczyzna w liberii lokaja.

- Liyang jeszcze nie wrócił? Starszy pan rozłożył bezradnie ręce.

- Jeszcze nie. I właśnie dlatego...

Głuchy odgłos strzału przerwał w połowie zdanie. Drgnął. Nie on jeden zresztą.

Przez dłuższą chwilę wszyscy nasłuchiwali z uwagą. Na dworze jednak panowała cisza.

Ciemnoskóry nerwowym ruchem obciągnął przepaskę z wzorzystego batiku.

- Na wszystkie moce piekieł! - sięgnął po szklanę. - Chciałbym, by już było po wszystkim.

Starszy pan spojrział na niego pytająco.

- Czy... - zająknął się. - Czy myślisz, że...

- A skądże znowu mogę wiedzieć? - wzruszył ramionami.

- Musimy czekać. To jedno nam w tej chwili pozostaje.

Przez otwarte okno wpływała do pokoju dusząca woń gnijącej roślinności.

Cicho skrzypnęły drzwi. Na progu wyrosła bezszelestnie przysadzista sylwetka w barwnym sarongu.

- Brr! - otrząsnął się przybyły. - Ależ wilgoć. Mam wrażenie, jakbym wyszedł z kąpieli.

O blat bogato inkrustowanego biurka stuknął ciężko rewolwer.

- Zamiast głowy, tuanie. Bo to jego broń - zaraportował.

Starszy pan otarł wierzchem dłoni drobne kropelki potu występujące na czole.

- A... on sam? Czy... Co... z nim? - zapytał z wysiłkiem.

Brunatne palce otrzepywały starannie wilgotny jedwab sarongu-

- On? Wyciągnął rewolwer... Właśnie ten sam - wskazał ruchem głowy - i chciał zapolować na biednego Liyanga. Ale oczy białych widzą w nocy tyle, co oczy puchacza w dzień... Więc...

- Strzelał?

- Nie. Chciał strzelać, ale nie zdążył. A teraz leży w gąszczu nieszkodliwy jak zdechły szczur. I już nie myśli o strzelaniu. Brr... - znowu się otrząsnął. - Ależ przemokłem. Mam wrażenie, jakby mi w kościach zamiast szpiku tkwiły strzępki tej przeklętej mgły. To nie dla nas, tuanie, taki klimat...

Wyciągnął rękę po szklaneczkę napełnioną whisky.

VIII

Konie wciąż jeszcze szły leniwego stępa, choć wysadzona rozłożystymi lipami aleja została dawno za nimi. Zazwyczaj, mijając ostatnie drzewa, panna Gordon z miejsca brała szybkie tempo, dziś jednak... Tak, dziś było inaczej. Te momenty zamyślenia, gdy patrzyła niewidzącymi oczyma na mleczne tumany mgły zalegające pola... I te przeciągłe chwile milczenia...

Ardayire nie mógł tego nie zauważyć. Zresztą nic, co dotyczyło panny Gordon, nie mogło zostać nie zauważone przez niego, bo... Zerknął ku niej nieśmiało. Niesforny

pukiel platynowych włosów, wymykający się spod obcisłej dżokejki, przykuł jego spojrzenie. „Boże! Jaka ona piękna” - westchnął w duchu z nabożnym podziwem.

Nie zdołał pohamować westchnienia, choć wiedział, że tego nie lubiła. A wzdychał nie po raz pierwszy.

- Zmarł pan? - spojrzała ku niemu wyrwana z zadumy.

- Ale, skądże znowu? - zaprzeczył z oburzeniem. - Przecież...

- Przecież... przecież... - przedrzeźniała z pobłażliwą żartobliwością jego ton. -

„Przecież” wiem bardzo dobrze, że całe pańskie ciało pokrywa w tej chwili piękna gęsia skórka. Tak samo zresztą jak i moje. Stanowczo nie nazwałabym naszych jesiennych dni najpiękniejszymi na kuli ziemskiej. - Poklepała smukłą szyję swego wierzchowca.

Odczuła wilgoć sierści. - No, proszę - podniosła urękawiczoną dłoń. - Moja Beatrycze unurzana we mgle jak bałwan w śniegu. Na pewno biedactwo skostniało do szpiku kości. Bó też wlecemy się, nie wiadomo dlaczego, jak za pogrzebem. Musimy rozruszać konie.

- Dobrze.

- Naturalnie - westchnęła z rezygnacją. - Żeby też choć raz pan wystąpił z samodzielnym projektem. - I to ma być mężczyzna... Widzi pan ten płotek? - wskazała pejczem.

- Powiedzmy, cały płot, a nie płotek - sprostował nieśmiało.

Obrzuciła go spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

- Niech będzie płot. Jeżeli jednak jest dla pana zbyt wysoki, to proszę powiedzieć otwarcie...

Krwisty rumieniec wystąpił na policzki młodzieńca.

- Ależ panno Flo - zaprotestował tonem obrażonej dumy. - Dlaczego mnie pani...

- No, dobrze już! - znowu mu przerwała. - Ścigamy się. Aż do tego lasu... Tam, po przeciwnej stronie... Kto osiągnie pierwszy metę, może żądać od drugiego nagrody.

- Jakiej?

- Fe, jaki z pana materialista, Tomku! No, ale choć pod tym względem jest pan podobny do innych mężczyzn. Więc... - rozmyślała marszcząc brwi: - Cóż - poprawiła nogę w strzemieniu - zwycięzca otrzyma to, o co poprosi pokonanego.

Ruszyli z miejsca wyciągniętym kłusem. Później przeszli w ostry galop.

Młodzieniec dobywał wszystkich sił ze swego wierzchowca. Będzie musiała go wreszcie wysłuchać. I wysłucha. Flo zawsze dotrzymywała słowa. Warto nawet skrócić kark, byleby tylko... A skrócić kark piekielnie łatwo w tym szaleńczym wyścigu.

Zaorane pola nie stanowią zbyt wygodnego toru wyścigowego. Szczególnie, jeśli pokrywa je warstwa nieprzezroczystej mgły. Jakies nieoczekiwane rowy, czy coś w tym rodzaju. Zdradziecko wystające spod kopyt koni kępki kłujących krzewów. Musiał używać ostróg, by dotrzymać tempa czarnej Beatrycze. Ale i tak częściej widział jej ogon niż srebrzystą strzałkę na czole. O kilka jardów przed nimi wyrósł płot. Nie płot, a jakies piekielne rusztowanie. Po kiego licha stawiali tak wysoką przegrodę? No, trudno.

Czarny, wydłużony bolid śmignął lekko w powietrzu. W szumiącym w uszach wietrze zadźwięczały niezrozumiałe strzępki zachęcającego okrzyku Flo. Poderwał konia. Nie powinien był tego robić, wyczuł w tempie jego biegu nerwową zapowiedź oporu. Coś tam zatrzeszczało pod kopytami. Trochę zbyt niski skok. Głupstwo. Grunt że wylądował po drugiej stronie bez szwanku. Rozwiany ogon klaczy migotał przed oczyma w coraz dalszej odległości. Śmignął pejcem. Ściana lasu rosła z każdą sekundą, rozpadając się na sylwetki poszczególnych drzew. Uniósł się w strzemionach, aby ulżyć wierzchowcowi. Prędeziej! Znowu użył pejcza. Nie lubił tego. Jednak w tym

wypadku... Nagroda dla zwycięzcy!

Zatrzymało go podniesione ramię. Wszystko na nic. Czekala już na niego przy pierwszych drzewach. Policzki zarumienione od pędu. W oczach błyski triumfu.

- I co, panie Tomku? Zwiesił ponuro głowę.

- Przegrałem.

- Nie szkodzi, Tomku. W każdym razie świetnie przebył pan trasę. To było z mojej strony trochę nielojalne. Przecież pański Lancelot jest co najmniej o całą klasę słabszy od Beatrycze. A musiałam ją mocno popędzać. Naprawdę świetnie - powtórzyła z uśmiechem. - Oczywiście nie będziemy wspominać o cokolwiek uszkodzonym płocie - wskazała ruchem głowy za siebie.

Nie spojrzał nawet we wskazanym kierunku. Ponuro wlepił oczy w ziemię.

- Oddałbym duszę, żeby wygrać ten bieg... - mruknął przez zęby.

- No, niech się pan rozchmurzy, Tomku - pogłaskała go delikatnie po rękawie. -

Całe szczęście, że przybyłam pierwsza do mety. Dopiero w drodze uprzytomniłam sobie, jaki ze mnie głuptas. Bo gdyby pan wygrał...

- Byłbym najszczęśliwszym z ludzi...

- O! - śmiech jej brzmiał cokolwiek niepewnie. - I czego by pan takiego zażądał ode mnie jako nagrody?

Podniósł na nią rozbłąsłe nagle oczy.

- Pani wie, Flo! Zrobiło jej się przykro. Bardzo lubiła Tomka Ardayire'a. Niemal kochała go jak brata. Ale...

- Kocham panią, Flo - wybuchnął gorąco. - I gdyby pani zechciała... Ja...

Położyła mu łagodnie dłoń na ramieniu.

- To już dziesiąte oświadczyzny, Tomku? - Woląla utrzymać rozmowę na

płaszczynie żartobliwej pogawędki.

Przełknął ślinę. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał. Chciał być jednak pewny, że potrafi się dostosować do jej tonu. Nie byłoby godne dżentelmena, gdyby...

Zresztą od dzieciństwa ćwiczył zdolność robienia dobrej miny do złej gry.

- Trzynaste - westchnął żałośnie. - Dwanaście koszy noszę - na sercu.

- Trzyście, Tomku - skorygowała ciepło. - Bardzo mi przykro...

- Ach, tak - zacisnął szczęki. - Rozumiem. Takie już moje podłe szczęście. I żebym mógł choć mieć nadzieję, że kiedyś...

- Lepiej nie, Tomku. Widzi pan, znamy się już tak długo. Uważam pana za coś w rodzaju brata, którego mi los nie dał.

- Wolałbym pierwszy stopień powinowactwa niż pokrewieństwa. I... - przeżuwał jakieś słowa. W końcu podniósł głowę. Mina jego świadczyła o desperackim postanowieniu. - Proszę mi wybaczyć, Flo... Wiem, że z mojej strony będzie to niedelikatnością... Może mnie pani nawet zwymyślać od ostatnich. Ale nich mi pani nie odmówi odpowiedzi na jedno pytanie. Proszę o coś w rodzaju aktu miłosierdzia...

Obrzuciła go pełnym współczucia spojrzeniem. Widziała, jak bardzo się męczył. A więc?

- Czy... no... Słowem, czy jest ktoś, kogo by pani?...

- Nie, Tomku - zaprzeczyła stanowczo. - Nie ma nikogo W tym rodzaju.

Coś tam wprawdzie poruszyło się w jej sercu, zgasiła jednak przelotną myśl w mgnieniu oka. Nonsens.

Ardayire odetchnął z ulgą.

- W takim razie nie tracę nadziei, że może kiedyś... choćby tylko dla uniknięcia nudzenia się mymi oświadczeniami... wyjdzie pani za mnie. BQ miałem już obawy.

Zmieniła się pani jakoś ostatnio.

- Tak? - roześmiała się. - Naprawdę? Zauważył pan we mnie jakąś zmianę? I na czym ona polega, jeżeli można wiedzieć?

- Tego nie mogę określić słowami. Coś nieuchwytnego... Jednak niewątpliwie jest pani jakaś inna... Widzi pani, Flo, nic się nie ukryje przed oczami człowieka, który kocha...

Spojrzała na zegarek.

- Już późno, Tomku! - zawołała z udanym przestraszeniem. - Wie pan, jak ciocia nie lubi, gdy ktoś się spóźnia na lunch. Musimy wracać. - Wolą przerwąć rozmowę, która znowu schodziła na temat miłości.

Ruszyli stępa. Coś ją jednak korciło.

- Od dawna zauważył pan we mnie zmianę? - rzuciła niby od niechcienia.

Drgnął wytrącony z zadumy.

- Zmianę? Ach tak. Od wczoraj. To jest od chwili, gdy przybyła pani do Landstown.

- Więc podejrzewa pan jakąś miłość od pierwszego wejrzenia? I to znając mnie tak dobrze?

- Czy ja wiem? - westchnął z rezygnacją. - Zresztą nie widziałem przecież pani od przeszło dwóch tygodni. A dwa tygodnie to okropnie długi okres. Szczególnie w życiu tak młodej istoty.

Dalszą drogę odbywali w milczeniu. Wpadła w zadumę. Nawet nie myślała o czymś określonym. Tylko tak jakoś. W każdym razie stan jej uczuć był dla niej samej czymś zgoła niezwykłym. Żeby od tylu godzin mieć przed oczyma wizję jednej jedynej twarzy? Chwilami ogarniała ją niemal wściekłość. Przecież to... Nie potrafiła określić

co mianowicie, jednak w każdym razie... Do tego jakiś mruk. Dwa razy „przepraszam”, raz „dziękuję” i niemądra mina. To chyba nie wystarczy, by wprowadzić taki zamęt w myśli trzeźwej panny dwudziestego wieku. I to dorosłej, nie jakiegoś tam sentymentalnego podlotka. Za półtora miesiąca kończy dwadzieścia lat. I żeby... Zresztą, w ogóle - nic nadzwyczajnego. Wprawdzie trudno by go było nazwać „zasuszoną mumią”, jak to przypuszczała przed zobaczeniem. Ale zupełnie przeciętna sylwetka. Tysiące takich samych można spotkać na każdym kroku. Stalowo-szary kolor oczu też ostatecznie nie stanowi żadnej nadzwyczajności. Może tylko ich wyraz... To jakby żar płomienia za lodową taflą... Co tam - poprawiła się na siodle - romantyczne bzdury. Dobrze w powieści...

- Tanno Flo...

- Co? - spojrzenie jej było nie bardzo przytomne. Szybko jednak powróciła świadomość rzeczywistości. Była mu wdzięczna za przerwanie nedorzecznych rozmyślań.

- Wyjeżdża pani jutro?

- Tak... Pewne zobowiązania towarzyskie wzywają mnie do Londynu...

- A jednak jedzie pani do Ricewood, pomimo tych zobowiązań - rzucił spokojnie.

Drgnęła.

- Jak to: do Ricewood? - spojrzała nań zaskoczona.

- Czy może pani zaprzeczyć, Flo? - zajrzał jej w oczy.

Zacisnęła wargi. Skupiła całą przytomność umysłu. To była niespodzianka. I nie należała do najprzyjemniejszych.

- Nie - wzruszyła lekko ramionami. - Nie mam zamiaru niczemu zaprzeczać. Ale

skąd takie przypuszczenia? Czyżby pan... Tomku? - W głosie jej zadźwięczały groźne

nutki...

- Nie - podniósł błagalnie dłonie - proszę mnie nie podejrzewać o nic brzydkiego.

Nawet by mi przez myśl nie przeszło, by... Ale pani depesza leżała na tacy w hallu otwarta. I gdy kładłem swe listy. Po prostu, chcąc nie chcąc musiałem się zapoznać z jej treścią. Zupełnie przypadkowo.

Tyle nieodpartej szczerości dźwięczało w tym zapewnieniu, że musiała uwierzyć.

Zresztą rzeczywiście położyła telegram otwarty. Tak jak to zawsze dotychczas czyniła.

Tak, ale w tym wypadku... Zacisnęła usta. Partactwo - skonstatowała z irytacją. -

Paskudne partactwo. Żeby aż do tego stopnia być nieostrożną. Przecież przez taką drobnostkę... A tyle już trudu włożyli w tę całą historię. Nie darowałyby sobie chyba do końca życia, gdyby przez nią miał upaść ten misternie wyrzeźbiony plan. Cóż. Nie ma jeszcze wprawy w misteriach konspiracji. Ale to nie jest żadne usprawiedliwienie.

Skoro się podjęła...

- Pozwoli pani przyjechać do Ricewood? Spojrzała nań niepewnie. Właśnie. Oto są skutki jej nieostrożności. Niedługo musiała czekać. Tego tylko brakowało, by on tam przyjechał. A Tomek nie da się zbyć byle czym. Znała go pod tym względem dostatecznie dobrze...

- Widzi pan, Tomku... będę tam bardzo krótko... później jadę naprawdę do Londynu i...

- Więc zabrania mi pani? Sir Percy kilkakrotnie zapraszał mnie, bym zobaczył tę dżunglę w sercu Anglii.

Zastanowiła się króciutką chwilę. Zabronić mu przyjazdu? To mogłoby wywołać, w związku z tym co miało nastąpić, niepotrzebne wątpliwości. Więc może...

- Dam panu odpowiedź wieczorem. Nie wiem, czy ojciec nie będzie chciał

wyjechać ze mną natychmiast po moim przyjeździe.

Nie spóźnili się ani minuty na lunch. Lady Helena obrzucała ich ukradkowymi spojrzeniami. W jej pełnych dobroci oczach migotało tajone rozczulenie. Czy może już? Od paru lat marzyła o małżeństwie tych dwojga. Flo to taka szalona główka. Kochała ją bardzo, wolałaby jednak widzieć swą siostrzenicę już zamężną. I to właśnie jako żonę Tomka Ardayire'a. Byłaby o wiele spokojniejsza. Pod każdym względem odpowiednia partia. Znała chłopca na wylot. Wprawdzie prochu na pewno nie wymyśli, ale za to żadnych niespodzianek czy rozczarowań. Poczciwy do szpiku kości. I jak ją kocha. Wierny niczym rycerz średniowiecza. Nie spojrzy na żadną panienkę z sąsiedztwa. A przecież niejedna przewraca do niego oczyma... Jaka ta Flo... Żeby...

Oczywiście miała zbyt wiele taktu, by zahaczyć ten temat choćby cieniem aluzji. I tak jej powiedzą, gdy dojdzie co do czego... Jej chyba pierwszej. Zastępowała Flo niemal matkę.

Po lunchu Flo zaatakowała wuja.

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Ależ oczywiście, dziecinko.

- Ale widzisz wujaszku... Mam taką ściśle osobistą konferencję i...

- Rozumiem.. Nie będę ci przeszkadzał. - Sir Ryszard potulnie przeszedł do palarni.

I musiał się uzbroić w zapas cierpliwości, bowiem siostrzenica zaanektowała jego gabinet na dłuższy czas.

Zamknęła drzwi gabinetu na cztery spusty. Rozmowa, którą miała zamiar

przeprowadzić, nie powinna dotrzeć do niepowołanych uszu.

Długo kręciła korbką przestarzałego aparatu zanim wreszcie otrzymała połączenie.

Potem nagle ogarnęły ją wątpliwości co do osoby, która odebrała telefon. Wypytywała

o najrozmaitsze szczegóły, mające stwierdzić ponad wszelką wątpliwość tożsamość rozmówcy. Nauczka z otwartym telegramem nie poszła w las. Mikrofon tak bardzo zmienia niekiedy brzmienie głosu. Gdy wreszcie nabrała pewności, wyłuszczyła całą sprawę. Nie ukrywała popełnionego błędu.

- Hm - z tamtej strony zastanawiano się przez chwilę. Potem zabrzączał słaby dwugłos ożywionej konferencji. W końcu padła decyzja. - To nic nie szkodzi.
- Ale jednak... - miała pewne zastrzeżenia.

Wytłumaczono jej. Z powolną dokładnością. Chodziło o zbyt poważną sprawę, by skąpić paru minut rozmowy. Powiązane w logiczną całość dowodzenia przekonały ją wreszcie.

- To może nawet pomóc naszym projektom - wywodzono. - Bo gdy... Tylko w każdym razie... Inaczej wszystko by przepadło.

Wieczorem zakomunikowała Ardayire'owi swą decyzję.

- Może pan przyjechać do Ricewood - zezwoliła łaskawie.

Wzrok Ardayire'a rozjaśnił się.

- Pojadę z panią.

- W żadnym wypadku - powiedziała stanowczo. - Oczekujemy pańskiego przyjazdu dopiero pojutrze. Gdyby pan przyjechał wcześniej nie chciałabym pana w ogóle znać...

IX

Znowu szum. Woda czy rój rozwścieczonych pszczoł? Kołysanie wzburzonych fal.

Z wysiłkiem podniósł ociężałe powieki. Każda ważyła co najmniej kilkaset funtów.

Otworzył oczy. Niewiele pomogło. Ta sama zasłona nieprzeniknionego mroku.

Odruchowo podniósł ręce do czaszki. Bolała, jak wszyscy diabli! Przesunął palcami po wilgotnych włosach. Musiało boleć. Guz wielkości gołębiego jaja. Ale... Z trudem

naprężył mięśnie. Usiadł, wspierając się plecami o chropowaty pień jakiegoś drzewa. A może to było coś innego? Sięgnął ręką poza siebie. Nie, na pewno drzewo. Tylko w jaki sposób właściwie...

Wyteżając siłę woli zbierał rozpiezchłe myśli. Zaraz... Lindsay... Aha... Waza z epoki Ming... Trzęsący samochód... Motorówka z naftową latarnią... Tak... Później wędrówka w ciemnościach... Strzały... Krzyk... I... co było potem? Ten błysk przed samymi oczyma. I huk... Strzelano? Ale kula i guz? To jakoś do siebie nie pasuje...

Zupełnie nie pasuje. Więc co?

Potał opuchliznę, jakby chcąc zmusić mózg do intensywnej pracy. Biegł z rewolwerem. Podniesiony bezpiecznik... Więc może? Poruszył ramionami. Mięśnie zaczynały tracić swą drętwość. Trzymając się drzewa zdołał powstać na nogi. Jeszcze trochę miękkie. Zupełnie jakby mięśnie zamieniono na kłęby waty. Jeden krok... drugi... No, w każdym razie idzie już trochę lepiej. Mały cios w głowę. Twarda czaszka.

Wytrzymała już niejedno. Głupstwo. Cios? Ba, ale kto by... Jeszcze raz zreasumował przebieg wypadków. Na zimno. Przecież tamten z rewolwerem nie waliłby kijem.

Nonsens. I nagle zaklął. Drzewo. To samo, które mu pomogło do powstania. W tych egipskich ciemnościach... Hm... Jeżeli ktoś jest na tyle głupi, by biec jak wariat. Na ośle. I do tego w nieznanym terenie. Jednak, żeby były współpracownik Intelligence?

Kompromitacja, co tu dużo gadać. Odbezpieczony rewolwer! I właśnie z tego powodu ten ostatni strzał. Przyklęknął, szperając w liściach zaścielających alejkę. Ba, żeby parę zapalek. W każdym razie wolałby odzyskać swój pistolet. Wcale niezła maszynka.

Szczególnie, jak nie ma innej pod ręką. Bo jednak ktoś sobie urządzał polowanie na człowieka. I diablo na to wyglądało, że go w końcu upolował.

Przez palce przemknęło parę połamanych gałązek. I cała masa zeschniętych liści.

Rewolweru ani śladu. Po paru minutach zrezygnował z poszukiwań. Bóg wie dokąd mógł upaść z rozmachu. Trudno. Trzeba iść dalej. Bo tymczasem Mac Cormick...

Wokoło panowała niczym niezmacona cisza. Tylko trzask łamanych własnymi podeszwami gałęzi.. Ostatecznie, nie może być chyba zbyt daleko.

Rzeczywiście nie było daleko. Po przebyciu kilkudziesięciu kroków dojrzał jakąś niewyraźną plamę przed sobą. Niewyraźną, ale niewątpliwie jaśniejszą od otaczającego mroku. Odetchnął z ulgą, bo jednak... Jakieś niewidoczne kwiaty rozsiewały duszącą woń. Musiało być ich bardzo dużo. Pod stopami miękki jak dywan równiutki trawnik. Zamazane zarysy budynku. Mdłe światło niewielkiej naftowej lampki. Marmurowe schody. Wielka, częściowo oszklona weranda. Nareszcie.

Zdecydowanie wbiegł po szerokich stopniach. Ostro zabrzmiał w ciszy stuk jego butów. Nie wywołał jednak żadnego znaku życia. Na werandzie było pusto. Powiódł wokoło badawczym spojrzeniem. Po kątach zalegał zgęszczony mrok. Zdołał dojrzeć tylko wywrócone krzesła i szczątki strzaskanego kryształu na marmurowej szachownicy podłogi. Wyglądało na ślady jakiejś gwałtowej walki... Poprzez szyby osadzone w drzwiach przeświecał żółtawy odblask. Jednak ani śladu czyjejś obecności. Zaklął przez zaciśnięte zęby. Czyżby wymordowano wszystkich mieszkańców pałacyku, nie wyłączając Gordona? Historia nabierała coraz bardziej cech niesamowitej zagadki. Zastukał mocno w szybę. Tym razem hałas wywołał jakiś ruch we wnętrzu budynku. Czyjeś powolne kroki. Niewyraźna sylwetka na tle matowych tafli szyb. Z trzaskiem otworzyły się gwałtownie szarpnięte drzwi. Na progu stał starszy, z lekka zgarbiony pan. Obie ręce miał głęboko ukryte w kieszeniach marynarki. Na wysokości prawej kieszeni materiał marszczył się, odciągany przez jakiś sztywny przedmiot. Pentham miał zbyt wiele doświadczenia pod tym względem, by nie zdać sobie od razu

sprawy, jakiego rodzaju był ten przedmiot. Wielkokalibrowy pistolet. I lufa wycelowana w serce Penthama. Cienka wełna nie stanowiła, oczywiście, najmniejszej przeszkody dla kuli. Pentham niegdyś także próbował strzelać przez kieszeń. I wychodziło wcale nie najgorzej.

Przymrużył oczy. Udawał, że w ogóle nie dostrzega broni. Tylko ukradkiem obserwował falowanie materiału. Tamten pewno trzyma palce na cynglu? Trudno. I tak nic na to nie można poradzić. W każdym razie rodzaj przywitania trudno by zaliczyć do entuzjastycznych.

- Sir Percy Gordon? - zapytał zupełnie spokojnie.

Chwila wahania. Zanim padła odpowiedź, słuch Penthama ułowił słabe odgłosy delikatnych bosych kroków. Ktoś podchodził z tyłu. Rzucił spojrzenie przez ramię. Bagatela. Dwóch brunatnoskórych dżentelmenów z obnażonymi krisami w rękach. Penthama zapiekła blizna na plecach. Ta sama, nad którą niegdyś doktor Bentley załamywał ręce. „Gdyby o centymetr głębiej, pułkowniku, nie miałbym w ogóle po co wciągać operacyjnych rękawic”. No, ale wciągnął. I jakoś załatał dziurę.” Wprawdzie Pentham później przez parę tygodni kłął w żywy kamień, przykuty do szpitalnego łóżka, ale wszystko się dobrze skończyło. Pozostała tylko szeroka blizna. I teraz właśnie go zapiekła.

Jeszcze jedno spojrzenie w tył. Lśnienie ostrzy robiło raczej niepokojące wrażenie. Słaby ruch i ugodzą w kark. Mózg Penthama pracował z błyskawiczną sprawnością. Ani śladu osiadłej przez lata wygodnego życia rdzy. Zreassumeował swe położenie. Z przodu wylot pistoletu, z tyłu dwa godzące w kark ostrza, kto wie, czy nie zatrute. Wyglądało to jak pułapka na szczury. Do diabła! Pomimo wszystko jeszcze w taką sytuację nigdy nie zabrnął. Dwie gołe pięści do obrony. Piekielnie mało, choć umiał się

przecież nimi niezgorzej posługiwać. Mięśnie napięły się jak stalowe sprężyny. Tak czy inaczej nie da się zarznąć jak cielę. Walnąć starego pod brodę i uciekać w głąb willi? Nie, nie zdąży. Na nic. Lepiej przysiąc nagle ku ziemi i uciekać w bok. A później przez balustradę i w zarośla. Niech go szukają w gęstwinie. Tak... takie posunięcie miało pewną szansę powodzenia. Niewielką, może jedną na tysiąc, ale zawsze.

- Sir Percy Gordon? - powołał pytanie. I w głosie jego najczulszy nawet słuch nie dostrzegłby ani śladu drżenia. Zupełnie, jakby nie było tego pistoletu zawieszonych nad szyją sztyletów. Nie udawał spokoju. Był naprawdę spokojny. Cóż mogłyby pomóc roztrzęsione nerwy? Ze zdziwieniem dostrzegł drżenie powieki w kącie lewego oka starszego pana. Spostrzeżenie to bynajmniej nie wprawiło go w zachwyt. Niedobrze, gdy człowiek, trzymający palec na cynglu, nie panuje nad swym systemem nerwowym. Starszy pan wreszcie przemówił.

- Tak... jestem Percy Gordon - głos brzmiał raczej niepewnie. - A... - wzrok jego powędrował ponad barkarni Penthama. Pentham nie potrzebował się oglądać, by stwierdzić, na co patrzył. Oczywiście na ostrza dwóch krisów.

Lewa ręka starszego pana wychynęła z kieszeni, czyniąc w powietrzu jakiś ruch. Parę gwałtownych słów padło w przestrzeń. Wszystkie zmysły Penthama skupiły się w słuch. Znał to narzecze. I jeżeli... Sprężył mięśnie w gotowości do skoku.

X

Mac Cormick biegał zdenerwowany naokoło swego samochodu. Poza tym było mu piekielnie zimno. Nie pomogła podbita futrem dacha. Przejmująca wilgoć wpełzała wszystkimi szczelinami ubrania. Żeby niemal o dwa kroki przed metą utknąć w ten sposób?"

O mały włos nie wdepnął w poważną kabałę, gdy w ostatecznym zdenerwowaniu

zapropował niedwuznacznie policjantowi łapówkę. Musiał pokornie przeproszać.

Dobrze choć, że tamten ustąpił i obiecał puścić propozycję w niepamięć. Bo inaczej...

Pał zresztą licho konsekwencje... Ale rozgłos, jaki by wywołała tego rodzaju sprawa!

Mac Cormick nie lubił w ogóle rozgłosu. A już o takim posmaku...

Olbrzym w policyjnym mundurze dał się w końcu zupełnie udobruchać. Przyjął

nawet cygaro. Rozgadał się. Poczęstował Mac Cormicka opowiadaniem o ukradzionych

zwłokach zamordowanej dziewczyny. Pokazał ciemną masę szopy, z której... Mac

Cormick nie chciał oglądać. Nie należał do ludzi specjalnie wrażliwych, ale pomysł

oglądania po nocy tego rodzaju osobliwości nie przypadł mu bynajmniej do gustu.

Zresztą: nic go nie obchodziły miejscowe sensacje. Przyjechał w pewnym określonym,

ściśle określonym celu i... Znowu zaczął prosić policjanta. Perswadować. Przecież

powinien zrozumieć, że...

Ale tamten trwał niewzruszony jak skała. Nikomu nie pozwoli jechać tej nocy na

wyspę. Absolutnie nikomu. I pozostanie tu do rana pilnować, by żadna łódź nie odbiła

od brzegu.

- Pan pewnie myśli, że nie zauważyłem, jak pożądlwym okiem łypie Perkins na

demonstrowane banknoty? Proszę mi wierzyć: ja umiem patrzeć. Wiem, że

wypożyczyłby panu łódź, gdybym zrobił choć trzy kroki w stronę miasta. Ale ich nie

zrobię.

Mac Cormick przysiadł na stopniu samochodu. Potężne reflektory samochodu

obrysowywały zarys wyspy. Wyglądało, że wystarczy jeden skok, by osiągnąć

upragniony cel.

- Proszę mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi? - zapytał policjanta. - Bo

ostatecznie znalezienie trupa tamtej dziewczyny nie usprawiedliwia chyba aż takich

ostrożności?

- Ha! - policjant strzepnął narosły na cygarze popiół. - Nie chciałbym odkrywać wszystkich kart. Widzi pan, sir, u nas nie tolerują zbyt gadatliwych funkcjonariuszy. I tak kiedyś nasz sędzia Luckney zagrał mi na nosie, że niby mam za długi język. Zresztą: za jakieś dwie”, najwyżej trzy godziny, przyjedzie detektyw ze Scotland Yardu. I wtedy...

- Czy naprawdę nikt dzisiejszej nocy nie przyjeżdżał na wyspę?

Policjant zaczął spacerować po brzegu, mruczając coś pod nosem. Wreszcie wykonał gwałtowny zwrot i podszedł do Mac Cormicka.

- Niech tam... Może i naprawdę mam długi język... Powiem panu wszystko.

Wówczas zrozumie pan, dlaczego nikt nie powinien jechać na wyspę, zanim przybędzie detektyw. Otóż przed paroma godzinami przyjechał jakiś nieznajomy dżentelmen. Też chciał do Gordon's Hill. Perkins mu odradzał. Bo... No, w każdym razie ód paru dni coś tam jest nie w porządku. Ale cóż, sięgnął do portfela! Nie przymierzając tak jak pan...

Perkinsa nietrudno skusić. Wypożyczył motorówkę. A ojciec Brown... szofer z Ricewood, zawiózł tamtego na wyspę. I jak pan myśli, co się stało dalej?

Mac Cormick nie był usposobiony do rozwiązywania rebusów.

- Czy ja wiem?... - wzruszył ramionami. Policjant schylił swe potężne ciało.

- Zamordowano go - zniżył głos niemal do szeptu.

Mac Cormick podskoczył.

- Co? - wytrzeszczył oczy.

- Tak - powiedział policjant. - Zamordowano. Perkins słyszał wyraźnie jego przedśmiertny krzyk. I strzały rewolwerowe. Strzelano kilkakrotnie, zanim zdołano go wykończyć. Widocznie uciekał, czy coś w tym rodzaju.

- Jak wyglądał?

- Ba - policjant strzepnął palcami. - Sam go nawet widziałem w garażu. Ale cóż.

Nie było zbyt widno. I poza tym podróżna czapka nasunięta na - czoło nie pozwalała dokładnie zauważyć rysów twarzy. Raczej ogólną sylwetkę: szczupły, dość wysoki, postawny. Bary wcale nie najwyższe, jak na mieszczucha. Palił krótką, prostą fajkę. I nierzadko wspominał o diabłach i tym podobnych rzeczach. W każdym razie poznałbym go, gdyby... Aha, jeszcze oczy. Te zdołałem zauważyć: szare. Taki, wie pan, stalowy odcień. I mocno błyszczące.

Palce Mac Cormicka zwarły się kurczowo na krawędzi błotnika. Inaczej byłby upadł. Zrobiło mu się słabo. Więc jednak Pentham! Życzył Penthamowi przeszkody...

Ale przecież nie takiej... Pentham zamordowany? Nie... to niemożliwe... Jeszcze przedwczoraj rozmawiał z nim w klubie. Chłop pełen życia i miałby... Tak bez sensu, na jakiejś zatraconej wyspie?

Bez słowa siadł na stopniu opierając plecy o drzwiczki wozu. Pentham nie żyje.

XI

Mięśnie uległy nagłemu odprężeniu. Słowa wyrzeczone po malajsku nie zapowiadały doraźnego niebezpieczeństwa. Raczej przeciwnie. Zrozumiał je dokładnie, choć wymowa starszego pana pozostawiała wiele do życzenia. Pentham powiedziałby to znacznie prawidłowiej. „Głupcy... Jeszcze nie czas. Musimy wpierw wybadać, po co wlaźł... I tak nie ucieknie...”

Pod ostatnim zdaniem Pentham nie podpisałby się jednak obiema rękami. Bo miał w tej materii cokolwiek odmienne zamiary.

Tym razem odgłos bosych kroków powitał z ulgą. Przynajmniej tyły wolne.

Sytuacja strategiczna uległa niewątpliwemu polepszeniu.

- A... pan kto jest? - zarysowujący się przez materiał kieszeni wylot lufy nie przestawał grozić.

Pentham wykonał poprawny ukłon.

- Reginald George Pentham. Czy pan nie otrzymał mojej depeszy?

Zza pleców Gordona wysunęła się sylwetka szczupłego mężczyzny. Pokryta gęstą siecią zmarszczek twarz przypominała starożytne figurki rzeźbione w słoniowej kości. Wyblakłe oczy patrzyły z nieprężoną czujnością.

Gordon wciąż nie wyjmował prawej ręki z kieszeni.

- To jest pan Pentham, Johnie. Czy nie otrzymaliśmy depeszy?

Zapytany zawahał się jakby szukając w myśli, odpowiedzi. Była to zaledwie króciutka chwilka, nie uszła jednak uwagi Penthama.

- Ach! - wzruszył lekko ramionami. - Tyle otrzymaliśmy ostatnio depesz.

- Przyjechałem w sprawie wazy - wyjaśnił Pentham.

Sposób pełnienia funkcji przez sekretarza prezesa Trustu Stalowego nie wzbudzał w nim najmniejszego entuzjazmu. Bo cały ten pan John był na pewno sekretarzem Gordona. Nie miał na ten temat najmniejszych wątpliwości. I żeby zgubić depeszę nadeszła tego samego dnia? Widać było po jego minie, że nie orientował się zupełnie, o co chodzi.

- Mam zamiar nabyć tę wazę z epoki Ming, którą pan chce sprzedać - tłumaczył dalej. - Wspomniał mi o tym Lindsay, więc...

Zdołał ułoić błysk porozumiewawczego spojrzenia, rzuconego przez Gordona w kierunku sekretarza.

- Aha - mruknął Gordon. - No tak. Waza... oczywiście... Proszę dalej - odsunął się, by dać przejście Penthamowi.

Pentham wszedł do obszernego pokoju. Słabe światło naftowej lampki oświetlało tylko środek. W każdym razie zdołał zauważyć bogate umeblowanie.

- Widzi pan, panie... hm... - zaczął Gordon.

- Pentham - odpowiedział pułkownik.

- Przepraszam. Mam okropnie słabą pamięć do nazwisk. Otóż drobne uszkodzenie elektrowni i... - niedbałym ruchem wskazał na lampkę.

Pentham zajął miejsce na wskazanym fotelu.

- To wygląda na epidemię - zauważył.

- Co? - Gordon zrobił zdziwioną minę.

- No... to drobne uszkodzenie elektrowni. W Ricewood też...

- Nawet nie wiedziałem. Cóż... mieszkamy tu jak na bezludnej wyspie. Zanim przyjedzie zamówiony specjalista musimy tkwić w ciemnościach... Ale, powracając do tej... hm... wazy... Czy wiadoma jest panu cena?

- Oczywiście, Lindsay wymienił ją. Nie niepokoiłbym pana, gdybym wpierw nie stwierdził swych możliwości kupna.

Gordon potarł dłonią czoło.

- Proszę mi wybaczyć - bąknął jakimś niepewnym tonem - tyle mam ostatnio na głowie, że... Czy nie mógłby mi pan przypomnieć kwoty... Bo obawiam się jakiegoś nieporozumienia...

Pentham skrzywił się nieznacznie. Miał takie uczucie, jakby połknął coś wyjątkowo niesmacznego. Bo jeżeli rzeczywiście nieporozumienie? Ten roztrzepaniec Lindsay mógł zapomnieć o jakimś zerze.

- Mówiono mi o tysiącu funtów.

- Tysiąc funtów - przeciągnął Gordon.

- Tak - potwierdził Pentham. - Czyżby zaszła jakaś pomyłka?

Znowu ułowił wymianę znaczących spojrzeń pomiędzy Gordonem a jego sekretarzem.

Wąskie wargi Gordona wykrzywił grymas niewyraźnego uśmiechu.

- Skądże znowu! - zaproponował. - Wszystko w porządku. - Podniósłszy lampę naftową zrobił kilka kroków w kierunku oszklonej gablotki. Poprzez kryształowe tafle słabo zaśniły kolorowe plamy porcelany. Waza z epoki Ming?

- O! - westchnął Pentham z rozczarowaniem. - Lindsay twierdził, że ma ona półtora metra...

Milioner skwitował tę uwagę drewnianym uśmiechem.

- Ależ oczywiście. Pan Lindsay nie mylił się ani o centymetr. Chciałem tylko pokazać panu część moich zbiorów. Chyba zainteresuje to pana? - palce jego dziwnie niezdarnie manipulowały przy drzwiczkach gablotki. Otworzył je wreszcie.

Pentham powstał ociężale. Było tam parę okazów, które mogłyby zachwycić każdego zbieracza. Szczególnie zaciekawiała go grupowa figurka z marką Korzec. Oglądał ją w skupieniu.

- Chyba niewiele takich egzemplarzy można by znaleźć w zachodniej Europie - odstawił ostrożnie cacko na półkę.

- To jest oczywiście tylko... Hm... jak by to nazwać... filia mojej londyńskiej kolekcji - rzucił niedbale milioner. - Przy sposobności zaprezentuję panu resztę.

Pentham uklonił się.

- Będę niezmiernie wdzięczny... - Przy ruchu głowy poczuł dotkliwy ból w czaszce.

Aż syknął, podnosząc rękę do guza. Stwierdził przy tym bez zachwyty, że przybrał on potężnie na objętości.

- Miał pan wypadek? - zapytał uprzejmie Gordon.

- Nie... po prostu w ciemnościach jakieś drzewo stanęło nieostrożnie na mojej drodze... - Nagle spoważniał. - Jednak ktoś miał dzisiejszej nocy wypadek na wyspie.

- Czyżby? - twarz Gordona pozostała nieruchoma. - W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

- Jak to? - Pentham ostro spojrzał w twarz Gordona. - Nie słyszał pan krzyków?

- Krzyki? Na wyspie? - wzruszył lekko ramionami. - Niestety, nie słyszałem nic w tym rodzaju... A kto krzyczał?

Pentham nie przestawał obserwować oczu Gordona. Oczy te jednak nie wyrażały żadnych uczuć. Przypominały wodę w bezdennej studni.

- Tego nie wiem... Strzelano jednak do kogoś...

- Co? - przerwał Gordon. - Nawet strzelano? Musiało się panu zdawać.

Słyszeliśmy tu chyba.

- I ja tak przypuszczam - odparował chłodno. - Strzelano gdzieś w bezpośredniej bliskości willi...

- A może pan coś słyszał? - Gordon spojrzał pytająco na swego sekretarza.

Ten pokręcił przecząco głową.

- Absolutnie nic. A przecież nie spałem.

- No widzi pan - Gordon miał taką minę, jakby ten temat nudził go niezmiernie. -

Pewno jakaś awantura po tamtej stronie rzeki. Tam często hałasują. Jakieś bójki i tym podobne historie... Składałem nawet skargi na ten stan rzeczy sędziemu Luckney'owi...

To mój przyjaciel. Nic jednak nie potrafił zaradzić. Zresztą, jeżeli pan jest pewien, że to nie pomyłka, każe jutro zarządzić poszukiwania na wyspie.

Pentham skapitulował. Dalsze podtrzymywanie tego tematu nie miało sensu. Nie

zmienił jednak swego przeświadczenia: musieli słyszeć. Obydwaj. I to gwałtowne udawanie nieświadomości co do wypadków dzisiejszej nocy ma zapewne jakąś głębszą, im tylko wiadomą podstawę. Ale ostatecznie... Jo Hi naprawdę kogoś zamordowano... Od tego jest policjo. A on przybył tu wyłącznie po wazę. Byle mil ją tylko sprzedali. Później mogą się wszyscy nawzajem wymordować. Co go to w rezultacie obchodzi? Ale gospodarz jakoś nie kwapił się z tą wazą. I to, go zaczynało jednak niepokoić. Napomknął o tym.

- Czy mógłbym obejrzeć?... Gordon podniósł oczy aż do sufitu.

- Teraz po nocy? Co innego, gdybyśmy mieli odpowiednie światło. Ale tak - zaczął kiwać z powątpiewaniem głową. - Sam pan wie, jak te stare porcelany są niekiedy kruche. W takich ciemnościach nie trudno o jakieś uszkodzenie, a...

Pentham musiał przyznać mu rację. Rzeczywiście, gdyby potrącono nieostrożnie...

Nie, lepiej już poczekać do jutra.

Poczęstowano go szklaneczką whisky. I zakąską z prażonych migdałów. Pasowało

- jak pięść do nosa. Whisky jednak należała do całkiem niezłego gatunku. Gdyby dodać do niej solidną kolację... Wnętrznosci skręcał mu skurcz głodu. Cóż zresztą dziwnego?

Od owej zakurzonej zupy nie miał nic w ustach. A cała ta zupa... pożał się Boże. Więcej wody niż czego innego. Prawdę mówiąc: niemal sama woda omaszczona kurzem.

Nie doczekał się jednak kolacji. Gadali parę minut o tym i owym. Właściwie taka tam i rozmowa. Gordon cenił widocznie swe słowa na wagę złota. Cedził je jak z łaski. Coś tam o sztucznej dżungli. Że w całej Anglii...

Pentham udawał bez powodzenia zainteresowanie. Diabła go tam w tej chwili

obchodziła sztuczna dżungla. Oddałby wszystkie dżungle świata za porządną porcję

rostbefu. Albo choćby kawałek słoniny z jajkiem. Więc pomrukiwał przez grzeczność

„wspaniale”... „rzeczywiście”... Nie chciał sobie zrażać Gordona ze względu na wagę.

Ale minę miał raczej osowiałą.

Gordon zaczął dyskretnie ziewać. Sekretarz rzucił serię niby to ukradkowych spojrzeń na wędrujące po porcelanowym cyferblacie wskazówki. Sygnalizacja wypadła raczej dobitnie. Pentham podniósł się ociężale z fotela. W pustym żołądku burczało aż nieprzyzwoicie. Nie miał zresztą nic przeciwko temu, by gospodarz wyciągnął z tych odgłosów odpowiednie konsekwencje: To już po prostu świństwo: przetrzymywać o głodzie człowieka, który przebył taką drogę. Powinien chyba zrozumieć, że...

Gordon jednak niczego nie chciał zrozumieć. Nacisnął taster dzwonka. W drzwiach wyrósł człowiek w liberii. Robił wrażenie ilustracji „służący z wielkiego domu”. Lokaj w każdym calu. Tak bardzo w każdym calu, że wyglądał aż nieprawdopodobnie. Może to z powodu tej fałdy u nasady włosów, która nie uszła wzrokowi Penthama.

Ostatecznie jednak noszenie peruk przez służących nie koliduje z żadnym paragrafem kodeksu karnego.

- Pokaż panu Penthamowi pokój...

W tym momencie cisza leżąca za oknami skotłowała się nagle. Wściekłe ujadanie uderzyło w szyby. I to jakie ujadanie! Pentham dawno już nie słyszał tak potężnych psich głosów.

Gordon zauważył zdziwienie na twarzy gościa.

- To moje pieski - wyjaśnił niedbale - molosy. Z Luizjany. Potomkowie łapaczy ludzi. Zresztą te także są trochę tresowane w tej specjalności. Widzi pan, żyjemy na takim odludziu... Dlatego właśnie ci ludzie z krisami, których obecność pan z takim taktem przemilczał. I te pieski. Niewiele ich jest. Raptem pół tuzina. Ale zapewniam pana: wystarczą, gdyby ktoś niepowołany zechciał zakłócić spokój naszej samotni. - W

głosie dźwięczały dlaczegoś ironiczne nutki.

XII

Pentham rozejrzał się po pokoju. Migotliwy płomień świec, rzucał ruchome cienie na ściany, ożywiając zawiły wzór jedwabnych obić. Niewyraźne obrazy w kosztownych ramach. Stylowe meble z egzotycznego drzewa. Puszystość zalegającego podłogę dywanu. Słowem luksus.

- Cóż - mruknął wyciągając fajkę - siedziba milionera.

Przysiadł na brzegu łóżka. Zapadł się jak w górę puchu. Olśniewająca biel odchylonej kołdry zapraszała do spoczynku. Był piekielnie zmęczony. Niemal marzył o wyciągnięciu obolałego ciała na tych wszystkich miękkościach. Zdawałoby się, że nic nie stoi na przeszkodzie. Nie uległ jednak pokusie. Czuł, że gdyby tylko dotknął głową poduszki, zasnąłby w mgnieniu oka. A wolał jednak nie zasypiać. Lepiej nie.

Przynajmniej zanim nie sprawdzi pewnych rzeczy. Bo jednak... Co tu gadać: jakaś nieuchwytna zagadka tkwiła w Gordon's Hill. Rzucała się w oczy. Musiałby chyba być ślepy, by nie zwrócić uwagi.

Nagle zaczął nadśłuchiwać. Coś szeleściło pod drzwiami. Asocjacja myślowa wywołała przed oczy wizję dwóch krisów, wymierzonych do ciosu. Czyżby? Zaklął przez zęby... Gdyby tak było w istocie... Że też musiał zgubić swój rewolwer.

Przeczekął dłuższą chwilę zastygły w bezruchu. Żeby choć jakiś kandelabr, czy coś w tym rodzaju... Na nocnym stoliku lampka z chińskiej porcelany. Ale takie kruche cacko nie rokowało żadnych możliwości jako narzędzie obrony. Zatrzymał wzrok na taborecie. Tak, raczej już to. W każdym razie robił wrażenie dość ciężkiego. Wyrznąć w łeb... Obliczał w myśli ruchy, jakie ma wykonać.

Podejrzane szmery przy klamce nagle ustały. Może złudzenie przemęczonych

nerwów? Nie kładł się jednak. Parę następnych minut upłynęło w zupełnej ciszy.

Wreszcie uznał, że nadeszła stosowna chwila. Zdjąwszy pantofle, podszedł cichutko do drzwi. Przytknął ucho do polerowanej tafli mahoni. Nie ułowił najmniejszego dźwięku.

W takim razie... zaczął delikatnie naciskać klamkę. Żeby tylko nie skrzypnęła. Nie było skrzypnięcia. Za to czekała go inna niespodzianka. Drzwi nie ustąpiły. Zamknięte na klucz. Zwarł mocno szczęki. Nie znosił, by go zamykano jak zwierzę w klatce.

Swoją drogą dość niesamowite pojmowanie gościnności.

Wyważyć drzwi? - Odrzucił jednak natychmiast ten projekt. Na pewno obudziłby cały dom, a kto wie, jakie moce drzemią w jego ścianach. Tamten krzyk po strzałach nie brzmiał bynajmniej wesoło.

Spojrzał w górę. Prawda. Podłużne okienko nad drzwiami. Na pewno dość szerokie. Pentham potrafił prześlizgiwać się przez niezwykle ciasne otwory.

Przynajmniej kiedyś.

Podszedł do upatrzonego taboretu. No, oczywiście, ciężki. Postawił go bezszelestnie pod drzwiami. Jeszcze parę ruchów zniechęcony zszedł z taboretu. To, co ujrzał przez różnobarwne plamy witrażu, wystarczyło mu zupełnie. Aż nadto wystarczyło. Po obu stronach korytarza przycupnięci na chodniku ciemnoskórzy panowie. Połysk stali na barwnym tle sarongów. Nie spał ani jeden. Na pewno nie. Zdołał ułoić błysk czujnego spojrzenia.

Na nic. W każdym razie ta droga zatarasowana na mur. Nie miał ochoty ryzykować. Zresztą to nie byłoby nawet ryzyko. Stuprocentowa pewność. Ani ułamek szansy. Pozostawało okno. A jeżeli jakieś kraty czy coś w tym rodzaju?

Trochę niepewnie odchyłał ciężkie zasłony. Odetchnął z ulgą na widok gładkiej

szyby. Zdmuchnął świecę. W zębach utkwiła niezapalona fajka. Tęsknił za haustem tytoniowego dymu, nie miał jednak zamiaru dostarczać przeciwnikom świecącego celu tuż przy twarzy. Otworzenie okna nie przedstawiało najmniejszej trudności.

Wyrzął ostrożnie; na dole panowała niczym niezmacona cisza. Trochę go to zastanowiło. Coś tu się nie zgadzało. Przecież nie mogli zapomnieć o drodze przez okno. Dlaczego więc, skoro zabezpieczyli tak starannie wyjście przez drzwi, tu nie zachowali żadnych ostrożności?

Wzrok powoli przyzwyczał się do mroku. Tuż pod oknem biegł wzdłuż muru jakiś występ. Gzyms czy też wypukły ornament. Aż za szeroki jak dla Penthama. Zaczął pełznąć. Na skok trochę zbyt wysoko. Musi być przecież jakaś rynna... Jest! Mocnym chwytem objął blaszaną rynnę. Przyjemny chłód przeniknął rozpaloną skórę dłoni. Szarpnął mocno. Ani drgnęła. Solidna jak marmurowe schody. Haki, podtrzymujące rynnę, dawały pełne oparcie dla rąk. Jeden ruch, drugi... przedsięwzięcie zaczęło wyglądać aż za łatwo. Nawet niepokojąco łatwo. Oczekiwał lada chwila jakiejś nieoczekiwanej przeszkody.

- Masz tobie los! - przyciął zębami wargi. W jednym z okien pierwszego piętra zabłysło nagle światło. I to właśnie w tym najbliższym rynny. Całym ciałem przywarł szczelnie do muru. Nie należałoby do specjalnych przyjemności, gdyby go odkryto właśnie teraz.

- Więc co z tą wazą? - poznał głos Gordona. Zaczął nadśluchiwać. Może dowie się czegoś ciekawego. Bo jak dotychczas działa na oślep.

Zamknięcie drzwi i uzbrojona warta przed drzwiami dały by się od biedy wytłumaczyć jako środki ostrożności przed nieznanym gościem.

Ostatecznie milionerzy mają swoje dziwactwa.

- Waza? - teraz szemrał metaliczny głos sekretarza.

- Ano cóż... Pewno jest w kasie. Pomyśl sam: półtora metra. Aleś się dobrze skompromitował z tą gablotką. Byłem niemal pewny, że wsypa. Sięgałem już po rewolwer.

Pentham nie wierzył własnym uszom. Sekretarz przemawiający per „ty” do Gordona? To wyglądało, na całkiem nieprawdopodobną historię. Czyżby się nie dało zajrzeć do okna? Zbadał sytuację. Jak na złość żadnego występu w murze. Ale przy pewnym wysiłku... ten jard czy półtora. Byleby tylko zaczepić mocno stopy w haki rynny. Korciło go bardzo. Wpierając z całych sił palce obu rąk w nierówności muru, zaczął powoli odchyłać ciało od pionu rynny. Przedsięwzięcie nie należało do specjalnie łatwych. Szczególnie przy obecnej kondycji fizycznej Penthama. Parę lat temu byłoby dziecinną zabawką, ale teraz... Czuł grube krople potu na czole. Wreszcie dotarł do futryny okiennej. Cała akrobatyka przeszła bez specjalnego hałasu. Przynajmniej żadne oznaki nie wskazywały, by po tamtej stronie okna coś zauważono. Rzucił spojrzenie w głąb pokoju i osłupiał ze zdumienia. Ale to, co ujrzał... po prostu nie do wiary. Trzy męskie sylwetki wciśnięte w poduszki klubowych foteli. Trzecią był... Tak, wzrok go nie mylił, służący. Lokaj. Wygodnie rozwalony. Zapalone cygaro w zębach. Palce obracały swobodnym ruchem szklankę do połowy napełnioną przezroczystym płynem. Słowem: za pan brat ze swoim chlebodawcą i jego sekretarzem. Dziwactwo zaczynało przekraczać granice prawdopodobieństwa. Teraz Pentham już przestał się wahać. Musi posłuchać o czym rozmawiają. I rozważyć sobie wszystko dokładnie. Bo inaczej może wdepnąć w paskudną sytuację.

Lokaj wychylił resztę płynu ze szklanki.

- A jeżeli to szpicel? Gordon wzruszył ramionami.

- Skąd by się wziął? Przecież... - machnął ręką. - W każdym razie za wcześnie.

Zresztą John znalazł jego telegram.

John powolnymi ruchami zapalał grube cygaro.

- Tak... Nie należy przesadzać. I grunt bez nerwów. Ostatecznie tysiąc funtów nie chodzi piechotą.

Wzrok Gordona szukał czegoś na suficie.

- Pewno. Kawał grosza. Tylko, jeżeli ta waza jest więcej warta? Gość coś za bardzo się do niej pali...

- Stop - lokaj strzelił palcami. - Marzenia dobre dla poety. My musimy myśleć trzeźwo. Więcej czy nie więcej to nie ma znaczenia. Nie masz chyba zamiaru ciągnąć kruchego czerepu wysokości półtora metra? Ładnie byśmy wyglądali. Daje forszę, to brać. Jak myślicie - przymrużył oczy - czy ten gość przywiózł ze sobą dużo gotówki? Bo gdyby...

Suchy śmiech Gordona przeciął dalsze słowa.

- Daj spokój, Jim. Teraz dla odmiany ty zaczynasz marzyć. Kto by tam woził gotówkę. Jak by przyszło do czego, zostałbyś z książeczką czekową w garści.

- O! Czek? - wargi Jima wykrzywił grymas powątpiewania.

- Cóż z tego, że czek? Jeden z nas pojedzie do miasta, by go zrealizować.

Przeczekamy z wydaniem wazy. To nasze prawo. A później niech sobie szuka wiatru w polu, gdy mu tę wazę odbiorą...

- A jak tam z otwarciem kasy? - wtrącił sekretarz.

Jim wygładził starannie załamanie spodni.

- Chyba można użyć zupy...

- Nonsens - zaprotestował ostro Gordon. - Gdybyśmy chcieli używać zupy, nie

byłbyś nam w ogóle potrzebny. To potrafiłby każdy z nas. Ale nie możemy ryzykować zniszczenia zawartości... Nie mówiąc o wazie... Rozprysnęła by się na pewno w tysiąc kawałków i nikt by nie dał nawet złamanego szeląga. Zapomniałeś już jak ci wyszło ostatnim razem? Jim robił wrażenie zakłopotanego.

- Nie moja wina. Czy mogłem przypuszczać, że papiery będą leżały na samym brzeżku?

- Tu też nie wiesz jak leżą. Leń jesteś, ot i wszystko. Jeszcze nie zabrałeś się porządnie do roboty...

- Jak to? - zaprotestował. - Próbowałem... Gordon wydał lekceważąco wargi.

- Wam się zdaje, że do szyfrowego zamka z alfabetem wystarczy haczyk od butów...

Sekretarz popatrzył na niego zezem.

- Mówiłeś, że tobie wystarczy - podkreślił z naciskiem. - Czyżbyś się tylko chwalił?

- Nie nudźcie - Jim ziewnął szeroko. - Otworzę.

- Kiedy? - zapytał Gordon.

- Jeszcze dzisiejszej nocy. Przecież się nie pali... Pentham przy każdym słowie wpadał w coraz większe zdumienie. Omal nie gwizdał. Ładna historia. Więc to tak?

Rebus wcale nietrudny do rozwiązania. Wystarczy dodać dwa do dwóch. Jednak rezultat tego dodawania wcale go nie zachwycał. Wazę oczywiście diabli wzięli.

Kupno w takich warunkach - stłumił westchnienie żalu. - Szkoda gadać! Trudno.

Trzeba wziąć nogi za pas i wiać z tej przeklętej wyspy. Tyle zmarnowanego czasu...

Dobrze, jeżeli choć wyniesie mniej więcej całą skórę na karku. Zameldować co

potrzeba w pierwszym urzędzie policyjnym i sprawa skończona. Niech sobie dalej

rozplątują kłębek... No, jazda! - sprężył mięśnie do skoku.

Nagle zaszeleściło coś w zaroślach. Buchnęło w uszy wściekłe ujadanie. Płowe cienie dopadły muru. Ledwo zdołał poderwać się w górę.

- Cholera - zaklął szeptem. - Molosy. Ładnie bym wyglądał gdybym skoczył.

Psy nacierały z zaciętością, hałasując coraz donośniej. Diabli nadali. W

oświetlonym pokoju powstał jakiś ruch. Na pewno zwrócili uwagę na ten hałas.

Pentham zacisnął wargi. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego nie wystawiono warty

na dole. Psy wystarczyły. - Czyjeś pośpieszne kroki w kierunku domu. Lada chwila ktoś

wyjrzy. Nie ma co. Przestał się wahać. Powrotną drogę na drugie piętro odbył w tempie

o wiele szybszym niż w dół. Siedział już na parapecie, gdy w dole trzasnęło gwałtownie

otwierane okno. Jakiś masywny cień wychylił się ryzykownie. Który z nich? Zresztą nie

miał czasu do rozwiązywania tego zagadnienia. Ten czy tamten, co za różnica? W

każdym razie zdołał dojrzeć refleksy światła w rewolwerowej lufie. Zamknął zakrętkę.

Wnioskując z tego, co słyszał, nie groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo. W

najgorszym razie straci tysiąc funtów. A i to jeszcze nie wiadomo. Do rana może wpaść

do głowy jakiś fortel. Nie jeden, a tysiąc. Wychodził z gorszych tarapatów. Podszedł do

łóżka. Właściwie można sobie uciąć małą drzemkę. Tymczasem i tak nie znajdzie

żadnego wyjścia. Był piekielnie zmęczony. Przeciągnął obolałe mięśnie. Zasłużył

uczciwie na odpoczynek.

Zasypiając, spojrział na stojący pod drzwiami taboret. Muszą potrącić drzwiami,

gdyby chcieli otworzyć. Nie zaskoczą go we śnie. Zasnął od razu. I o dziwo: we śnie

zamiast krisów i luf rewolwerowych widział fiołkowe oczy na tle popielatych

kędziorów.

Gordon zajrzał w głąb szuflady. Jedna z dwóch, płonących rubinowych światłem żarówek zgasła.

- Zamknął okno - oznajmił. Po chwili zgasła druga. - Teraz położył się do łóżka.

Sekretarz cofnął wysuniętą dotychczas poza parapet okienny głowę.

- Nareszcie - westchnął z wyraźną ulgą. Niedbale wrzucił do kieszeni marynarki ciężki pistolet.

- Mą pan już tego dosyć? - uśmiechnął się Gordon.

- No, wie pan, szefie. Wszystko dobrze, żeby jednak człowiek po tylu latach musiał... - zrobił wymowną minę.

- No - Gordon podsunął mu skrzyneczkę z cygarami - to już chyba najmniejsze. A kto fukał na nerwy?

John wybrał starannie cygaro.

- To nie ma nic wspólnego z nerwami. Jednak przyzwyczajenie... Jak by mi skórę z języka zdzierali... Lada chwila obawiam się gafy...

Człowiek w liberii lokaja podszedł do biurka. Z zainteresowaniem oglądał umocowane na płytce ebonitu miniaturowe żarówki.

- Swoją drogą z tego Liyanga nie lada majster. Nigdy bym go o to nie podejrzewał.

- Ani ja - potwierdził Gordon. - Jak mówi był przedtem elektrotechnikiem. Zdolny.

Pomysł i wykonanie: wszystko sam. I co najważniejsze - zatoczył okrągłym ruchem ręki wokoło - ani śladu. Na górze też nikt nie wykrył instalacji. Gdyby kiedykolwiek chciał powrócić do poprzedniego zawodu...

Lokaj roześmiał się.

- Wątpię, by mu się taka zmiana opłacała... Cicho skrzypnęły drzwi. Weszli dwaj mężczyźni w batikowanych jedwabkach. Szczęknęła stal rzuconych na kanapę krisów.

Liyang ziewnął zasłaniając usta dłonią.

- Śpi. Przyznać muszę, że nie miałbym nic przeciwko temu, by pójść w jego ślady - podszedł do ukrytej w szufladzie instalacji. - Teraz dla odmiany zadzwoni, gdyby na górze zaszła jakaś zmiana sytuacji - przesunął palcami małą manetkę.

- Właśnie podziwialiśmy pańskie urządzenie - zauważył Gordon.

- Ba - dodał osobnik w liberii - sir Percy obiecał nawet dać panu zajęcie w tej dziedzinie.

Liyang opadł ciężko na fotel.

- Bardzo jestem wdzięczny. I kto wie, czy kiedyś nie skorzystam z propozycji. W naszym zawodzie nigdy nic nie wiadomo."Wystarczy jeden nieostrożny krok, by wszystko diabli wzięli.

Towarzysz Liyanga wyciągnął wygodnie długie nogi, wspierając plecy o poduszki kanapy...

- Nie filozofuj, chłopcze - pogroził mu palcem. - Nie wolno nam rozmyślać o takich możliwościach. Nigdy nie zrobimy fałszywego kroku... Pomyśl, tyle lat i jakoś...

Liyang wzruszył ramionami.

- Aż kiedyś przyjdzie taka chwila, gdy... Co tu zresztą do filozofowania? Niemal wszyscy z nas przecież kończą w ten sposób. Ocaleć może tylko ten, kto w porę zawróci...

Mickey spoważniał.

- Miałbyś zamiar? - w pytaniu brzmiał wyraźny niepokój.

Zapytany przymknął powieki. Na twarzy jego zastygł wyraz zmęczenia.

- Kto wie... Może... i tobie bym radził... Nie jesteśmy już tacy młodzi - odpowiedział sennie.

Świtało już. Penthama wyrwał ze snu odgłos ujadania psów. Otrzeźwiało w mgnieniu oka.

- Czyżby kogoś dopadły? - wyskoczył jednym susem z łóżka, podbiegając ku oknu.

W obłej szarości przedświtu ujrzał olbrzymie zwierzę, podskakujące ku gałęziom jakiegoś drzewa. Dojrzał też przedmiot zajadłej napaści. Roześmiał się mimo woli.

Nerwy doznały nagłego odprężenia. Kot. Zwyczajne bure kocisko, przycupnięte na wierzchołku. Rozweselony obserwował przez dłuższą chwilę scenę. Tak bardzo odbiegała od ponurych przewidywań.

Raptem śmiech zamarł na jego wargach. Aż przetaił oczy. Czy... Ależ tak... Dobrze zauważył. Groźny pysk ludojada tkwił w szczelnym kagańcu. Ostre kły błyskały niegroźnie przez kratę z grubego drutu. Jeżeli i pozostałe... W tym momencie, jakby w odpowiedzi na nieme pytanie, wypadł z zarośli drugi pies, sadząc potężnymi skokami w kierunku obleganego przez towarzysza drzewa. I on miał kaganiec.

Więc gdyby wczorajszej nocy zaryzykował skok na ziemię? Przystawał w ogóle rozumieć. W zamyśleniu wracał do łóżka. Kagańce? To nie była taka drobnostka, na jaką wyglądało na pierwszy rzut oka. Znak zapytania zaczął wyrastać przy dotychczasowym rozwiązaniu zagadki Gordon's Hill. Bo przecież... Sumował wszystko od początku. W końcu machnął ręką. Godzina była jeszcze nieprzyzwoicie wczesna. Przyłożył głowę do poduszki. Jednak zagadka nie przeszkodziła mu w natychmiastowym zaśnięciu.

* * *

Liyang leniwie podniósł powieki. Dzwonek cicho terkotał. Rzucił niechętnie spojrzenie na zegarek. Do licha! Czy tej nocy nie pozwolą mu w ogóle zmrużyć oka?

Wprawdzie miał sporo zarobić na tej całej historii, ostatecznie jednak wszystko powinno mieć swoje granice.

Od strony kanapy dobiegał miarowy odgłos spokojnego oddechu. Zerknął zazdrośnie. On to ma sen... Postanowił przeczekać chwilę. Bo może...

Odgłos dzwonka nie ustawał jednak, świdrując natrętnie w uszach. Zaklął przez zaciśnięte zęby.

Żeby tego wariata! Co go nosi? Powinna mu chyba wystarczyć wczorajsza eskapada...

Wreszcie wściekły do ostatnich granic, postanowił opuścić przytulne objęcia kanapy. Trudno, skoro za to płacą...

I że też własnoręcznie założyłem podobne świństwo - obrzucił nieprzyjaznym wzrokiem instalacje.

Właśnie w tej chwili dzwonek umilkł. Jeszcze nie wierzył własnym uszom, czekając na ponowienie alarmu. Panowała jednak cisza, tylko gdzieś za oknami ujadały psy. Ale i to go nie obchodziło. Psy na szczęście nie wchodziły w zakres jego obowiązków. Kto inny się tym zajmował.

- No, przecież - wyciągnął z powrotem ciało na elastycznych sprężynach. - Może tym razem da mi już spać do rana...

Jeszcze jeden mieszkaniec Gordon's Hill musiał przerwać słodki sen. Nieustępliwe palce Gordona szarpały ramię w pasiastej piżamie. Nie pomogły błagalne mruczenia..

- Bardzo mi przykro - tarosił bezlitośnie rękaw piżamy - ale już świta.

W końcu śpiący pożegnał szerokim ziewnięciem odlatujący bezpowrotnie sen.

Ziewnął jeszcze raz i odrzucił zrezygnowanym ruchem kołdrę.

- Czy muszę to włożyć? - wskazał na wiszącą przy łóżku liberię.

Gordon zastanowił się chwilę.

- Nie sądzę - zdecydował wreszcie - by to było konieczne.

Zaczęli gmerać w pobrzękującej stalową zawartością walizce. Pan w piżamie oglądał nieufnie dziwaczne narzędzia.

- Myśli pan, sir, że... Gordon uśmiechnął się...

- No cóż... pewno, że dynamit załatwiłby to z większym efektem. Ale i tak... -

Zresztą - przytknął usta niemal do ucha rozmówcy. Wyszepiał parę słów.

Mężczyźnie w piżamie pojaśniała twarz.

- W takim razie nie powinno chyba potrwać zbyt długo?

- I ja jestem tego zdania. Zresztą pomogę panu w miarę moich możliwości.

XV

Odskoczyły szarpnięte gwałtownym ruchem drzwi. Ciężki taboret runął z łoskotem na podłogę. Zanim Pentham zdolał wyskoczyć z łóżka, oba jego ramiona utkwily w cęgach silnych palców. Coś nim potężnie zatrzęsło. Miał wrażenie, że nadeszła ostatnia chwila.

- Żyjesz? - W burych oczach Mac Cormicka dojrzał wyraz nieklamanej troski.

- Troszeczkę - roześmiał się, by pokryć wzruszenie. - Lecz jeżeli nie przestaniesz wytrząsać ze mnie duszy, to już chyba niedługo...

- Łatwo ci żartować - puścił go padając na fotel. - Ale gdybyś rozmawiał tak jak ja z naocznym świadkiem twego zamordowania...

Pentham aż usiadł na łóżku.

- Z naocznym świadkiem? - spojrzał na niego zdumiony. - Rozmawiałeś z kimś takim, kto widział, jak mnie mordowano? - Pytanie to, wbrew wszelkim pozorom, nie było czysto retoryczne.

- Przepraszam - sapnął - źle się wyraziłem. Człowiek taki zmęczony, że mu się język po prostu płacze. Nie widział, tylko słyszał. Słyszał strzały i krzyki mordowanego. Byliśmy wszyscy pewni, że to właśnie ty... Jeżeli więc wolisz, możemy tego świadka nazwać „nausznym”...

- Chwileczkę - mózg Penthama pracował już z całą sprawnością. Spojrzał uważnie na drzwi. - Zamek nie wyłamany - szepnął do siebie. - Widocznie ktoś tymczasem otworzył.

- Zamykałeś je na klucz? Pentham machnął ręką.

- Drobnostka. Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu rozmyślam na głos. Więc...

Powracając do twojego opowiadania: ten ktoś słyszał strzały i krzyki na wyspie? Czy jest tego pewien?

- Jak najpewniejszy. Złożyli już zeznanie przed inspektorem Mallone...

- O! - zainteresował się nagle. - Mallone? H.G. Mallone?

- Nie znam jego imienia.

- Taki niewysoki, krótko strzyżone wąsiki, binokle, utyka lekko na jedną nogę.

- Rysopis zgodny co do joty. Znasz go?

- Co nieco. Współpracowaliśmy kiedyś w pewnej sprawie...

Przypomniał sobie szczegóły tej współpracy. No - skonstatował w duchu - jeżeli inspektor się nie zmienił, dopiero narobi tu bałaganu. Cały Scotland Yard potem z tego nie wybrnie.

Mac Cormick wydobył potężnych rozmiarów portcygar.

- Zapalisz?

- Dziękuję - Pentham odmówił ruchem głowy.

Sięgnął po fajkę. - Więc ten Mallone ma tu zamiar przyjechać?

- Już przyjechał. Siedzi w salonie i węszy. Nie wiesz kogo tu zamordowali wczorajszej nocy?

- Nie mam pojęcia.

- A... - zawahał się - Masz już tę wazę?

- Jeszcze nie. Mieliśmy załatwić transakcję dzisiaj... No - zapalił fajkę - skoro jednak przyjechałeś...

- Cóż to ma do rzeczy? - sapnął. - Przecież ty masz pierwszeństwo. Chciałbyś zrezygnować z kupna?

- Nie... Choć mogą zajść jeszcze rozmaite warianty tej historii. Skoro jednak zaczniesz licytację in plus... Przy twoich możliwościach finansowych...

- Za kogo mnie masz? - oburzył się szczerze. - Ani mi nawet w myśli podobne świństwo. Zresztą, przyznam, mam teraz na głowie większe kłopoty niż ta cała waza.

Daleko poważniejsze. Powiedz mi, jak tu jest? Zdołałeś co nieco zaobserwować?

- Co nieco? - roześmiał się. - Znacznie więcej niż co nieco. Ale nie wiem, o co ci mianowicie chodzi?

- O... - zawahał się Mac Cormick.

Ta chwila wahania nie uszła uwagi Penthama. Zdążył z niej wyciągnąć odpowiednie wnioski, zanim padły następne słowa. I ustalił linię swego postępowania. Skoro Mac Cormick...

- Dlaczego Gordon sprzedaje tę wazę? - padło wreszcie pytanie.

Pentham stłumił ziewnięcie. Chętnie pospałby jeszcze godzinkę. Albo nawet dwie.

- Czy ja wiem... Może byś zapytał jego samego?

Mac Cormick obserwował z uwagą popiół narastający na końcu cygara.

- To nie jest takie proste - mruknął wreszcie.

- Dlaczego?

- Bo widzisz... - Umilkł. - Hm... powiedz mi, jakie tu odniosłeś wrażenia...

- Dobrze. Była cała masa wrażeń. I to wszystko w najbardziej sensacyjnym gatunku. Trzymaj się mocno poręczy to ci opowiem. Tylko nie spadnij z fotela.

Opowiedział. Wszystko. Nie pominął żadnego szczegółu. Wszystko wypadło piorunująco. Jeszcze nie skończył, gdy Mac Cormick skoczył na równe nogi..:

- Słuchaj! - zajrzał w oczy Penthama. - Czy ty nie żartujesz przypadkiem?

- Nie - zaprzeczył poważnie.

- Ale w takim razie... - zaczął biegać nerwowo po pokoju. - Coś niesłychanego!

Czy nie rozumiesz? To jasne jak słońce: jakaś banda okupuje Gordon's Hill. I ktoś udaje Gordona. W jaki sposób mogłeś nie spostrzec tego od razu?... Wprost cię nie poznaję! Z twoją spostrzegawczością...

- Tylko nie zapominaj o kagańcach - zawołał Pentham. - to przecież nie pasuje.

- Co? - Mac Cormick wytrzeszczył oczy. - Kagańce? Co mnie one obchodzą? I dlatego niby ma nie pasować? Nałożyli psom kagańce, by ich nie pogryzły! Całkiem proste. Jeszcze potwierdza moją teorię. Gdyby osobnik udający Gordona był nim rzeczywiście, nie miałby powodu nakładać swym psom kagańców. Cudzym musieli nałożyć.

Pentham pokiwał niezdecydowanie głową. Ostatecznie takie wyjaśnienie także miało pewne podstawy.

- Czy ty znasz osobiście Gordona? Mac Cormick przystanął gwałtownie.

- Tak! Rozmawiałem z nim parę razy. W sprawie... Zresztą mniejsza o to. Dość, że rozmawiałem...

- W takim razie masz łatwy sposób sprawdzenia tożsamości gospodarza.

Mac Cormick uderzył otwartą dłonią w czoło.

- Racja. Że też mi to wcześniej nie przyszło na myśl. Ubieraj się - podał

Penthamowi marynarkę - musimy zejść razem na dół. Okropnie mi zależy na czasie.

XVI

Inspektor przetarł okulary.

- To pan, panie pułkowniku?

- Mniej więcej - Pentham wyciągnął prawicę.

- Jestem zachwycony.

Pentham był mniej zachwycony. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Ostatnia rozmowa, jaką przed kilku laty odbył z inspektorem Mallone, nie miała bynajmniej przyjacielskiego charakteru. Wygarnął mu wtedy ładnych parę słów prawdy. Ale bo też było za co. Mało kto na świecie napsuł tyle krwi Penthamowi, co właśnie inspektor.

Wprawdzie nie przez złą wolę, ale wtedy wychodziło to na jedno.

Mallone, po paru zdaniach na obojętne tematy, wciągnął Penthama w tryby swych pytań: „Czy pan pułkownik słyszał to? Czy pan pułkownik widział tamto?”...

Zaczął urzędowanie. Właściwie trudno się było zorientować, czy chodzi mu o wyłowionego z rzeki trupa dziewczyny, czy też raczej o nocne strzały i krzyki.

Wyglądało, że macał na oślepa. Co do zabitej, pytania poszły w próżnię. Pentham wyjaśnił od razu, że przyjechał już po wszystkim. W tej sprawie nie może służyć żadnymi informacjami. Wówczas inspektor powrócił do zdarzeń ubiegłej nocy.

Pentham cierpliwie odpowiadał. Nie widział tego, który strzelał... Ani tego do kogo strzelano... Noc... mgła... Owszem, słyszał strzały. Było ich trzy... Brwi inspektora powędrowały ku górze.

- Trzy?

- Tak - potwierdził Pentham. - Przynajmniej ja tyle słyszałem.

- Hm - Mallone wetknął cienkiego papierosa pomiędzy zęby. - Wypytywani przeze mnie rybacy twierdzą, że były cztery strzały. Gotowi są przysiąc. Szczególnie Perkins. Ten, który wynajmował panu motorówkę. Stał właśnie na brzegu i majstrował coś przy motorze, gdy padły strzały. Jak zeznał, trzy usłyszał niemal bezpośrednio jeden po drugim, czwarty zaś po pewnym czasie.

- Ach tak... - Pentham uśmiechnął się. Prawda!

Był i czwarty strzał.

- No, więc?

- Ale ten ostatni padł z mego rewolweru. Inspektor przysłonił oczy powiekami.

- Aaa... To i pan strzelał?

- Tak.

- Do kogo?

- Niestety. Do nikogo. Po prostu natknąłem się w ciemnościach na jakieś drzewo i rewolwer sam wystrzelił. Od wstrząsu. Nabiłem sobie wtedy solidnego guza. - Dotknął palcem wypukłości na czaszce.

- Tak... Rewolwer wypalił sam... Od wstrząsu - powtarzał jak echo Mallone, obserwując z uwagą smugi kurzu na swych butach. - Miał pan go w kieszeni?

Pentham pokiwał głową z pobłażliwym uśmiechem. Mallone nic się widocznie nie zmienił. Takie same podstępne chwytaki jak wtedy. Ależ dureń... Czyżby miał zamiar uważać go za podejrzanego? I niby o co?

- Widział pan kiedy, inspektorze, automatyczny pistolet, który by sam strzelał w kieszeni? - obrzucił go chłodnym spojrzeniem. - Bo ja jeszcze nigdy. Trzymałem rewolwer w ręku.

- Przepraszam - uśmiech inspektora brzmiał zupełnie sztucznie. - Ależ ze mnie

gapa. Oczywiście, że musiał go pan trzymać w ręku! I naturalnie: odbezpieczony!

- Inaczej nie wystrzeliłby - skonstatował obojętnie.

- A - twarz inspektora przypominała czyhającego na zdobycz jastrzębia albo raczej

kurę celującą dziobem w znalezione ziarno. - Czy wolno zapytać, dlaczego pan

pułkownik trzymał w ręku odbezpieczony rewolwer?

Pentham wzruszył ramionami.

- Całkiem proste. Słyszałem strzały i krzyki. Wyglądało, że ktoś kogoś morduje.

Biegłem na pomoc, gdy to nieszczęsne drzewo stanęło mi na drodze. Właśnie z tego

powodu rewolwer... Trudno chyba wymagać, bym atakował gołymi pięściami

jegomościa, który sieje kule po świecie? Zresztą miałem przyjemność słyszeć świst

jednej z nich nad moją głową.

- Tak - potakiwał inspektor - oczywiście. Zupełnie zrozumiałe. Więc pan

pułkownik wystrzelił tylko jeden raz?

Pentham wydobył z kieszeni fajkę. Mallone zaczął go nudzić. Że też akurat

musieli wysłać tego durnia.

- Mówiłem już - mruknął napychając tytoń.

- Przepraszam - twarz inspektora mogła by w tej chwili służyć jako model do

ilustracji „uosobienie grzeczności”. - Proszę mi wybaczyć, panie pułkowniku. Mam taki

nieszczęsny zwyczaj powtarzania pytań.

Pentham przytknął zapalną do fajki.

- Pamiętam - zauważył znacząco.

Na policzki inspektora wystąpił słaby rumieniec. Poczul palenie skóry na twarzy.

Był wściekły, ale nic na to nie mógł poradzić. Przypomnienie nie należało do gatunku

specjalnie przyjemnych. Ostatnie spotkanie z Penthamem kosztowało go w rezultacie dużo zdrowia. I nie tylko zdrowia. Awans diabli wzięli. Ile razy podtykano mu pod nos tamtą nieszczęśliwą sprawę... Tak... Penthamowi niezbyt bezpiecznie nadeptywać na odcisk. Pokazał wtedy. Prawda: teraz nie jest już w służbie. Przynajmniej, o ile wiadomo. Bo z tym Intelligence... Kto by się tam połapał, który z nich naprawdę przestał pracować, a który tylko tak, dla zamydlenia oczu. Trudno. W każdym razie ostrożność nie zawadzi.

- Hm... - odchrząknął. - Proszę mnie zrozumieć, pułkowniku... I nie mieć broń Boże za złe natręctwa. Ale: służba.

- Rozumiem. I nie mam za złe - oświadczył poważniejąc Pentham. - Jestem do pańskiej dyspozycji, inspektorze.

- Bardzo dziękuję za te słowa. Więc... - chwila wahania - czy byłby pan tak uprzejmy pokazać mi swój pistolet?

Pentham rozłożył bezradnie ręce.

- Zrobiłbym to z przyjemnością. Niestety. Zgubiłem go.

Inspektor popatrzył z ubolewaniem.

- Pech! Zgubił pan?

- Tak. W alejce. Inspektor strzepnął palcami.

- Głupstwo. Znajdziemy. Lada chwila przybędą na wyspę ludzie dla przetrząśnięcia zarośli. Jeszcze jedno małe pytanie... Czy pan tu przybył na zaproszenie sir Gordona?

- To pan jeszcze nie rozmawiał z gospodarzem?

- Jak mi powiedziano, sir Gordon kończy poranną toaletę. Ma mnie przyjąć lada chwila.

Pentham zamyślił się. „Kończy poranną toaletę?” To brzmiało cokolwiek dziwnie.

- Miał mi pan powiedzieć o celu przybycia na wyspę, pułkowniku - przypomniał uprzejmie Mallone.

- Ach, tak! - Pentham ocknął się z zadumy... - Przepraszam. Otóż nikt mnie tu nie zapraszał. Nigdy przedtem nie widziałem sir Gordona. Przybyłem tu, aby nabyć pewną rzecz.

- Wolno wiedzieć jaką?

- Wazę z epoki Ming. Mallone pokiwał głową.

- Rozumiem...

Nie była to jednak prawda.

XVII

Mac Cormick obrzucił podejrzliwym spojrzeniem pusty korytarz, zamknął szczelnie drzwi, po czym opadł na fotel.

- To jest po prostu okropne - jęknął niemal. Pentham odpowiedział pytającym spojrzeniem.

- Co, mianowicie?

- To wszystko, co się tutaj dzieje...

- Zaszło coś nowego?

Mac Cormick puszczał kłęby dymu z grubego cygara.

- Żeby to wszyscy diabli!

Pentham nie dowierzał własnym uszom. Przekleństwo w ustach Mac Cormicka? W to by chyba nikt nie uwierzył. Wyglądało prawie na kataklizm. Poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- No, stary. Wyłóż wszystko po kolei. Razem pójdzie nam łatwiej.

Mac Cormick sapał nie odpowiadając.

- Widziałeś się z Gordonem?

- Gorzej! - wybuchnął. - Widziałem go w takiej chwili, gdy był pewien, że nikt na niego nie patrzy...

- No i co?

Mac Cormick przycisnął palcami skronie.

- Można oszaleć. To nie jest wcale Gordon. Jakiś oszust... Bandyta... Czy ja wiem kto?... Zresztą: wszystko jedno. W każdym razie nie Gordon.

Pentham gwizdnął cicho przez zęby.

- Więc to tak? Jesteś tego pewien?

- Jak najpewniejszy. Nie mogłem się doczekać przyjścia Gordona. No... nerwy mnie trochę poniosły. Widzisz, chodzi mi... - zawahał się - cóż” w każdym razie zależy mi bardzo na stwierdzeniu, jak jest naprawdę. Mam bardzo poważne powody...

Wyszedłem do ogrodu. Taki mały spacerek dla uspokojenia. Przechodzę koło jednego z okien i... znajoma sylwetka. Podobna do Gordona. Słowem: zajrzałem. W pierwszej chwili dostrzegłem tylko plecy w jedwabnej piżamie, czy czymś w tym rodzaju. Siedzi sobie jegomość przed lustrem... I właśnie to lustro mi pomogło. Stało akurat naprzeciwko okna. Jak portret w ramie. Gordon. Na toalecie porozstawiane rozmaite pudełeczka i flakony. Robi toaletę.

- Hm...

- Nie ma czego chrząkać - obruszył się. - Posłuchaj dalej! Patrzę i nie wierzę własnym oczom. Choć po tym, co mi naopowiadałeś... Nakłada perukę. Rozumiesz? Perukę!

- Widziałeś jak nakładał?

- Niezupełnie. Widocznie już kończył. Poprawiał, bo trochę krzywo siedziała. Ale -

to jeszcze nie wszystko; Potem zaczął smarować twarz szminkami...

- Co? - Wzrok Penthama błędził po zawiłym deseniu witrażu nad drzwiami. -

Charakteryzował się przy odsłoniętym oknie? Do tego na parterze, gdzie w każdej chwili mógł ktoś zajrzeć? Wybacz, ale to jednak...

- Przecież nie miałem halucynacji...

- Wcale cię o to nie podejrzewam. Tylko... - zamyślił się. Coś tu nie pasowało.

Zresztą nie jedno. Odsłonięte okno... Psy w kagańcach... Miał takie wrażenie, jakby kazano mu układać łamigłówkę z poszczególnych części dwu odmiennych kompletów.

- Poczekaj! - pyknął fajkę. - Czy jesteś pewien, że prawdziwy Gordon nie nosi peruki?

Mac Cormick zaczął mrugać oczyma.

- Czy nie nosi? - No... prawdę mówiąc nie przyglądałem mu się specjalnie - bąknął z wahaniem. - Ale nie zauważyłem, by ją nosił...

- Mogłeś jednak nie zauważyć? Mac Cormick zastanowił się.

- Cóż... pewno, że mogłem. Szczególnie, jeżeli dobrze dopasowana. Ale szminka...

- Milionerzy miewają swoje dziwactwa - zauważył sentecjonalnie Pentham.

Przypomnij sobie choćby tego Clive'a od stoczni. Chodził na wizyty z papugą.

Ostatecznie używanie peruki i szminki byłoby o wiele bardziej zrozumiałe.

- A ta rozmowa, którą podsłuchałeś wczorajszej nocy?

Pentham pokiwał głową.

- Tak, masz rację... Ta rozmowa to orzech niełatwy do rozgryzienia.

- Mówili sobie per ty? Sekretarz? Nie wspominając już o lokaju? To chyba nie pozostawia miejsca na żadne wątpliwości!

Pentham gonił wzrokiem dym ulatujący z fajki.

- Tego bym jednak nie powiedział. Kto wie, jakie były początki majątku Gordona.

A może na przykład poszukiwanie złota? Powiedzmy: przyjaźń z tamtych czasów? Przy ludziach nie wypada, jednak gdy zostają sami... To przecież mogło by być zadowalającym wytłumaczeniem.

Mac Cormick pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Układasz bajki! Słuchaj - powstał z fotela, podchodząc do Penthama - powiedz mi, co sądzisz o tym wszystkim? - położył mu dłonie na ramionach i zajął głęboko w oczy.

- Sądzę, że brakuje mi jeszcze kilku ogniw do łańcucha. Choć wczorajszej nocy, muszę przyznać, byłem innego zdania.

- A... co mi radzisz? Jak mam postąpić?

- Niby z czym? - głos Penthama brzmiał cokolwiek chłodno. Nie lubił, gdy ktoś próbował wystrychnąć go na dudka. Nawet jeżeli tym kimś był jeden z najbliższych znajomych.

- No... - Mac Cormick spuścił wzrok. - To znaczy... Właściwie, co mam sądzić o tożsamości Gordona? - trochę się jąkał. Nie było to przyjemne, wolał jednak nie odkrywać swoich kart. Nawet przed Penthamem. W interesach nie uznawał przyjaciół.

- Czy pamiętasz swój szlemik w piki? Mac Cormick po prostu zdębiał.

- Jaki znów szlemik?

- No... ten, co przeszedł do historii naszego klubu. Leżałeś wtedy bez pięciu.

- Nie rozumie, co tu ma...

Pentham powstrzymał dalsze słowa podniesieniem ręki.

- Poczekaj. To rzecz względna: ma czy nie ma do rzeczy. Straciłeś wtedy grę, boś za wcześnie wyatutował, nie korzystając z przebitek. Zastanów się trochę nad tym.

Mac Cormick przetrawiał usłyszane słowa. Pentham miał niekiedy dziwny sposób

podawania swych rad.

- Uhm - bąknął wreszcie. - To znaczy radzisz mi, bym... jeszcze poczekał?

- Nic ci nie radzę. Tylko przypominam tamtą grę. Jakoś mi przyszła na myśl. To wszystko.

XVIII

- A to jest skarbiec - Gordon na prośbę inspektora oprowadzał go po całym pałacu.

- Hm - Mallone spojrzał z zainteresowaniem na szczyrby i zadrapania, kontrastujące wyraźnie z gładzizną pancerza stalowych drzwi. Tuż koło mechanizmu zamku brzegi pociętego metalu sterczały ostrymi strzępkami. - Miał pan ostatnio jakieś włamanie, sir?

- Włamanie? - Nie... To jest, właściwie tak... Powiedzmy raczej nieudane usiłowanie...

- Aha... usiłowanie - zdawało się, że inspektor zajęty jest bez przerwy oglądaniem pokancerowanych drzwi. Zauważył jednak dobrze przelotny wyraz zmieszania na twarzy Gordona. I moment wahania kiedy udzielał odpowiedzi. - Czy meldował pan o tym policji?

Gordon zaprzeczył ruchem głowy.

- Skoro nie zdołano sforsować skarbcza...

- Cóż... pewno. Choć niektórzy obywatele uważają za stosowne zawiadomić policję nawet o takich drobnostkach... - rzucił w przestrzeń inspektor.

Tylko specjalnie wyczulony słuch zdołałby w tych słowach odczuć ironię.

- A... czy dawno to... hm... usiłowanie miało miejsce?

Znowu parę sekund milczenia. Tak jakby zbieranie myśli przed daniem odpowiedzi.

- Tak... Dosyć dawno... Jakieś parę miesięcy temu - niedbały ton. I pewne, dyskretnie wprawdzie brzmiące nutki zniecierpliwienia. Delikatny rozmówca powinien zrozumieć: temat nie jest pożądany. Mallone nie należał jednak do kategorii delikatnych rozmówców.

- Parę miesięcy - powtórzył jak echo. - Tak... To rzeczywiście dosyć dawno... - W rękach jego błysnęła soczewka kieszonkowej lupy. - Przybliżył ją do uszkodzeń stalowej płaszczyzny. - Ciekawe! - mruknął - parę miesięcy, a wygląda jakby najdalej przed dwoma dniami. Albo jeszcze później. Krawędzie cięcia błyszczą jak polerowane. A po paru miesiącach... hm... - wyprostował się, chowając lupę do kieszeni. - Bardzo dziwny przypadek. Powiedziałbym nawet: nie notowany jeszcze w naszych archiwach technicznych. Ale, oczywiście skoro sir Percy Gordon twierdzi, że minęło parę miesięcy, archiwa techniczne muszą iść w ką.

Gordon ani słowem nie zareagował na ten monolog.

- Czy pan już obejrzał skarbiec? - zapytał sucho.

- Tak... bardzo dziękuję - spod przymrużonych powiek obserwował bacznie manipulacje Gordona przy zamku - nie zamyka pan drzwi, sir?

Gordon niedbale machnął ręką.

- Nie warto. Nie przechowuję tam niczego, co by wymagało zamknięcia.

Mallone popatrzył na szczelinę pomiędzy płytami stali.

- Hm... - mruknął w zamyśleniu. - A ja myślałem... - Nie powiedział jednak co myślał. Gordon zaś nie zdradzał ochoty do zadawania pytań na ten temat.

- Przejdziemy teraz na górę - wskazał wysłane puszystym dywanem stopnie.

Nie poszli jednak na górę. Bo Właśnie w tym momencie do hallu wtargnęła masywna postać w granatowym mundurze.

- Panie inspektorze - służbiste stuknięcie obcasami zabrzmiało z mocą wystrzału. -

Znaleźliśmy zwłoki.

- O! - Mallone zamarł w miejscu. - Te, które zniknęły z remizy?

- Nie... Jakiegoś mężczyzny.

Mallone dojrzał dziwny grymas na wargach Gordona.

- Czy ktoś go zidentyfikował?

- Nie. Trup w bieliźnie. A twarz... - zrobił wymowny ruch ręką. Właściwie bez twarzy. Zostawiłem posterunkowego Hinkey'a na warcie przy zwłokach.

- W porządku, sierzancie. Zaraz tam idziemy. I - zwrócił się do Gordona -

chciałbym, by wszyscy mieszkańcy pałacu byli obecni przy oględzinach.

Wszyscy, bez wyjątku - podkreślił. - Nawet ci, którzy przebywają tu dopiero od paru godzin. Twarz milionera zszarzała.

- Czy moja obecność jest konieczna? Wie pan, inspektorze... nie znoszę tego rodzaju widoków... Szczególnie, jeżeli jest tak, jak powiedział sierżant... Jestem trochę wrażliwy i... - głos jego wyraźnie drżał.

- Bardzo mi przykro - Mallone pokiwał współczująco głową... - Niestety, jest to konieczne, ze względu na możliwość stwierdzenia tożsamości zabitego.

XIX

Mac Cormick narzekał przez całą drogę. - Gdybym miał ochotę oglądać makabryczne widoki, odwiedziłbym Grand Guignol. Albo ostatecznie zajrzałbym do kostnicy... Ale żeby męczyć się przez całą noc po to, by... Brr... Już na samą myśl robi mi się niedobrze.

- No... - Pentham ładował potężną porcję tytoniu do fajki. - W takim razie radziłbym zapalić mocne cygaro... Najmocniejsze jakie masz. Z tego, co powiedział

Murcheson... - puścił z fajki potężny kłęb dymu - zapowiedź należy do gatunku obiecujących...

Mac Cormick aż sapnął,

- Dziękuję za taką obietnicę. Ślicznie dziękuję. Swoją drogą ten cały Mallone to kompletny idiota.

- Hm... - Pentham przepychał stalową igłą cybuszek. Fajka jakoś nie chciała ciągnąć.

- Sam pomyśl: po co on mi tam każe iść?

- Ba... - Pentham pociągnął dym. Tak, teraz już całkiem nieźle. Pyknął parę razy. - Przecież ci mówił: masz identyfikować zabitego.

- Nonsens. Nikogo tu nie znam.

- Może i nie taki nonsens, jakby wydawało się na pierwszy rzut oka. Znałeś Gordona przedtem. I wspomniałeś o tym inspektorowi.

- Co? - aż przystanął. - Przypuszczasz, że...

- Nic nie przypuszczam - Pentham ostrożnie wyminął wykrot. - Tylko usiłuję teoretycznie wejść w możliwy tok myślenia inspektora.

- To... to byłoby okropne - zduszony głos Mac Cormicka zabrzmiał niemal jak jęk rozpaczy.

Pentham nachylił się do jego ucha.

- Gdyby zabitym okazał się prawdziwy Gordon?

- zapytał szeptem.

- To... także... Ale, gdyby inspektor - przygryzł wargi.

Pentham uśmiechnął się pobłaźliwie. Odgadnięcie przyczyny niepokoju Mac Cormicka nie przedstawiało najmniejszych trudności. Skoro jednak chce udawać

tajemniczość. Mech tani.

Dogonili idącą na przedzie grupę.. Spod na wpół spuszczonej powiek inspektora błysnęły ogniki.

- O! pan pułkownik!... To dobrze. Zawsze w tłoku będzie nam raźniej.

Przynajmniej niektórym spośród nas - zerknął nieznacznie na wyraźnie pobladłą twarz Gordona.

Pentham wzruszył ramionami.

- Mnie to wszystko jedno - zauważył obojętnie.

- Tego rodzaju widoki od dawna już przestały wywierać na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Granatowa sylwetka zeszywniała na widok podchodzących. Na tle rozkopanej świeżo ziemi szarzała jakaś niewyraźna plama. Policjant stał tyłem do tego czegoś.

Widocznie wolał nie patrzeć.

- Posterunkowy Hinkey - zaraportował z wyraźną ulgą. - Wszystko w porządku.

- Dziękuję - inspektor nachylił się, odkrywając szarą płachtę brezentu. - Hm... rzeczywiście. No, trudno. Poproszę panów bliżej.

Chcąc nie chcąc podeszli. Mac Cormick sapał jak miech, ssąc zajadle cygaro.

- Cóż tam? - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Oddech Gordona był wyraźnie przyśpieszony. Nawet policjant stojący przy zwłokach był poruszony. Tylko Pentham miał poważny i zupełnie obojętny wyraz twarzy. Spojrzał w dół badawczym wzrokiem. No, tak. Ten widok też nie należał do najprzyjemniejszych. Musiał to przyznać. Szczególnie ta krawa miazga zamiast twarzy. Nie dziwił go bynajmniej zielonkawy odcień występujący na policzki Mac Cormicka.

- Pociągnij dobrze cygaro - poradził mu szeptem. Widział, że tamten czuje się

całkiem niewyraźnie.

Mac Cormick odskoczył gwałtownie w tył.

- Dajcie mi spokój - jęknął przez szczękające zęby. - to jest... - chwiejnym krokiem ruszył w kierunku pobliskiego gąszczu.

Mallone spojrział na niego i nie protestował. Po chwili z krzaków dobiegł charakterystyczny, pełen spazmatycznego bulgotania odgłos.

...Biedak dostał torsji - skonstatował w duchu Pentham. Nie miał mu tego za złe.

Bynajmniej. Cóż, to się zdarza. Jeżeli ktoś nie przyzwyczajony. A Mac Cormick nie odbył swego stażu na froncie. Krótki wzrok i jeszcze jakieś tam paragrafy.

Gordon trzymał się jakoś lepiej. Choć i jego twarz nie wyglądała zbyt świeżo.

Pentham nachylił się nad zwłokami.

- Jakoś dziwnie pachnie - wciągnął powietrze.

- Tak - potwierdził inspektor. - Chyba naftaliną? Ale jedwabna piżama i naftalina? - pokiwał z powątpiewaniem głową.

- Rzeczywiście nie pasuje. - Pentham próbował zidentyfikować zapach.

Przypomniał sobie coś - Hm... To jednak nie naftalina. Jakiś podobny specyfik.

- Jak pan myśli, pułkowniku? - inspektor zerknął pytająco. - Co to może znaczyć?

- Czy ja wiem?... Zresztą wyciąganie wniosków nie do mnie należy. - Mózg jednak odkrył w tej chwili obraz, który mu się właśnie przypomniał. To było już dawno.

Olśniewająca biel fartucha doktora Osborna i dwa szeregi marmurowych stołów.

Wędrował wtedy pomiędzy nimi, jak jakąś niesamowitą aleją. Szukał czegoś, co przedtem było kimś. Tak, tam pachniało w ten sam sposób. Jeszcze jedno spojrzenie na rozlaną mieszaninę szczątków ciała i kości. Robiła wrażenie, że gdyby zmyć warstwę zakrzepłej krwi, wszystko rozpadłoby się natychmiast na drobne kawałki.

- Wygląda, jakby wpadł pod autobus albo tramwaj - zauważył.

- Tak - wieczne pióro inspektora zawisło na chwilę nieruchomo nad notesem. - A przecież wiemy, że został zastrzelony.

- Hm... - Pentham otrzepywał starannie piasek z kolan.

Inspektor spojrział na niego badawczo.

- Czy ma pan, pułkowniku, na ten temat jakieś wątpliwości?

- Nie mówiłem o wątpliwościach - odrzucił obojętnie. - W ogóle ta sprawa nic mnie nie obchodzi. Nie ja prowadzę śledztwo.

- Bo - Mallone znowu skierował wzrok na trupa - rzeczywiście rzadko się zdarza, by w ten sposób... Ale - zmarszczki na czole zdradzały wytężoną pracę mózgu - widziałem kiedyś fotografię... Tak... Jeżeli strzał jest oddany z bezpośredniej bliskości. Pentham milczał. I on widział tę fotografię. Właśnie w tej sali z marmurowymi stołami. Zwrócił na nią uwagę. Może dlatego, że przewyższała inne makabrczością. I dobrze, że pamiętał podpisane pod fotografią objaśnienie: „samobójstwo. Nabój pozbawiony kuli. Otwór lufy wetknięty w zamknięte usta”. Inspektor trochę poplątał szczegóły.

- Zresztą - Mallone znowu zaczął coś szybko notować - przyjedzie nasz doktor...

Wracali w milczeniu. Humory raczej zwarzone. Mallone wpadł w głęboką zadumę.

Pentham prowadził Mac Cormicka pod rękę.

- No, jak ci, stary?

Mac Cormick zapalił cygaro, odrzucił je jednak po paru pociągnięciach.

- Nie mogę - jęknął.

- Wzięło cię? - zapytał ze współczuciem. Twarz Mac Cormicka wciąż jeszcze nie traciła zielonkawego odcienia.

- I jak jeszcze! Nawet nie przypuszczałem, by do tego stopnia. Wciąż mam to przed oczyma. Chyba przez kilka dni niczego nie przełknę. Mięsa w każdym razie. Brrr! - otrząsnął się. - I na co to wszystko?

- Nie poznałeś?

- Kto by tam poznał? W tym... Ale - pociągnął Penthama za rękaw marynarki - zauważyłeś monogram na piżamie?

- Nie mogłem nie zauważyć.

- I...

- Cóż... Litery aż nazbyt wyraźne. Owszem, pasują jak ulał do twojej teorii. W ogóle wszystko pasuje. Trup mężczyzny. Wzrost owszem. Twarz... no, można sobie wyobrazić każdą, na jaką kto ma ochotę. Gordona też. Dlaczego by nie? I do kompletu litery „P.G.”.

Mac Cormick spojrzał na niego zaskoczony.

- Traktujesz to tak lekko! Jakbyś pokpiwał! A to przecież... - znowu zapalił cygaro.

Tym razem jakoś go nie odrzucił. - W każdym razie morderstwo. Tuż pod naszym bokiem... I do tego...

- Wybacz. Wcale nie pokpiwam - zaproponował leniwie. - To tylko takie paskudne przyzwyczajenie z dawnych czasów. W pewnych wypadkach myśl moja pracuje świetnie, gdy sprawę traktuję właśnie w ten sposób.

- Ale powiedz mi wreszcie, jakie jest twoje zdanie?

Pentham pykał fajkę, rozmyślając nad czymś.

- Dobrze - mruknął po chwili - powiem ci. Otóż posłuchaj. Przede wszystkim nigdy nie kazałbym sobie robić monogramu wielkości tablicy samochodowej. Poza tym gdybym był milionerem na miarę Gordona, nie nosiłbym gotowych piżam. Nawet po

śmierci nie włożyłbym czegoś podobnego. I jeszcze jedno; nikt nie konserwuje jedwabiu w formalinie. Za to używają jej niekiedy do konserwowania innych rzeczy.

Mac Cormick wytrzeszczył oczy.

- Ależ Reggi... To... - szukał widocznie odpowiedniego określenia.

Pentham roześmiał się patrząc na minę przyjaciela.

- Nic ci więcej nie powiem. Żebyś nie wiem jak nazwał moje postępowanie. Aha!

Na deser przypomnę ci jeszcze... szlemik w piki...

Mac Cormick łypał oczami.

- Wiesz, jednak! Żeby w ten sposób...

- Nie przejmuj się. Zresztą i tak daję ci możliwość zajrzenia w moje karty, których sam jeszcze nie widzę. Podczas gdy ty... Mniejsza o to... - umilkł puszczając kłęby tytoniowego dymu.

Mac Cormick zwiesił głowę... No, tak. Pentham miał trochę racji. Przez chwilę chciał nawet powiedzieć mu o wszystkim. Nie powiedział jednak. Bo jeżeli Pentham też był zainteresowany w sprawie akcji Trustu Stalowego? Albo gdyby powtórzył, nie daj Boże, za wcześnie Mallone'owi? Lepiej nie.

XX

- Halo! Halo! - Mallone z wściekłością walił w widełki aparatu. W słuchawce panowała niczym niezmacona cisza. - Cóż u diabła! - spojrzał nienawistnie na telefon. Co najmniej od pół godziny usiłował otrzymać połączenie. Ochrypl od wściekłego „Halo” i nic z tego. A przecież tyle musiał spraw załatwić: zawiadomić sądowego lekarza, by obejrzał te nieszczęsne zwłoki, zawiadomić koronera, no i porozmawiać ze Scotland Yardem. Bo... Wolałby nie brać tego na swoją wyłączną odpowiedzialność. Już z samym Perithamem niebezpiecznie zadzierać. Sprawdził to kiedyś na własnej

skórze. A cóż dopiero Gordon. Prezes Trustu Stalowego to potęga. Za duże ryzyko. Z drugiej jednak strony te wszystkie zagadki, piętrzące się na każdym kroku... Cały wór zagadek! Po prostu pchały się w oczy.

Tak - ssał cienkiego papierosa - sprawa nie należy do najłatwiejszych...

Ale jeżeli naprawdę tak jest, jak zaczął podejrzewać? Tym razem pokaże mumiom z Wielkiej Piątki. Nie będą go mogli pominąć na liście awansów. Żeby tylko ten przeklęty telefon.

Znowu zaczął walić w widełki.

- Halo! Halo!...

W końcu zrezygnował. Widocznie jakieś uszkodzenie na linii. Pośle kogoś na drugi brzeg. Wyszedł z gabinetu w niezbyt świetnym humorze. To wyraźnie komplikowało sytuację.

W salonie natknął się na Gordona. Milioner, głęboko wciśnięty w objęcia klubowca, miał taką minę, jakby drzemał.

- Telefon nie działa - warknął Mallone. Brwi Gordona powędrowały ku górze.

- Czyżby? - przysłonił dłonią szerokie ziewnięcie. - Dziwne... przed dziesięcioma minutami rozmawiałem z Londynem. A może pan inspektor nie potrafi obchodzić się z aparatem?

Mallone spojrział zezem. To już wyglądało na wyraźne kpiny. W ogóle gospodarz miewał niekiedy toniki... Trudno. Na wszystko przyjdzie czas. Wyszedł bez słowa.

Na szczęście Murcheson sterczał na podorędziu.

- Trzeba będzie nadać kilka telegramów. Sierżant zeszywniał w służbistej postawie. Nieczęsto miał do czynienia aż z tak wysokimi figurami.

- Rozkaz, panie inspektorze. Czy mam zanieść osobiście?

- Hm - Mallone wyjął notes. - To nie jest konieczne. Będziecie mi tu na miejscu potrzebniejsi. Tylko trzeba wybrać kogoś zaufanego. Żeby nie ugrzązł w jakimś szynku. Sprawa pilna. Znaie przecież tutejszych ludzi.

Wypalili kilka papierosów, zanim zdołał wysmażyć to co potrzeba. Nie, tu nie chodziło o szyfr policyjny. Znał go na pamięć. Gdyby nawet ktoś go obudził w nocy potrafiłby wyrecytować cały kod na wyrywki. Ale Ułożyć odpowiednią treść w tak delikatnej materii...

Odetchnął z ulgą podając wreszcie sierżantowi parę arkusików.

- Tylko, żeby koniecznie zaraz.

Wpadł w głęboką zadumę, przebiegając wzrokiem notatki. Tak... Chyba nikt nie potrafi powiedzieć, że wszystko w porządku. Choćby ten skarbiec. Było tak, jak przypuszczał od pierwszej chwili. Sprawdził, korzystając z chwilowej nieobecności Gordona. Oczywiście zamek zepsuty. Więc nie dlatego, że w skarbcu nie ma nic cennego, jak twierdzi Gordon. Nie zamknął, bo w ogóle nie można było zamknąć. Po co łągał? A ten monogram na piersi zamordowanego? Pewno istniała możliwość zbiegu okoliczności. A na dodatek pizama. Obcy nie łąziłby po wyspie w bieliźnie. I co się stało z pałacową służbą? Jak twierdził Murcheson, pracowało tu normalnie dziesięć osób. Gdzie się wszyscy podzieli? Gordon tłumaczył to urlopami. Ba, tłumaczyć łatwo. Ale czy to wygląda prawdopodobnie? Rozpuścić wszystkich w chwili, gdy gospodarz przyjeżdża do pałacu? I ten lokaj w peruce, którego nikt poprzednio nie znał, jako jedyny personel obszernego domu? Pokręcił głową. I co w tym całym galimatiasie robi Pentham? Strzelał. Nawet nie miał zamiaru zaprzeczać. Właśnie wtedy, gdy zamordowano tego jegomościa w pizamie. Raz czy więcej, czort go tam wie! Nie chce przecież pokazać rewolweru. Historia z drzewem, ciemnościami i zgubieniem pistoletu

to oczywiste bzdury. Dziecko by chyba uwierzyło. Zresztą przeszukali całą aleję. Jard za jardem. I nic. Więc może właśnie on? W ogóle ci panowie z Intelligence potrafią urządzić rozmaite sztuczki. Niech tylko doktor stwierdzi urzędowo przyczynę śmierci, wtedy znajdzie się ten rewolwer. Żeby była tylko mocniejsza podstawa - potrafi szukać. Oczywiście nie wśród zeschniętych liści...

- Halo! - dojrzał w korytarzu sylwetkę Mac Cormicka. - Mógłbym pana poprosić na chwilę?

Mac Cormick zawrócił niechętnie. Mina jego nie zdradzała ani odrobiny entuzjazmu.

- Czym mogę panu służyć, inspektorze?

- Parę minut rozmowy. Chciałbym pana o coś zapytać.

- Hm...

- Mac Cormick przysiadł na brzeжку fotela. - Cóż właściwie mógłbym powiedzieć?

Przyjechaliśmy razem na wyspę i...

- O... Gordona.

Wzrok Mac Cormicka zatonął bez reszty w zawiłym wzorze barwnego dywanu.

- O Gordona? - przeciągnął.

- Tak... - Mallone z namysłem wybrał papierosa. - Czy mianowicie zauważył pan coś... hm... no, coś dziwnego w osobie naszego gospodarza?

Mac Cormick zwarł szczęki. Zapomniał o cygarze tkwiącym między zębami.

Wilgotny zwitek tytoniowych liści wpadł do przełyku. Zakrztusił się. Aż poczerwieniał z kaszlu.

- Nie rozumiem - unikał jednak wyraźnie wzroku inspektora.

- Widzi pan... - Mallone starannie dobierał słowa. Nie należało do rzeczy łatwych

układanie w odpowiedni sposób pytań. Delikatna materia. Diabło delikatna. - Znał go pan przecież przedtem i...

- Więc cóż z tego?

Mallone stłumił odruch zniecierpliwienia. Nie ułatwiano mu zadania.

- Czy... w jego zachowaniu... albo w wyglądzie... No, w ogóle... czy nic nie zwróciło pańskiej uwagi?

Mac Cormick milczał chwilę. Może nawet ta chwila wypadła cokolwiek za długo, by nie zwrócić uwagi inspektora. Ale musiał wziąć nerwy w garść. Za wszelką cenę. Bo jego nastrój w tej chwili graniczył niemal z popłochem. - Więc i Mallone już na to wpadł? Ładna historia. Ani chwili do stracenia. Trzydzieści tysięcy akcji to nie bułka za grosz. - Wciągnął głęboko powietrze do płuc.

- Nie - głos jego brzmiał zupełnie spokojnie. - Nic nie zwróciło mojej uwagi. -

Przesunął ukradkowym spojrzeniem po twarzy inspektora. Mallone robił wrażenie, jakby oczekiwał innej odpowiedzi. Miał wprost zawiedzioną minę.

- Hm... - strząsnął narosły na końcu papierosa popiół tuż obok popielniczki. - Więc Gordon nic się nie zmienił od czasu, gdy go pan widział po raz ostatni?

- To było tak dawno - Mac Cormick wolał nie wiązać się żadnymi kategorycznymi stwierdzeniami. - W ogóle... Widziałem go raczej przelotnie...

- Przedtem twierdził pan co innego.

- Nie... Nie mogłem mówić nic innego - zaprzeczył z naciskiem. - Widocznie musiał pan źle zrozumieć moje słowa. Aha, przy sposobności chciałem panu zakomunikować, że wyjeżdżam natychmiast.

- O! - inspektor nie był bynajmniej zachwycony. - Chce pan wyjechać?

- Tak. Pewne nie cierpiące zwłoki sprawy, wymagają mej obecności w Londynie.

Chyba pan nie będzie miał nic przeciwko temu?

Inspektor zamyślił się. Wyjazd Mac Cormicka okropnie był mu nie na rękę. Jedyne człowiek, który znał Gordona.

- Hm... wolałbym jednak, by...

- To jest niestety niemożliwe - przerwał Mac Cormick. - Chodzi o sprawy finansowe. Zwłoka mogłaby kosztować tysiące funtów. A ostatecznie jaki ze mnie świadek? Przejechaliśmy razem... W razie czego musiałbym wytoczyć sprawę o odszkodowanie - w słowach dźwięczały nutki ukrytej groźby. - Wątpię by jakikolwiek sąd mógł uznać zatrzymanie mnie na wyspie za konieczne.

Inspektor gładził dłonią kolano. Słowa Mac Cormicka wprowadziły go w zakłopotanie. Prawdę mówiąc, miał ochotę go zatrzymać. Ale te tysiące funtów? I czy zdołałby uzasadnić konieczność zatrzymania go jako świadka? Trudno by było - w najlepszym razie... A sądy cywilne... Hm, wolałby nie mieć z nimi do czynienia. Ładnie by wyglądał, gdyby Scotland Yard został zasądzony na zapłatę odszkodowania. Nie, lepiej nie ryzykować. Choć i ten kręci. Przedtem mówił co innego... Niech go gęś kopnie. Wydał wargi.

- Nie będę stawiał przeszkód. W razie czego znajdziemy pana w Londynie.

- Służę w każdej chwili. - Mac Cormick zerwał się pośpiesznie z fotela. -

Tymczasem proszę mi wybaczyć. Chciałbym zapakować rzeczy.

- Jeszcze jedno pytanie - inspektor powstrzymał go ruchem ręki. - Po co pan przyjeżdżał właściwie do Gordon's Hill? Przecież, o ile mi wiadomo, nie załatwił pan żadnego interesu z Gordonem. I chce pan wyjeżdżać?

Mac Cormick wzruszył nie dbale ramionami. Teraz już panował w zupełności nad nerwami.

- Interes, z którym przyjechałem, przestał być aktualny. Chciałem mianowicie nabyć wazę. Skoro jednak Pentham mnie uprzedził... - szybkim krokiem ruszył w kierunku drzwi. Na progu zetknął się gwałtownie z masywną postacią sierżanta. Murcheson też się śpieszył.

- Panie inspektorze! - z trudem łapał oddech. - Łódź policyjna zniknęła.

Mac Cormick przystanął w miejscu. Mallone wytrzeszczył oczy.

- Jak to zniknęła?

Mac Cormick zacisnął zęby. Coraz lepiej!

XXI

W końcu wszyscy zrezygnowali. Nawet Mac Cormick, choć wściekłość go dławiła.

Musiał jednak zaprzestać. Po prostu zabrakło mu tchu w piersiach. Domy na przeciwległym brzegu wciąż robiły wrażenie wymarłych. Po takich chóralnych wrzaskach! Mac Cormick był pewny, że już sam jego własny głos musiano słyszeć co najmniej na milę. W przystani bujała łagodnie na wodzie „Jaskółka”. Widać było każdy najdrobniejszy szczegół. Ba! Ale właśnie te głupie dwieście jardów. Dokąd polazł ten idiota szofer? Kazał mu wyraźnie czekać na brzegu. Samochód też gdzieś zniknął.

Niemal zgrzytał zębami. Nie był przyzwyczajony do podobnej niesubordynacji swych ludzi.

Inspektor klął pod nosem. Mac Cormick podszedł do niego.

- I co teraz będzie? Mallone popatrzył ponuro.

- Czy ja wiem? Jakies niesamowite historie. Wszystko mogę zrozumieć, ale żeby ani jednego człowieka! Ryczeliśmy przecież jak całe piekło. Umarłego by obudziło...

Nagle podniósł głowę. Wpadł mu na myśl pewien projekt. Podszedł ku stojącej na brzegu grupie ludzi.

- Funt za przepłynięcie do przystani!

Ludzie trwali w bezruchu. Nie byli w nadzwyczajnych humorach. Ściągnięto ich na wyspę w celu przetrząśnięcia zarośli. Przetrzęsęli. Swoje zrobili. Znaleźli nawet trupa. Czas by do domu. I tak stracili pół dnia. A zapłata? Nie mieli złudzeń. Kto kiedy widział, żeby policja płaciła?

- No, chłopcy - głos inspektora brzmiał zachęcająco - kto chce zarobić funta?

- Wpław?

- Więc cóż z tego? - Mallone robił wrażenie uosobienia dobroduszości. - Wielkie rzeczy. Czy któremu pierwszozna trochę popływać? Te kilkadziesiąt jardów... Chyba zmoczone ubranie warte funta?

Odpowiedziało mu milczenie. Skinięciem ręki zawezwał Murchesona.

- Dlaczego oni nie chcą, sierżancie? - zapytał zniżonym głosem, odprowadziwszy go na bok.

- Paskudny odcinek - wyjaśnił Murcheson. - Podwodne wiry.

- Ale przecież znają rzekę?

- Właśnie dlatego nie chcą. Nikt, kto zna rzekę, nie wszedłby do wody w tym miejscu. A tym mniej zaryzykowałby przepłynąć na tamtą stronę. Nie da rady.

Mac Cormick nie wytrzymał i wspomniał coś o diabłach. Już drugi raz tego dnia. A może nawet trzeci. Ale ostatecznie cierpliwość ludzka też ma swoje granice.

- Słowem: jesteśmy odcięci od świata? - zapytał ponuro.

Mallone wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Diabło na to wygląda - przyznał. - Ale w każdym razie nie potrwa to zbyt długo.

Murcheson będzie się wpatrywał w drugi brzeg. I gdy ktoś tylko pokaże nosa...

Wracali w mocno niewesołym nastroju. Na werandzie spotkali Gordona.

- Miał pan jakąś przykrość, inspektorze? - zapytał uprzejmie.

Mallone dojrzał jednak ironiczne błyski, migocące pod na wpół przymkniętymi powiekami. Przysięgłby, że Gordon maczał palce w zniknięciu łodzi.

- Tak - mruknął przez zęby. - Ale przyjdzie czas, gdy kogo innego spotka przykrość. I to, proszę mi wierzyć: znacznie gorszego rodzaju.

- Przemawia pan jak prawdziwa Pytia - wąskie wargi Gordona drgały w powstrzymanym uśmiechu. - Cóż. Policja w ogóle jest pełna zagadek dla uczciwych obywateli. - Tym razem już wyraźnie kpiąca nuta zabrzmiała w głosie.

Inspektor zacisnął zęby. Ponosiła go wściekłość, ale lepiej nie odkrywać zawczasu swoich atutów. Tamten jeszcze widocznie nie stracił pewności siebie. Tym lepiej.

XXII

Pentham tkwił nieruchomo w fotelu. Fajeczka w zębach, wyraz oczu raczej senny.

Mac Cormick potrząsnął go za ramię.

- Jak ty możesz spać, gdy...

- No, z tym spaniem to jednak lekka przesada - zaproponował niedbale. - A co się znowu stało? Masz diablo niewyraźną minę.

- Nieszczęście!

- O... Aż tak?

- Żebyś wiedział. Ktoś uprowadził policyjną motorówkę...

- To już słyszałem - pyknął z fajeczki. - Ale żeby zaraz nazywać to nieszczęściem.

Rozumiałbym, gdyby tak twierdził Mallone...

- Jesteśmy odcięci od świata - jęknął opadając znużonym ruchem na fotel.

- Hm... - Pentham wyciągnął wygodnie nogi. - Ciekawe! - Wyraz jego twarzy oczywiście przeczył słowom. Ani cienia zainteresowania.

- Robisz wrażenie, jakby cię to nie dziwiło?

- Ba - Pentham strzepnął niedbale palcami - człowiek skory do dziwienia się nie miałby w Gordon's Hill ani chwili czasu na inne zajęcia. Można się przyzwyczać do dziwnych zdarzeń. Szczególnie, jeżeli mają one tendencję do wypierania powszedniości.

Mac Cormick popatrzył na niego uważnie.

- Słuchaj, Reggi!

- No?

- Ty... ty chyba musisz coś wiedzieć?

- Naturalnie, że wiem. I to do tego całe mnóstwo rzeczy. Na przykład: śniadanie było pod zdechłym Azorkiem. Poza twardymi jajkami na niedosmażonym bekonie i podłą kawą, same konserwy. Właśnie rozmyślam o tym śniadaniu. Zresztą prawdę mówiąc, ono samo nie pozwala o sobie zapomnieć. Nie miałbym nic przeciwko szklaneczce gorącej Vichy. Mac Cormick załamał rękę.

- Czy ty naprawdę nie możesz przestać żartować? Człowiek siedzi jak na rozżarzonych węglach, a ten sobie... Reggi! Opamiętaj się.

Pentham wsunął rękę do kieszeni.

- Brr. Straszna wilgoć w powietrzu. Wieczorem znowu pewno będzie mgła - popatrzył z ukosa na Mac Cormicka. - Nie, stary. Zechciej zrozumieć: nie wszystko jest żartem, co wygląda na żart. To bardzo ważna zasada. I dzisiejsze śniadanie też należy do poważnych spraw. Nawet te jaja i bekon. A zwłaszcza już kawa.

- Reggi!

- Poczekaj. Dam ci ciekawy temat do rozmyślenia. Właściwie coś w rodzaju rebusu: czy w całej Anglii znajdziesz choć jednego służącego, który nie potrafi usmażyć

jaj na bekonie? Albo uprośmy jeszcze pytanie: choć jednego człowieka, który by tego nie umiał? I jeszcze jedno: jaki może być cel wlewania surowej wody do prawidłowo zaparzonej kawy? Jeżeli odpowiesz na te pytania, będziesz wiedział bardzo dużo. W każdym razie nie mniej ode mnie.

Mac Cormick był zupełnie speszony.

- Nie rozumiem - jęknął. - Nie widzę żadnego związku.

- A jednak ten związek istnieje. Upewniam cię - głos Penthama brzmiał cokolwiek poważniej.

- Związek pomiędzy śniadaniem a zniknięciem łodzi?

- Właśnie.

Mac Cormick potarł dłonią czoło.

- Nie - westchnął wreszcie - nie dam rady. Powiedz mi chociaż jedno - spojrzał błagalnie na Penthama. - Czy przewidywałeś zniknięcie łodzi?

Pentham patrzył w okno.

- Mniej więcej.

- A jakie miałeś podstawy do takich przewidywań?

- No... - roześmiał się - nie mam zamiaru grać przed tobą roli jasnowidza.

Przypomnij sobie, co ci kiedyś mówiłem o łańcuchu. Łódź to jedno z ogniw tego łańcucha.

Mac Cormick jakoś nie mógł sobie przypomnieć żadnego łańcucha. Wszystko jedno.

- A jak myślisz, czy to nasze odcięcie od świata potrwa długo?

Pentham złożył ręce na piersiach.

- Widzę, że powinienem sobie kupić kryształową kulę. No, ale ostatecznie i bez

kuli mogą przewidywać: otóż nie powinno potrwać zbyt długo. Dziś wieczorem, najdalej jutro rano będziesz miał motorówkę. To wszystko zależy od mgły.

- Od mgły? - Mac Cormick zamrugał oczyma. - To znaczy: jeżeli dziś wieczorem będzie mgła, motorówka przybędzie dopiero jutro? - usiłować iść śladem rozumowania Penthama.

- Wręcz przeciwnie. I przed przybyciem motorówki zajdzie prawdopodobnie jeszcze pewne zdarzenie. Dość sensacyjne. Szczególnie dla niektórych osób.

- Jakie?

- Zobaczysz - mruknął lakonicznie. Pomimo nalegań nie chciał nic więcej powiedzieć na ten temat.

XXIII

Głucho załomotał odgłos strzału. Chwila ciszy i... nagle sypnęło jak grochem. Cała seria.

Mallone skoczył na równe nogi. Prawa ręka automatycznym ruchem sięgnęła do tylnej kieszeni spodni.

Mac Cormick drgnął. To zaczyna wyglądać całkiem nieprzyjemnie.

Pentham podniósł do ust widelec. Krewetka sprawiała całkiem apetyczne wrażenie.

Ostatecznie, po takim śniadaniu nie należy gardzić nawet konserwami.

- Och - Gordon odstawił powoli kieliszek. - Jednak... hm... - spojrzał na Mallone'a.

- Pańscy ludzie zaczynają się zachowywać cokolwiek hałaśliwie.

Mallone podbiegł ku drzwiom. Palce ścisnęły rękojęść pistoletu. Szarpnięte drzwi odsłoniły gęstą, podobną do skłębionej brudno-szarej waty, mgłę. Powiało wilgocią.

Gdy stanął w progu, buchnęły znowu strzały. Jeden po drugim. Wyszarpnął z kieszeni rewolwer i zaczął nasłuchiwać niepewnie.

Pentham nabrał na talerz nową porcję krewetek.

- Chciałby pan, inspektorze, ustalić, gdzie strzelają? - zapytał uprzejmie.

Mallone spojrział na niego przez ramię.

- Rzeczywiście - przyznał. - Mgła zniekształca odgłosy i...

- Mogę panu ułatwić - mieszał starannie czerwone kawałki z majonezem. -

Strzelają tam - machnął w kierunku na ukos od alei.

- Jest pan tego pewien?

- Jak najpewniejszy! Ostatecznie człowiek nabrał niejkiej wprawy podczas lat czynnej służby. Wie pan... u nas niekiedy właśnie od takich drobnostek zależało życie.

A czasem wprost więcej niż życie. Gotów byłbym przyjąć zakład w stosunku dziesięciu do jednego, że mnie słuch nie myli - zaczął z apetytem zajadać sałatkę.

Inspektor utonął we mgle. Z oddali dobiegały wciąż jeszcze głuche detonacje wystrzałów. Pentham sięgnął po kieliszek.

- Chyba mają zamiar wypukać całe pudełko - mruknął obojętnie.

Mac Cormick też wyciągnął rękę po alkohol. Przybladł nieco.

- Nie denerwuje cię Reggi, ta strzelanina?

- Mnie w ogóle trudno zdenerwować. A ciebie powinno to cieszyć! - dodał niespodziewanie.

Mac Cormick mrugnął oczyma.

- Cieszyć? Że strzelają?

Przytknął kieliszek do ust. Ręka mu trochę drżała. Czort wie, co się tu dzieje. Wałą jak na wojnie. I ta przeklęta mgła. Nie widać własnego nosa. Nie był tchórzem, dać się jednak zamordować, nie wiadomo po co i za co? Nie. Szczerze mówiąc odgłosy trwającej za oknami kanonady nie radowały go ani odrobinę. Raczej nawet wręcz

przeciwnie.

- Mam się cieszyć? - powtórzył pytanie.

- Uhm - potwierdził Pentham. - Właśnie! Motorówka przybędzie jeszcze dziś.

Słowa te wywarły niespodziewane wrażenie na Gordonie, który dotychczas zdawał się nie słyszeć rozmowy. Drgnął. Nawet Mac Cormick to zauważył. Ręka z kieliszkiem zawisła przez chwilę w powietrzu. Na policzki wypełzła sinawa bladość.

- Czy panu słabo, sir? - zapytał sekretarza. W tonie jego głosu brzmiał silny nacisk.

- Nie... - opanował się. Jednym haustem opróżnił kieliszek. Policzki poróżwiały.

Tylko jeszcze pewien czas drżała mu lewa powieka. - Głupstwo, John. Chwilowa niedyspozycja. Serce. Wie pan przecież, jak to bywa z moim motorem...

Sekretarz robił wrażenie zatroskanego.

- Może krople? - chciał już wstać. Gordon powstrzymał go ruchem ręki..

- Dziękuję. Nie potrzeba. Przeszło... Już wszystko w porządku. - Skierował

badawczy wzrok na Penthama. - Wspomniał pan coś o motorówce?...

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. W tej samej chwili trzasnęły ostro drzwi. Wpadł zdyszany Mallone.

- Chyba zwariuję! - osunął się ciężko na krzesło. - Skradziono zwłoki... - Twarz jego pałała krwistym rumieńcem.

W pokoju zaległa przeciągła cisza. Pentham z niewzruszoną uwagą wyławiał krewetki z sosu.

- To już zaczyna wyglądać na prawdziwą epidemię - rzucił od niechcienia.

Inspektor gwałtownym ruchem odwrócił się ku niemu.

- Co?

- No... te kradzieże zwłok. Jak w magicznym teatrze. Voila: są zwłoki. Policjant na

warcie. Skinienie czarodziejkiej pałeczki i... zwłoki znikają. Dobrze choć, że wartujący policjanci nie idą w ślad za nimi.

W oczach inspektora zamigotały niebezpieczne ogniki. Policzki nabrały sinawego odcienia.

- Pan... pan... - sapał jak podrażniony ryś - kpi sobie! - utkwiał ostre spojrzenie w Penthamie.

Pentham wytrzymał spokojnie jego wzrok.

- A gdyby nawet? - odpowiedział chłodno. - Czy to zakazane?

Palce inspektora drapały konwulsyjnie obrus.

- Ja pana, ja... - wycharczał zduszonym głosem. Wyglądał jakby miała go tknąć apopleksja.

- Tylko spokojnie, inspektorze - Pentham przyglądał się Mallone'owie jak ciekawemu okazowi. - Nic mi pan nie zrobi. A wykombinować z moich słów obrazę władzy? Tego chyba pan nie potrafi. Nawet pan... - rozsmarowywał uważnie masło na kawałku chleba.

Mallone przygryzł wargi. Rzeczywiście. Wywoływanie awantur nie miało sensu.

Gdy przyjdzie czas, pogadają inaczej. Odpłaci mu wówczas za wszystko. Za to, co było kiedyś i za to, co teraz. Mieli spory rachunek do wyrównania. Kto wie, może tamten go umyślnie prowokuje?

XXIV

Mallone triumfował. Przynajmniej był pewien, że triumfuje. Nie potrzebował długo czekać, by pokazać Penthamowi, kto tu rządzi. Utał mu porządnie nosa. I to aż dwa razy. Pierwsza sposobność nadarzyła się już przy stole. Gordon zaczął rozmawiać o wazie. Że chciałby już definitywnie zakończyć transakcję. Pentham też był nie od tego.

Poszli do skarbcza. Wyciągnęli wspólnymi siłami pudło ze stalowej blachy. Pentham aż westchnął, gdy je otworzono. No, Mallone nie znał się na tym. Waza jak waza. Ale i on musiał przyznać, że zrobiła imponujące wrażenie. Smoki. Malowidła. I cieniutka jak bibułka. Aż dziwne, że to nie pryśnie na tysiące kawałków. Pentham był zachwycony. Miał taką minę, jakby chciał poklepać porcelanę. Sięgnął już po książeczkę czekową. Zdawało się, że wszystko załatwione. I właśnie wtedy wkroczył na scenę Mallone. Potrafił wyczekać na odpowiednią chwilę.

- Przepraszam. Prosiłbym o zawieszenie transakcji na pewien czas.

Oczywiście w jak najuprzejmniejszej formie. Co tam forma. Grunt treść. Poszło im na pewno w piętę. Gordon miał wyraźnie zaskoczoną minę.

- Dlaczego?

Nie wyjaśnił. Zasłonił się tajemnicą służbową.

- Są pewne powody...

Musieli ustąpić. Gordon coś pomrukiwał o skardze do przełożonych. Niech skarży.

Będzie miał do tego aż nazbyt wiele sposobności, gdy...

Pentham, jak Pentham. Kto by tam wiedział, co on myśli. Twarz z kamienia. Ale i jego uderzyło. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Przecież palił się do tej wazy aż strach. Nie musiało mu być przyjemnie, gdy ją sprzątnięto sprzed nosa.

Odszedł jak zmyty. Choć niby to robił dobrą minę. Ba, nawet się uśmiechał pod nosem.

Może kto inny uwierzyłby w ten uśmiech. Mallone nie. Zęby już zjadł na takich typach.

Ostatecznie nietrudno ich rozgryźć, pomimo maski.

I zaraz potem drugie uderzenie. Przyszedł Perkins. Że właśnie motorówka

zamówiona przez Penthama... Aha. Właśnie. Może sobie zamawiać tysiąc motorówek.

Dla porządku zapytał.

- Miał pan zamiar wyjechać, pułkowniku? Tamten jakby nigdy nic.

- Naturalnie. Skoro pan zawiesił transakcję, nie mam tu po co siedzieć.

Mallone o mało nie zatarł rąk. Co za rozkoszna chwila. Od razu aż dwie przyjemności. Oczywiście: odzyskanie komunikacji ze światem na pierwszym miejscu. Ale osadzenie Penthama też miało swoją niepoślednią wartość.

- Bardzo mi przykro, pułkowniku. Jednakże ze względu na dobro śledztwa prosiłbym o pozostanie na wyspie. Sarn pan powinien zresztą zrozumieć: osoba, która przebywała w bezpośredniej bliskości sceny mordu... Nie wspominając już o tym nieszczęsnym rewolwerze... - Był dumny z mistrzowsko wymierzonego ciosu. Swoją drogą musiał przyznać Penthamowi: chłop umiał trzymać nerwy w garści. Ani brwią nie poruszył.

- Trudno. W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak zaczekać na wynik śledztwa. I nie mogę panu odmówić pewnej racji, inspektorze.

Lodowata uprzejmość. Mallone wolałby, żeby wybuchnął. Efekt wypadłby okazalej. Ale ostatecznie i tak nie najgorzej. A co dopiero, gdy przyjdzie chwila na ostatnie słowo?

XXV

Mac Cormick zatrzasnął walizę.

Pentham obserwował w milczeniu jego czynności.

- Więc jednak jedziesz?

Mac Cormick podszedł do niego i położył mu obie ręce na ramionach.

- Słuchaj, Reggi, powiedz mi wreszcie... Ale bez tych wszystkich zagadek i rebusów... Stały mi już kością w gardle. Czy ty wiesz, co się naprawdę dzieje w Gordon's Hill?

- Ba - wypuścił ostatni kłęb dymu - gdybym wiedział! Niestety, tylko się domyślam. A cóż domysły? Patrzymy na jedną i tę samą rzecz, a każdy ją widzi inaczej.
- Hm... Tak... Ale czy to naprawdę tylko domysły?
- Naprawdę.
- Bo widzisz... - zawahał się. - Cóż, mnie możesz przecież powiedzieć. Będę milczał jak grób... Czy... ty nie tkwisz w tym wszystkim?
- Pentham roześmiał się.
- Nie, stary, nie tkwię... To znaczy - dodał po chwili - jeszcze nie. Któż może przewidzieć, co go czeka w przyszłości - zakończył sentencjonalnie. Jednak wesołe błyski w oczach przeczyły poważnemu tonowi ostatnich słów.
- Przecież wiedziałeś, kiedy przyjedzie motorówka. Wiedziałeś, że zwłoki zostaną skradzione...
- Nie - zaprzeczył. - Nie wiedziałem. Przewidywałem tylko. A to dwie różne rzeczy.
- I... to twoje zachowanie się w czasie strzelaniny. Nie przejęła cię ani trochę. Jakbyś był pewny, że nie wyrządzi nikomu krzywdy...
- Byłem pewny - potwierdził. - To jest: prawie pewny. Bo, gdzie jak gdzie, ale na wyspie lubią sobie pukać. Kule gwizdzą jak osy, i ani jednej ofiary...
- Jak to ani jednej? A ten mężczyzna w piżamie?
- Hm - popatrzył w okno. - Trup bez twarzy. Cóż... był. Trudno zaprzeczyć. Ale to inna parafia...
- Jak to? Nie rozumiem?
- Trudno, stary - rozłożył bezradnie ręce. - Nic na to nie poradzę. Podsunąłem ci pod nos te same przesłanki, na którym sam opieram rozumowanie. Skoro ich nie

potrafisz rozgryźć... Będziesz musiał uwierzyć na słowo. Łańcuch jeszcze nie gotowy.

Brakuje paru ogniw. Gdybym mógł je zamknąć, wyłożyłbym wszystko na stół. Ale tymczasem...

Mac Cormick zniecierpliwił się wreszcie. Wyślizguje się jak piskorz. Ani w tę, ani w tamtą. Zdziwaczał jakoś chłop. Jeszcze go nigdy takim nie widział. Pożegnał się serdecznie, choć czuł lekki osad żalu. Tak czy inaczej szkoda tracić czas. Późno. W Londynie będzie w najlepszym razie po północy. Więc dopiero jutro rano da zlecenie...

Bagatela... I tak nie załatwi w ciągu jednego dnia. Trzydzieści tysięcy sztuk. Giełda by chyba zatrzeszczała.

Zeszli razem na dół. W salonie zastali komplet. - Mallone spojrzał na walizkę.

- Opuszcza pan naszą gromadkę? - pytanie należało zresztą do gatunku czysto retorycznych. - Jakże panu zazdroścę tego wyjazdu.

To już nie była konwencjonalna uwaga. Naprawdę wolałby się znaleźć o tysiąc mil od tej przeklętej wyspy. W związku ze zniknięciem trupa czekały go niezbyt przyjemne chwile. Znowu poszkapił. Nie miał najmniejszych złudzeń na temat zdania komendy o tym fakcie.

Mac Cormick zegnał każdego oddzielnie. Obchodził wszystkich, po kolei i ścisnął dłonie. Zazwyczaj tego nie robił. Tym razem miał jednak swoje wyrachowanie.

Podchodząc do Gordona, wlepił w niego badawcze spojrzenie. Niemal do nieprzyzwoitości badawcze. Pał sześć przyzwoitość. Tu chodziło o ważniejsze sprawy.

Peruka odstawała chyba jeszcze bardziej niż zwykle. Do tego widoczne kreski szminki.

I w ogóle. Jakieś nieuchwytnie różnice. Ba... właściwie uchwytnie. Tylko nie potrafił zdefiniować, na czym polegały. Ale na pewno... Pentham bredzi. Po co komplikować sytuację, jeżeli widać wyraźnie, że...; Cóż... Takie historie zdarzają się przecież.

Niedawno czytał kryminalną powieść i właśnie w niej... Zaraz, jaki nosiła tytuł?

Głupstwo. Nie o tytuł przecież chodzi. A treść jak ulał.

Ledwo pokonał chęć mocnego potrząśnięcia tym jegomościem, jak mu tam...

Złapać za gardło, to by wyśpiewał jak i co... No... oczywiście nie można... Ale i bez tego dosyć widział i słyszał. Ani chwili do stracenia. Bo inni też mają oczy. Choćby taki Mallone. Te jego pytania. Na pewno rozgada.

Po chwili maszerował już w kierunku alejki. Nieomal z każdym krokiem przyspieszał tempo. W końcu... No, nie był to oczywiście jeszcze bieg, ale gdyby się ktoś uparł, żeby to właśnie w ten sposób określić...

Pentham stał przy oknie, obserwując w zamyśleniu oddalającą się sylwetkę.

Trudno, nie miał jeszcze pewności. Jeżeli jednak było tak, jak myślał, pośpiech ten mógł pociągnąć za sobą daleko idące konsekwencje. W takim razie niech Bóg ma w opiece biednego Mac Cormicka.

Posłyszał za sobą ciche kroki. Nie potrzebował odwracać głowy, by poznać, kto zbliża się do okna. Tylko Mallone miał koci chód. Przynajmniej w tym domu.

Mallone z trudem opanował rozpierającą go wściekłość. Fatalna historia. Kto wie, co tych dwóch łączy ze sobą. Mówią do siebie per „ty”. Gadali co najmniej przez pół godziny przed samym odjazdem Mac Cormicka. Dałby wiele, by usłyszeć tę rozmowę.

Niestety, nie było sposobności. Może wspólnicy? Niby Mac Cormick... Owszem, słyszał to nazwisko. Członek klubów. Nazwy tych klubów mówiły bardzo wiele. I papiery w porządku. Ale w rezultacie: kto tam wie... Pojedzie do Londynu i wymyśli jakiś kawał... Diabli nadali. Że też nie potrafił wymyślić żadnego przyzwoitego pretekstu, by go zatrzymać. Albo, że nie zdobył się na odwagę zatrzymania bez powodu. Tak. To właśnie od tej nieszczęsnej historii z Penthamem stracił pewność

siebie. No... zapłaci mu on za to...

Podszedł do okna.

- Hm... to jednak wygląda na ucieczkę - mruknął przez zęby.

Pentham wzruszył ramionami.

- Ma pan rację, inspektorze. Diabło na to wygląda - potwierdził. - I, niestety, ta ucieczka może w rezultacie porządnie kosztować.

Mallone nastawił uszu.

- Kosztować? - przeciągnął. - Kogo mianowicie?

Pentham sięgnął do kieszeni.

- Muszę pana rozczarować - wyciągnął fajkę. - Nie ja będę płacił za koszty tej eskapady.

- A kto?

Ręka Penthama wykonała nieokreślony ruch.

- Przyszłość pokaże.

Mac Cormick dał nurka w ciemny tunel alejki.

I właśnie w tym samym momencie w mózgu Penthama zabłysła pewna myśl.

Dlaczego właściwie nie? Zarys projektu krzepł w niewzruszone postanowienie. Ależ tak. Skoro los pcha taką okazję w ręce... Byłoby wprost grzechem nie do darowania z niej nie skorzystać. Tylko trzeba uzyskać pewność... Ba... lecz zanim ją uzyska może być za późno. Zresztą... Ryzyko... Cóż... przepadał za ryzykiem. Wprawdzie wśród tylu gier, jakich w życiu próbował, z tą nigdy nie miał nic wspólnego. Więc tym lepiej.

Kiedyś trzeba zrobić początek.

XXVI

Mallone nie mógł zmrużyć oka. Pod czaszką kłębił się nawał myśli. Kto ukradł

zwłoki? I dlaczego? Na to ostatnie zresztą pytanie łatwiej byłoby znaleźć odpowiedź.

Nawet więcej niż jedną. Całą serię odpowiedzi. I każda inna. Tylko wybierać. Właśnie z tym wybieraniem to już całkiem kiepsko. Dlaczego od razu nie ukryto lepiej? Pośpiech? Niedbałość? A kto? W tym sęk. Kazał przecież bezpośrednio po tym przeszukać całą wyspę. Zagląдали niemal pod każdy najmniejszy krzaczek. Ani śladu. Więc? Diabli nadali.

Zapalił któregoś tam papierosa. Znowu sumował w myśli przebieg fatalnego popołudnia. Siedzieli przy kolacji. Wszyscy: Pentham, Gordon, Mac Cormick i ten wymoczkowaty sekretarz. Służącego miał cały czas na oku policjant gminny. Przysięga, że się nie oddalił ani na chwilę. Słowem: cała ludność wyspy posiada murowane alibi. A zwłoki zniknęły. Złośliwe słowa Penthama nabierały przykrych rumieńców życia. Czarodziejska laska. Żeby choć ten idiota Murcheson nie gapił się w kierunku strzelaniny. Cóż... Właściwie trudno mu się nawet dziwić. Pewno miał pietra. Ta przeklęta mgła. I zmasakrowana twarz nieboszczyka za plecami. Sam Mallone nie był pewny, czy gdyby...

Nowy papieros. Sytuacja komplikowała się paskudnie. Bez zwłok trudno będzie przekonać panów z komendy. Żeby choć porządna fotografia. Ale tak... Gruba sprawa. Będą chcieli poważnych dowodów, zanim coś zdecydują. Ryzyko. A oni nie przepadali za ryzykiem. Dostali parę razy po nosie, teraz trzy razy się obejrzą, zanim zrobią krok naprzód. Mamuty. Pokazałby im, gdyby tak los zechciał uczynić go jednym z pięciu... Spojrzał na zegarek. Dwunasta. Czy ma spędzić całą noc na bezpłodnych rozmyślaniach? Łóżko takie wygodne. Rzadko zdarzało się leżeć na takich miękkościach. Jutro też dzień. I trzeba będzie mieć wypoczęty umysł. Czekala go nie lada robota.

Wyciągnął rękę w kierunku lampy. Nagie drgnął. Ręka opadła. Zaczął nasłuchiwać. Czyżby? Ależ tak. Na pewno. Gdzieś w korytarzu trzeszczały cicho tafle posadzki. O, znowu! Ktoś chodził. A przecież, zapowiedział wyraźnie, że... Bagatela! Jednym susem wyskoczył z łóżka. Przyłapie tego ktosia. Połów może wyjaśnić sytuację. Tamten będzie się musiał tłumaczyć - co i jak. A przy okazji: łatwiej pociągnąć za język na ciekawe tematy. Wreszcie będą podstawy do porządnego ruszenia śledztwa. Ubrał się z błyskawicznym pośpiechem. Buty? Hm... Lepiej byłoby bez nich. Ale jakoś... Człowiekowi w skarpetkach brak urzędowej powagi. Ostatecznie i tak potrafi stąpać dostatecznie cicho.

Sprawdził pistolet. Kula w lufie. W porządku. Jeszcze latarka. O... Przecież pamięta wyraźnie, że właśnie na tym inkrustowanym stoliku... Widocznie musiał ją gdzieś przełożyć. Szukał gorączkowo. Gdzie u diabła? Klął przez zęby. Każda sekunda zwłoki zmniejszała szanse złowienia nocnego spacerowicza. Ze świecy kapały kremowe krople na kosztowny dywan. Nie zwracał na to uwagi. Trudno. Chodzi o zbyt ważne sprawy, by przejmować się lada drobiazgiem. Nie ma latarki. To już świństwo. Ktoś ukradł. Zrezygnował z dalszego szukania. Zresztą nie było już gdzie szukać. W ostateczności wystarczą zapalki. Dobrze choć, że rewolwer...

Bezszelestnie uchylił drzwi. Gdzieś w końcu korytarza trzeszczały tafle. Palec na cynglu. Kto wie, co za typ. Zgasił świecę dając nura w mrok wypełniający korytarz. Ostrożnie ruszył naprzód. Na palcach. Ale to szło zbyt powoli. Coś jakby szczeń klamki. No, przecież nie pozwoli, by mu umknął. Niemal pobiegł. Teraz już na całych stopach. Nie było czasu na ostrożności. Trzasnęły drzwi. Ba, ale które? Tyle ich wychodzi na korytarz. Macał rękoma po ścianach. Nie widać nawet czubka własnego nosa. Gdyby miał latarkę. No, ale nie miał. Może właśnie te? Wyczuł pod palcami

polerowaną powierzchnię drewnianej płyty. Przyłożył ucho. Cisza. Ale to niczego nie dowodzi. Tamten mógł się przyczyaić, słysząc pościg. Bo, sądząc po dźwiękach, jakie dobiegały poprzednio, to chyba tu. Nacisnął ostrożnie klamkę. Drzwi nie ustępowały. Zamknięte na klucz. Zastukać? Hm... Przez chwilę stał niezdecydowany. Czyj to może być pokój? Nie orientował się, jednak po chwili wahania ruszył dalej. Cóż... zastukać łatwo. Wyszukanie pretekstu? Nic prostszego. Powiedzieć byle co i sprawa załatwiona. Nie jest tu przecież dla zabawy. A choćby nawet powiedzieć prawdę? Słyszał czyjeś kroki, więc... Ale jeżeli tamten skrył się w jakimś innym pokoju? To by go ostrzegło. Znowu drzwi. Mogło być i tu. Diabli nadali. Wydawało mu się, że korytarz zamiast ścian ma same drzwi. Wczoraj zwiedzał każdy zakamarek pałacu. Przynajmniej miał przekonanie, że zajrzał do każdego kąta. Ale w dzień wygląda wszystko zupełnie inaczej. Znowu klamka. Aż przystanął. Bezradnie kręcąc głową, usiłował zorientować się w położeniu pokoju Penthama. Jegomość zdolny do wszystkiego i najenergiczniejszy ze wszystkich. Mallone wiedział co nieco o jego energii. Zaraz... chyba po lewej stronie? Tak, na pewno po lewej. I bliżej schodów. A drzwi trzasnęły raczej w głębi? Więc? Nie ma co. Trzeba zapalić zapałkę - sięgnął do kieszeni. Lewą ręką. Z prawej nie wypuszczał ani na chwilę pistoletu. Nagle znieruchomiał. Znowu trzeszczenie posadzki. I jakieś ciche kroki. Tym razem gdzieś poza plecami. Wykonał błyskawiczny obrót na pięcie. Teraz ktoś schodzi po schodach. Ruszył w kierunku odgłosów. Ba, tamten już zszedł. Przyśpieszył kroku. Coś cienko zabrzęczało. Metal. Jakby rozhuśtana wiązka kluczy. Nie, oczywiście nie zapali zapałki. Żeby tylko schody nie zatrzeszczały. Po chwili namysłu zjechał po szerokiej poręczy. To było najpewniejsze. I najszybsze. Niestety nie zdążył. Brzęczenie stali nie ustawało, dobiegało jednak z coraz większej odległości. Zaszemrał niewyraźnie

szept. Znowu. Co najmniej więc dwóch. Ładna historia. Teraz dla odmiany jakieś przyciszone odgłosy, których pochodzenia nie potrafił zdefiniować. Co oni tam robią? - zastanawiał się. O! Jakby coś ciężkiego suwano po podłodze. Pewna myśl oszołomiła inspektora: skradzione zwłoki! Ciemność mąciła kierunek skąd dochodziły odgłosy.

Jeszcze gotowi umknąć jak tamten na górze. Zapalenie zapałki jedną ręką nie należy do zbyt łatwych wyczynów. Dokonał jednak tego. Wyciągnął pistolet, celując przed siebie. - Stać! - prawie ryknął. - Ręce do góry! Policja! - Skrzypnęły jakieś zawiasy.

Właśnie w momencie, gdy zapalał zapałkę. Ręka z pistoletem opadła bezwładnie. W hallu nie było nikogo.

- Murcheson! - krzyknął gniewnie.

Przestał się już krępować. Wszystko jedno. I tak już narobił tyle hałasu, że mógłby chyba obudzić umarłego. Okrzyk jednak pozostał bez odpowiedzi. Inspektor zaklął. Ten znowu gdzie się podział? Przecież kazał mu warować przez całą noc na dole. Czyżby?

Chłodny dreszczyk przebiegł wzdłuż krzyża. Na tej przeklętej wyspie wszystko wyglądało na możliwe. Przypomniawszy sobie znaczący uśmiezek Penthama, towarzyszący zjadliwym słowom: „dobrze choć, że policjanci nie naśladową znikających zwłok”.

Jeszcze raz zawołał sierżanta. Z prawdziwą przykrością skonstatował pewną ochrypłość własnego głosu. Do diabła z nerwami! Przeczekał chwilę. Nic. Murcheson nie nadchodził. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. To go zdetonowało do reszty. Żeby nikt? Ostatecznie Murcheson mógł wyjść na chwilę, ktoś jednak musiał słyszeć te krzyki. I nie wzbudziły niczyjej uwagi? Nieprawdopodobne.

Zapalał zapałkę po zapałce. Nikłe światełka żółto-niebieskawego płomienia dodawały otuchy. Zalegający po kątach mrok zdawał się pulsować nieodgadniona

grozą.

Odsunął palcem bezpiecznik. Jednak dzieje się coś niesamowitego. Choćby to szuranie. Nie ma żartów. Przed oczyma stanęła wizja zmasakrowanej twarzy mężczyzny w pizamie. Tak. Tu nie żartują. On też nie będzie żartować.

Za najbliższymi drzwiami coś się poruszyło. Wyteżył słuch. Może złudzenie?

Cisza. Nie... jednak coś... Coś, czy ktoś? Raczej to ostatnie. W każdym razie trzeba sprawdzić.

Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę. Przystanął w progu. Gęsta ciemność. Kto wie, co się czai pod jej ochroną. Szczelnie zasłonięte okna nie przepuszczały najsłabszej nawet poświaty. Trzasnęła zapalona zapalka. Salon. Wyglądał na pusty. Jednak...

Dopalająca się zapalka parzyła palce. Zapalił drugą. Migotliwe światełko drgało po zawiłych wzorach dywanu. Po kątach jeszcze gęstszy mrok. Rozejrzał się. Gdzieś tu stał kandelabr ze świecami.

Drgnął. Jedwabna kotara na oknie zakołysała się wyraźnie. Wycelował w tamtym kierunku.

- Kto tam? Wyłazić, bo będę strzelać!

Naprawdę o mały włos nie pociągnął za cyngiel. Opanował się jednak. Nerwy, psiakość. Te przekłete ciemności mogą wyprowadzić człowieka z równowagi. Dotknął

lufą rewolweru jedwabnej tkaniny. Żadnego oporu. Odsunął nogą zasłonę. Pusto.

Szyba zaślniła odblaskiem płonącej zapalki. Okno zamknięte. Więc? Przecież widział. Przysięgłby, że widział. I nic?

Przysadzisty masyw baru robił wrażenie obronnego wału. Może za nim? Ta droga też nie była łatwa. Ktoś mógł palnąć jak w świecę. Bez ryzyka. A on nie miał najmniejszych szans. Przyjemne to nie było. Nachylił się nad kontuarem. No? - Nikogo.

Jeszcze parę kroków w tę i tamtą stronę. Raczej z poczucia obowiązku.

Przeszukiwać ten ogromny pokój, zastawiony meblami, przy świetle gasnących ustawicznie zapalek? Nonsens.

Zrejterował powoli.

Nie ma nikogo - usiłował wzbudzić w sobie przekonanie. Nie potrafił jednak.

Trudno. Siła wyższa. I tak zrobił wszystko, co powinien w takich okolicznościach.

Więcej niż powinien. Ciekawe, czy któryś z kolegów zdobyłby się...

Zamknął drzwi na klamkę. Miał zamiar zamknąć na klucz, nie mógł jednak znaleźć klucza. Może po tamtej stronie? Wszystko jedno. Zostało zaledwie parę zapalek. Dwie czy trzy. Ostatnie źródło światła. W mózgu zaczął się krystalizować projekt. Pójdzie do Gordona i poprosi. Całkiem naturalne. A przy sposobności...

Skoczył w kierunku schodów jak żbik. Po korytarzu pierwszego piętra znowu ktoś spacerował. Niesamowita noc!

Po zamknięciu drzwi, w salonie panowała przez parę sekund absolutna cisza. Tylko poprzez ścianę dobiegał zamierający odgłos kroków inspektora. Nagle w ciemności wsiąknął odgłos niezmiernie podobny do westchnienia ulgi. Zza obszernej kanapy wyrósł niewyraźny cień. Przeciągnął się, aż zachrząściły stawy.

- Nareszcie. Diabło niewygodna pozycja.

Rozbłysnął snop światła. Latarka elektryczna. Gdyby ją ujrzał inspektor... Nie ujrzał jednak. Właśnie w tej chwili gonił po korytarzu za odgłosem czyichś kroków.

Cień zachowywał się nader spokojnie. Nawet zbyt spokojnie jak na swą sytuację. Choć jeszcze przed paroma minutami... Tak. Nastroju, w jakim przemykał się spod kotary za kanapę, nie można by nazwać żadną miarą optymistycznym. Raczej wręcz przeciwnie. I przesuujące się pod czaszką w tym momencie myśli nie należały do gatunku

różowych.

- Pech... Dla takiego idioty nic nie znaczy wpakować komuś kulę pod zebro. -

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bliskim był odgadnięcia zamierzeń inspektora.

Teraz za to postępował z całą nonszalancją. Jakby w tym, co robił, nie było nic niewłaściwego. A przecież otwieranie zgiętym drucikiem czyjegoś biurka... Nie raczył nawet ani na chwilę zgasić latarki.

Cicho szcęknęła odskakująca sprężyna zamka. Cień miał nie lada umiejętność w tego rodzaju manipulacjach. Wprawdzie ostatnio wyszedł nieco z wprawy, nie było jednak aż tak źle, jak się tego początkowo obawiał.

Ostrożnie wysunął szufladę. Aż zagwizdał na widok płonących rubinowo żarówek.

- Aha! Uszkodzenie elektrowni! Pewno bateria? - Szukał zręcznie. Potem krążek światła przeszukał najbliższą ścianę. - Takie buty?! - Cokolwiek był zdziwiony.

Partacka robota. Zbyt partacka, żeby...

Otworzenie następnej szuflady poszło jeszcze łatwiej. Zręczne palce szukały czegoś w rupieciach. Co?... czyżby? Mdło zabłysła oksydowana stal. Znajomy kształt. Ależ tak.

Z rozczarowaniem dostrzegł ziejący pustką podłużny otwór. Ktoś się widocznie rozporządził. Szukał dalej. Jest. Podsunął magazynek pod światło. Zmarszczył brwi.

Niemiała historia. Dobrze choć, że zostawili te trzy sztuki.

Więcej nic nie znalazł. Dobre i to. Wsunął pistolet do kieszeni. Poczul się jakoś różnie. Nie przewidywał wprawdzie, by zaszła potrzeba użycia broni, ale... Tak, w tych warunkach kto wie, co może człowieka spotkać.

Medytował przez chwilę nad przeznaczeniem instalacji alarmowej. Drzwi?

Obmacywał skrzętnie ścianę, pomagając sobie światłem latarki. Nie. Raczej okno.

Śledził wygórowania pod tapetą. Poruszył skrzydłami okna, nie spuszczaając oczu z

rubinowych światełek..Nic. Więc co? To musiało mieć przecież swoje znaczenie.

- Ano - wzruszył ramionami - trzeba znaleźć drugi koniec. - Powrócił do biurka.

Znowu manipulacja przy zamkach. Lepiej nie zostawiać śladu. Tak... w porządku.

Cicho zadźwięczały szyby w oknie.

XXVII

Murcheson miał bardzo skonfundowaną minę. Nie, na pewno nie spał. Broń Boże.

Gdzieżby sobie pozwolił na takie przekroczenie obowiązków służbowych. Tym

bardziej, gdy pan inspektor kazał. Nawet nie zdrzemnął się przez cały czas, a coż

dopiero porządnie zasnąć.

Mallone spojrział na niego z niedowierzaniem.

- I nie słyszeliście mego wołania?

- Nie! Przecież, gdybym słyszał...

- Więc jak to wytłumaczycie? Sierżant potarł ręką czoło.

- Rzeczywiście... - zamyślił się. - A kiedy pan inspektor mnie wołał?

- Przed... No, nie mogę określić dokładnie. Nie patrzyłem na zegarek. Mniej więcej

jakieś trzy kwadranse. Może nawet godzinę temu.

- Godzinę? Ach tak - twarz policjanta pojaśniała - właśnie miałem panu

inspektorowi zameldować: zauważyłem przez okno w hallu jakiś cień, przemykający się

wzdłuż krzaków. Uważałem więc... Gdy dopadłem drzwi, przechodził właśnie koło tego

wielkiego klombu. Zawołałem. Groziłem, że będę strzelał. Gdzie tam. Zaczął zmykać

jak zając. Zdążyłem go oświetlić latarką. Jakiś Murzyn czy Chińczyk... Miał na sobie

rodzaj krótkiego... Czy ja wiem co to było? Podobne trochę do szlafroka. Tylko kuse. W

kwiaty. W rękę tasak czy nawet pałasz. Nie zdołałem dokładnie dojrzeć. W każdym

razie jakieś ostrze. Zaledwie wyskoczyłem za próg, ten w krzaki. Szukałem, ale... -

machnął bezradnie ręką. - W takiej gonitwie... Pewno właśnie wtedy pan inspektor mnie wołał.

- Nie słyszeliście?

- Nie. Nie było sposobności. Zresztą, prawdę mówiąc, w pierwszej chwili, gdy zobaczyłem to dziwadło, w ogóle nie bardzo wiedziałem, co robić. Wyglądał jak taki z egzotycznego filmu.

Mallone powiększył płomień naftowej lampki. Podeszedł tuż do sierżanta.

- Chuchnijcie! - rozkazał, patrząc mu wprost w oczy.

- Co? - nie zrozumiał.

- No, chuchnijcie - powtórzył ostro. Murcheson wykonał rozkaz.

- Czy pan inspektor przypuszcza, że... - zaczął mocno obrażonym tonem.

Mallone machnął ręką.

- Nic nie przypuszczam. Teraz już jestem pewien, że nie zasiadaliście do kieliszka, ale... No sami pomyślcie: Murzyn, w kusym szlafroku, w kwiaty, biegający po nocy wokół klombu. I do tego z tasakiem w rękę. Czy to nie robi wrażenia pijackich bredni?

- Kiedy ja go naprawdę widziałem...

- Wierzę! - Mallone zmarszczył brwi. - Jeszcze tylko tego egzotycznego jegomościa brakowało do kompletu. Ciekawe, skąd się wziął...

Murcheson milczał wymownie

- Przeszukaliście niby to całą wyspę, a tu ni stąd ni zowąd wyskakując tacy z krzaków.

- Ludzie musieli widocznie przeoczyć. Przycupnął gdzieś w gąszczu i...

- Przeoczyć - przedrzeźniał inspektor. - Bardzo bym chciał wiedzieć, co jeszcze raczyli przeoczyć? Sprawdzaliście całą gromadą, a pożytku tyle co nic. Diabli nadali...

Gderał jeszcze parę minut, zmienił jednak ton. Doszedł do wniosku, że wina Murchesona nie należy do gatunku zbyt poważnych. No, oczywiście, powinien być na warcie w domu, skoro jednak zobaczył takie podejrzone indywiduum...

Zwolnił Murchesona z dotychczasowej postawy na baczność. Kazał mu nawet usiąść, widząc oznaki głębokiego znużenia na twarzy sierżanta.

- W każdym razie na przyszłość wolałbym, żebyście ściślej wykonywali moje rozkazy - zakończył.

Policjant poczerwieniał.

- Rozkaz, panie inspektorze - chciał się zerwać z krzesła, na którego brzegu przycupnął.

Mollone powstrzymał go ruchem ręki.

- Siedźcie u licha! Jeszcze sporo godzin pracy przed nami - rzucił okiem na zegarek.

Tak. Do świtu pozostało trochę czasu. Za mało, żeby się porządnie wyspać, jeżeli jednak chodzi o załatwienie pewnej sprawy, wystarczy aż nadto. Wizytę u Gordona miał już za sobą. Nie dała żadnych sensacyjnych wyników. Właściwie: żadnych wyników. Mina odpowiednio rozespana. W ogóle robił wrażenie człowieka wyrwanego z nienacka ze snu. Oczywiście, mógł udawać. Nie było jednak sposobu sprawdzić.

Cienka, jedwabna piżama. I mały monogram: P.G. Na oko wszystko w porządku.

Piżama i monogram zupełnie inne, niż na tamtym mężczyźnie ze zmasakrowaną twarzą.

Tylko ta szczelnie przylegająca do głowy szlafmyna. Tak, może to jedno, co warto był zanotować. Któż bowiem używa tego rodzaju czepków w Anglii? Dziwactwo, czy też?... W każdym razie ciekawe. Wolałby go zobaczyć bez szlafmyny. A teraz...

- Pożyczcie mi swej latarki - zwrócił się do Murchesona.

Policjant wykonywał rozkaz bez cienia entuzjazmu.

- Czy... - zerknął spod oka na tonące w gęstym mroku kąty - czy będę mógł nosić ze sobą lampę?

Zezwolił łaskawie. Rzeczywiście spacerować bez światła po tym niesamowitym domu nie należało do specjalnej przyjemności. Doświadczył tego zresztą na własnej skórze.

- Tylko nie wypuszczajcie się na żadne wycieczki - przestrzegając opuszczając hall - żebyście nawet nie wiem co dojrżeli w krzakach. Możecie mi być bardziej potrzebni w domu. - Nie mówił tego na wiatr. Miał niemal pewność, że znajdzie potrzeba jego pomocy. I to już bardzo niedługo.

XXVIII

Zanim Pentham zdołał otworzyć oczy i podnieść głowę z poduszki, było już za późno. Postawiony pod drzwiami taboret runął z przytłumionym trzaskiem na puszysty dywan. Tuż przy łóżku czerniał zarys niewidocznego w mroku człowieka.

Pentham nacisnął guzik elektrycznej latarki. Snop białego światła odbił się od gładkiej powierzchni przedmiotu, tkwiącego w rękach przybysza. Bagatela!

Automatyczny pistolet. Przymrużył powieki.

- Czemu zawdzięczam łaskawą wizytę o tak niezwyklej porze? - wycedził.

Szczęknięta spężyła rewolweru. Piegowata ręka podsunęła magazynek pod światło.

Manipulacje nocnego gościa zgoła nie zachwyciły Penthama.

- No! - w głosie jego brzmiał teraz nacisk. - Czekam na wyjaśnienie powodów odwiedzin, inspektorze!

Mallone wzruszył ramionami.

- Hm... - bąknął coś niezdecydowanie - bardzo mi przykro, że... Po prostu

pomyliłem drzwi - nie wypuszczał z ręki pistoletu.

- Aha - potwierdził zjadliwie Pentham. - Rozumiem. Taka mała omyłka w ciemnościach, prawda?

- Uhm... Coś w tym rodzaju.

- A - Pentham wskazał ruchem głowy na pistolet w rękach inspektora - to też omyłka? Myślał pan, że to pański?

Mallone spojrział na niego z ukosa.

- Bynajmniej - zaprzeczył głucho - mój tkwi w kieszeni. Zresztą proszę mi wierzyć, na podorędziu! - wtrącił jakby od niechcienia. - Tylko... no, cóż... Po prostu sam mi wpadł w ręce...

- I dlatego właśnie postępuje pan z nim jak z własnym?

Inspektor nie odpowiedział. Raz jeszcze obejrzał uważnie magazynek.

Było co oglądać. To daleko ciekawsze nawet od szlafmocy Gordona.

- Czy to właśnie ten, który zginął panu w alejce?

- Ten sam.

- Znalazł się? Pentham ziewnął.

- Nie - mruknął sennie. - Jak pan widzi, inspektorze, leży w dalszym ciągu pod liśćmi - nie znosił zbędnych pytań. A w zadawaniu takich Mallone wprost celował.

Inspektor nie zareagował na zaczepny ton. Mógł sobie na to pozwolić. Przecież nadchodziła chwila jego triumfu.

- I strzelał pan z niego tylko jeden raz - powiedział jakby do samego siebie.

Mózg Penthama pracował gorączkowo. Wiedział dobrze: nadciągało niebezpieczeństwo. Nie można go lekceważyć. Mallone miał za sobą władzę. I w tym wypadku... Nagle uspokoił się. Prawda. Że też mógł o tym zapomnieć. Dawniej nie

zdarzało mu się nic podobnego. Widocznie umysł tępieje w spokojnych warunkach życia. W porządku. Teraz sobie mogą porozmawiać.

- Broń Boże! - zaprzeczył uprzejmie. - Pan zapomina inspektorze treści moich zeznań. Nie strzelałem ani razu. Rewolwer sam wypalił. Od uderzenia.

Mallone przysiadł na fotelu. Pentham obserwował go spod oka... Tak bez zaproszenia? W cudzym pokoju? Widocznie czuł się dostatecznie pewny swej sprawy. Dobrze. Ten się śmieje...

Inspektor pokiwał głową. - Prawda - ton już wyraźnie sarkastyczny - rzeczywiście zapomniałem. Wypalił. Jeden raz. Wszak tak pan zeznał?

- Słowo w słowo.

- A tu - inspektor podnosi w dwóch palcach magazynek - brakuje czterech nabojów.

Akurat tyle, ile było w ogóle strzałów tamtej nocy. Czy to nie dziwne?

- Bardzo dziwne - przyznał potulnie.

- A jak pan to wytłumaczy, pułkowniku?

W oczach Mallone'a zagrały ogniki triumfu.

Pentham znowu ziewnął. Tym razem jeszcze szerzej. Omal mu szczęki nie wyskoczyły z zawiasów. I nie udawał bynajmniej. Naprawdę okropnie chciało mu się spać.

- Wcale nie wytłumaczę. Rozwiązanie tego rodzaju rebusów nie należy do mnie.

Ani trochę. Od tego płacę podatki na policję, by mnie w tym zastępowała.

Mallone był wyraźnie zaskoczony. Treścią i tonem. Zupełnie nie rozumiał zachowaniem się Penthama.

- Przecież to pański rewolwer? - bąknął.

- Mój!

- Przyznaje się pan?

Pentham niedbałym ruchem podciągnął kołdrę.

- Proszę mi wybaczyć, inspektorze, ale jeżeli przy tej późnej godzinie zechce pan zadawać w nieskończoność te same pytania, zmieniając jedynie redakcję...

Mallone poczuł, że coś tu nie jest w porządku. Badanie zaczęło iść zupełnie inną drogą niż zamierzał. Zaraz, trzeba trochę przemyśleć sprawę. Skąd Pentham czerpie tę swoją nieznośną pewność siebie? Udaje? Chyba nie - jaki to mogłoby mieć cel w tych warunkach? Więc? Nie byle jaki przeciwnik. Nie należy go lekceważyć. Z namysłem przetarł okulary. Zyskane przez tę czynność kilkanaście sekund niewiele pomogło. Nie mógł jakoś tego rozgryźć.

- Ale pułkowniku, czy pan nie rozumie, że...

- O tej porze z moją zdolnością rozumowania jest nadzwyczaj kiepsko - przerwał

Pentham. - Zresztą, co niby mam rozumieć?

- Przecież w pańskim rewolwerze brakuje czterech naboarów...

- To już słyżałem. Umiałbym nawet na pamięć jak litanie, gdybym nie był tak piekielnie śpiący. Więc cóż z tego, że brakuje?

Mallone coraz bardziej tracił pewność siebie. Co ten znowu chowa w zanadrzu? Bo wyczuł dobrze, że chowa.

- To... no... to pana poważnie obciąża... Pentham roześmiał się cicho.

- O!... aż obciąża? A, jeżeli można wiedzieć, pod jakim względem?

- Jak to? Przecież ten zastrzelony mężczyzna...

- Zastrzelony? Czyżby? I na czym pan opiera to swoje... hm... przypuszczenie?

Mallone zaczął rozumieć. Prawda. Zwłoki ukradzione i...

- Znalazł pan może kule? - ciągnął dalej Pentham. - Bo jeżeli chodzi o orzeczenie

koronera, to... Zapalił fajkę. - Sądowy lekarz też nie zdążył - pyknął - obejrzyć zwłok. A w tych warunkach... - Wypuścił ustami kłęb dymu.

Mallone zaklął bezdźwięcznie. Diabli nadali. Skoro nie było zwłok... Tamten był górą. Inspektor był bezradny. Początkowy przedsmak triumfu rozplynął się w gorzkim posmaku klęski.

- Kradzież zwłok była panu na rękę? - niemal wybuchnął.

- Ba... - Pentham nie wyjmował fajki z ust - jeżeli chodzi o obecną chwilę, to nie miałbym śmiałości zaprzeczyć. Bo gdyby pan rzeczywiście wyłowił z tego nieszczęsnego ciała jakiś pocisk. I przypuśćmy, co gorzej, że pocisk ten przypadkowo pasowałby do mego rewolweru. A tak... - demonstracyjnie podsunął osadzony w bransoletce zegarek pod smugę światła padającego z latarki. - Późno! - westchnął. - Naprawdę bardzo późno.

Mallone nie mógł nie zrozumieć. To było już zupełnie wyraźne. Teraz nie miał już podstaw, by forsować swoją wolę. Powstał z ociąganiem.

- Powrócimy jeszcze do tej rozmowy.

- Owszem. Tylko o jakiejś możliwej godzinie.

- A ten rewolwer - inspektor zrobił ruch jakby zamierzał schować go do kieszeni.

- A ten rewolwer pozostanie - padło stanowczo. Mallone zawahał się.

- Jednak...

- Zechce pan położyć na to samo miejsce, gdzie leżał poprzednio - słowa ciężły ostro jak stal. - W przeciwnym razie wyciągnę wszystkie możliwe konsekwencje.

Mallone omal nie zgrzytnął zębami. Tak. Pentham umiał wyciągać konsekwencje.

Lepiej nie zaczynać, gdy brak murowanych podstaw. Niechętnym ruchem położył rewolwer na stoliku.

- Przypuszczam, że ma pan pozwolenie?

- Oczywiście - Pentham wyciągnął rękę w kierunku wiszącej na poręczy krzesła marynarki.

- Dziękuję - powstrzymał go Mallone. - Wierzę na słowo. Czy mógłby mi pan powiedzieć, o której położył się pan do łóżka? - rzucił zniecierpliwione pytanie.

Pentham opadł na poduszkę.

- Cóż, mógłbym, naturalnie mógłbym. Nie odpowiem jednak.

- Dlaczego?

- Bo... - wyciągnął wygodnie ciało w pościeli.

- Wie pan, inspektorze, słyszałem coś niecoś o waszym „trzecim stopniu”. Podobno jeden ze sposobów polega na budzeniu w nocy delikwenta i zasypywaniu go pytaniami.

Ale na to trzeba być oskarżonym, a do tego czasu... Dobranoc. Byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zechciał zamknąć drzwi.

Inspektorowi aż spotniały szkła binokli.

- Zamknąć drzwi? - powtórzył bezradnie.

- Tak - Pentham naciągnął kołdrę aż po szyję.

- Z tamtej strony.

Inspektor wyszedł, stawiając ciężkie kroki. Paskudne uczucie upokorzenia dławilo go w gardle.

- Poczekaj - pogroził zaciśniętą pięścią, przystając za progiem - zapłacisz mi jeszcze za to wszystko.

Ale uprzednio zamknął drzwi od pokoju Penthama.

XXIX

Pech prześladował go bez przerwy. Naturalnie, zatopienie cewki nie należy do

jakichś nadzwyczajności. Ale żeby chodzący dotąd jak zegarek motor Lincolna? I do tego na takim zakazanym odcinku drogi, z dala od jakiejkolwiek ludzkiej siedziby?

Utknęli niby kamień w smole. Wzór szoferów robił raczej wrażenie wzoru bezradności.

Mac Cormick, wbrew swemu zwyczajowi, przeżuwał bardzo brzydkie wyrazy. Dach nasiąkała wilgocią jak gąbka. I te nieszczęsne trzydzieści tysięcy akcji. Można się wściec.

Dopiero dobrze nad ranem przyłapali jakiś wóz. Chłopina nieufnym wzrokiem badał przypuszczalny ciężar potężnej maszyny.

- Mój koń nie należy do siłaczy - próbował całkiem niesportowo wykręcić się z przygody - nie wiem, czy da radę.

Konik zresztą rzeczywiście wyglądał bardzo niepokaźnie. Szczególnie w zestawieniu z rozmiarami samochodu. Nie było jednak innej rady. Trzeba spróbować.

Szelest banknotów rozwiął skrupuły woźnicy. - Cóż... może... jakoś...

Ruszyli. Pożał się Boże z taką jazdą. Noga za nogą. Koń sapał. Chłop raz po raz mierzwił czuprynę rozczapierzonymi palcami.

- Jeżeli mi bydlę padnie...

Mac Cormick obiecał zapłacić za szkapę. Jechali dalej.

Miasteczko, do którego wreszcie dobrnęli w pogrzebowym tempie, nie należało do przemysłowych centrów. Prawdę powiedziawszy: paskudna dziura. Ślusarz i kowal w jednej osobie kręcił z powątpiewaniem głową.

- Owszem... dlaczego by nie... Trafiało się i takie historie reperować. Ale to musi potrwać do wieczora.

Mac Cormick skoczył na niego jak żbik.

- Do wieczora? Zwariowaliście chyba, człowieku! Tu każda minuta...

Jak się okazało, wybrał najgorszy sposób przemawiania do rozsądku.

Ślusarz łypnął oczyma.

- Wcale nie zwariowałem. I w ogóle wypraszam sobie... Samochód nie samochód.

Mam inną robotę. Pilniejszą - splunął na zakurzoną ulicę, dla zadokumentowania stanu swych uczuć.

Mac Cormick pohamował wzburzenie. Zaczął z zupełnie innego tonu. Słodziutko jak miód. Że nie miał niczego złego na myśli. Zmęczenie drogą. I naprawdę ma ważne interesy w Londynie. Niechże pan majster zechce go zrozumieć. Sięgnął do portfela.

Wówczas pan majster zechciał zrozumieć. Interes jest interesem. Nie codziennie zdarza się taka okazja.

Pomimo wszystko naprawa trwała przeszło dwie godziny.

Do Londynu przybyli w samo południe. Mac Cormick pojękiwał cicho. Ładna historia! Agenta naturalnie nie zastał w domu. Znowu zwłoka.

Ciekawe - palił bez przerwy cygaro po cygarze - ile mnie to wszystko będzie kosztowało?

Gdyby mógł przewidzieć, ile będzie kosztować, naprawdę, wiele spraw poszłoby zupełnie innymi drogami niż poszło w rzeczywistości. Ale nie był jasnowidzem. W ogóle nie miał zdolności przewidywania. I dlatego właśnie stracił największą szansę swego życia.

Wreszcie pan Barney powrócił z giełdy. Zastawszy w swym gabinecie gościa zaczął się rozplýwać w grzecznościach. Że taki zaszczyt, że...

Mac Cormick przeciął jednak tyradę w zarodku. Nie znosił chińszczyzny, jeżeli chodziło o interesy.

- Pan się domyśla z czym przychodzę? - przystąpił krótko do sprawy.

Agent pokiwał niezdecydowanie głową.

- Tak... - przypominam sobie ten nocny telefon. Ale chyba czcigodny pan nie ma zamiaru sprzedawać teraz Trustów?

Mac Cormick odłożył cygaro. Troszkę go mdliło. Od wyjazdu z Gordon's, Hill nie miał nic w ustach, poza tytoniowymi liśćmi. Właśnie ma zamiar: Dlaczego by nie? Ten interes, o którym wtedy wspominał, dochodzi do skutku.

- I dlaczego... - urwał. Coś go zastanowiło w wyrazie twarzy gospodarza. - Jak stoją Trusty? - zapytał pośpiesznie.

Wargi pana Barneya wykrzywił grymas goryczy.

- Jak stoją? Wcale nie stoją. Spadają na łeb na szyję.

Mac Cormick przełknął ślinę. Doczekał się. Sam sobie winien. Takich spraw nie można odkładać. Gdyby od razu po rozmowie z Lindsayem... Chciał mieć pewność.

Kosztowna zachcianka. Dużo mu teraz przyjdzie z tej pewności.

- Dlaczego? - Głos pomimo usiłowań brzmiał cokolwiek ochryple. Zmęczenie podróżą. Ale oprócz tego Mac Cormick okropnie nie lubił tracić.

- Phi! - pan Barney z męczącą powolnością zapalał cygaro. - W rannych godzinach ktoś puścił spory pakiet. Przy nerwowym usposobieniu dla Trustów... Sam pan rozumie, sir...

- Kto?

Pan Barney potrząsnął głową.

- Nie wiadomo. Sprzedawał Bank Braci Walker. Oczywiście nie swoje. Żeby ich porąbano na sztuki nie zdradzą nazwiska zleceniodawcy. Sprzedali po kursie... - wymienił sumę.

Mac Cormick zacisnął zęby.

- Więc aż tak spadły?

- Spadły znacznie więcej. To było przecież z samego rana. W południe jedna ze szmat żółtej prasy puściła plotkę... Zaraz pokażę - wyjął z bocznej kieszeni marynarki zmiętą płachtę gazety. - Proszę samemu ocenić - podał Mac Cormickowi.

Wielkie litery nagłówka skakały przed oczyma: „Co się dzieje z prezesem Trustu Stalowego? Stan oblężenia w Gordon's Hill? Zabójstwa na wyspie. Czy sir Percy Gordon żyje, czy też?...”

Wystarczyło. Wyobrażał sobie, co się musiało dziać na giełdzie po takiej notatce.

- Idiota - mruknął przez zęby, myśląc o inspektorze Mallone. Niesłusznie zresztą.

Inspektor nie miał z artykułem nic wspólnego.

- Pan coś mówił, sir?

Mac Cormick nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Musiał mieć trochę czasu, by ochłonać. Ochłonał wreszcie. To nie było nieszczęście, a tylko przykrość. Ostatecznie, nie cały majątek ulokował w Trustach. Nawet nie połowę. Ba, zrobił bilans w myśli, głupstwo. Około dziesiątej części. Wytrzyma. Odzyskał już zimną krew.

- Zechce pan sprzedać cały pakiet.

- Hm... - Barney cmoknął cygaro. - Jakie pan stawia minimum co do ceny?

Mac Cormick zrobił wymowny ruch ręką. Agent zrozumiał dokładnie: sprzedać za każdą oferowaną cenę.

Po wyjściu Mac Cormicka zagwizdał przeciągle. To z Trustami aż tak źle? Bo Mac Cormick... No tak... Sądząc po transakcjach, jakie przeprowadzał dla niego dotychczas, uważał go za klienta z dobrym nosem.

XXX

Mallone patrzył tępo na arkusz maszynowego pisma, przywieziony przez

posterunkowego Hinkey'a. Podczas czytania aż dwa razy przecierał szkła binokli. Nie z rzeczywistej potrzeby. Raczej dla ukrycia przed oczyma policjanta zdenerwowania.

Uważał się za człowieka o silnych nerwach, jednak taki pasztet... Przecież to wszystko razem może doprowadzić do białej gorączki."Rozporządzenie policyjne. Zakazuje się przebywania w odległości 300 jardów od wybrzeża, naprzeciwko wyspy Gordon's Hill.

Zakaz obowiązuje do godziny 22-giej dnia..." Pieczęć policyjna. I podpis. Tak, ten podpis to już najlepsze chyba z całej historii. „H.G. Mallone. Inspektor.” Tak. H.G. Mallone!

- Przecież to nie mój charakter pisma - dźgnął oskarżycielskim gestem w atramentowe litery.

Hinkey pokiwał głową z ubolewaniem.

- Tutejsi ludzie nie znają pisma pana inspektora... Nawet my, policjanci... A cóż dopiero cywile...

- A kto skomponował to świństwo?

- Niestety... dochodzenia w tym kierunku nie dały żadnych pozytywnych rezultatów. - Urzędowość własnego stylu napawała go poczuciem dumy. - Nikt nie widział, kiedy rozklejono te plakaty. Widocznie musiano tego dokonać o świcie, gdy rybacy jeszcze spali. Oczywiście byli mocno niezadowoleni, że nie mogli wyjechać na rzekę. Usłuchali jednak. U nas ludzie są na ogół bardzo lojalni.

- Otóż to - krótkie palce inspektora bębniły po stole. - Więc właśnie dlatego byliśmy odcięci od świata.

- Tak - potwierdził Hinkey. - Ten i ów słyszał wołania z wyspy. Byli bardzo zaciekawieni. Ale, nie chcąc łamać zakazu pozostali w swych domach.

- Hm... I dużo tego rozklejono?

- Okrągły tuzin. To znaczy, na każdym domu po jednym. Poleciałem Perkinsowi, by zebrał wszystkie. Dołączę w charakterze dowodu rzeczowego do raportu o zajściu.

Chcąc jednak jak najprędzej zawiadomić pana inspektora...

- W porządku - przerwał Mallone. - Dziękuję - odprawił go gestem ręki. Napuszczona gadatliwość zaczynała go nużyć. A tyle jeszcze czekało roboty.

Tym razem uprzednio zapukał do drzwi. I poczekał na zaproszenie. Pentham odłożył jakiś ilustrowany tygodnik.

- Czym mogę służyć? - uprzejmym gestem wskazał stojący naprzeciwko fotel.

- Jeżeli pan pozwoli, chciałbym zadać parę pytań.

- Służę. Gdy jestem wyspany, potrafię znieść bez bólu badania wszelkich stopni.

- O której położył się pan wczoraj spać?

- Hm... prawdę powiedziawszy nie umiem odpowiedzieć dokładnie na to pytanie.

Nie patrzyłem na zegarek. Ale w każdym razie było już dość późno.

- Czy około godziny dwunastej słyszał pan na korytarzu jakieś odgłosy?

- Nie patrzyłem na zegarek - przypomniał.

- Przepraszam. Powiedzmy więc w jakieś półtorej godziny potem, gdy wszyscy udali się do swych pokojów?

Pentham uśmiechnął się jakoś dziwnie.

- Ba... słyszałem całą masę odgłosów.

- Kroki?

- Owszem. Dużo kroków. Można było po prostu odnieść wrażenie, że mieszkańcy pałacu używają korytarza jako deptaka dla nocnych spacerów.

- A coś w rodzaju szurania po podłodze? Tak jakby ciągnięto ciężki przedmiot?

Brwi Penthama powędrowały ku górze.

- Szuranie?

- Tak.

- W korytarzu? - znieczeka zajązwał głębkoko w oczy inspektora.

Mallone nieco przymruzył powieki. Nie znosił tego rodzaju obcesowości.

- Nnie - bąknął z ociąganiem. - Na dole. W hallu czy też w jego najbliższym sąsiedztwie.

Pentham strzepnął jakiś niewidoczny pyłek z rękawa swojej marynarki.

- Hm... to aż tak głośno szurano, że można by usłyszeć w moim pokoju? Pomimo, że leży niemal na samym końcu długiego korytarza?

Mallone mruknął coś niewyraźnie. Znowu uderzenie w próżnię. A tyle pokładał nadziei w tym pytaniu. Pomimo wszystko nie docenił widocznie twardości orzecha.

Pentham błysnął oczyma.

- Który stopień inspektorze?

- Nie rozumiem. Pentham roześmiał się cicho.

- Niech pan nie udaje. Jeżeli szurano czymś w hallu, to w moim pokoju nie można by tego słyszeć. I wie pan o tym doskonale. Czy może się mylę?

Wzrok inspektora szukał czegoś na dywanie.

- Pytam tylko... - bąknął.

- Tak - powtórzył Pentham - pytał pan tylko. Ale odpowiedzi oczekiwał pan na całkiem inne, niż zadane, pytanie. Chciał się pan mianowicie dowiedzieć, czy tej nocy wychodziłem ze swego pokoju. Czyż nie tak?

Mallone cmoknął papierosa.

- A gdyby tak było w rzeczywistości? - podniósł nareszcie oczy.

- Gdybym wychodził z pokoju - wzruszył lekko ramionami - pomimo pańskiego

zakazu, nie przyznałbym się oczywiście...

- Nie?

- Na pewno nie. Po cóż miałbym panu dawać do ręki dobrowolnie nowy atut? I tak gromadzi je pan skrzętnie do jakiejś, sobie tylko wiadomej, rozgrywki. Trudno. Musi pan sam ustalić, gdzie przebywałem o tej czy innej godzinie nocy.

Mallone odłożył powoli niedopałek papierosa na popielniczkę.

- Niech i tak będzie. W takim razie może mi pan odpowie na pytanie z innej serii.

- Słucham.

- Czy... - popatrzył w okno. Sformułowanie pytania nie należało do najłatwiejszych.

Nie chciał się ośmieszyć. Szczególnie w oczach Penthama. A cała opowiedziana przez Murchesona historia robiła raczej wrażenie groteski. - Czy - odchrząknął - w chwili pańskiego przybycia na wyspę, nie zastał pan w pałacu albo w okolicy kogoś... hm...

No, słowem kogoś, kto nie należał do obecnego zespołu mieszkańców Gordon's Hill?

Pentham myślał króciutką chwilę. Każde wypowiedziane słowo mogło mieć znaczenie. Mallone nie przebierał w środkach.

- Owszem.

- Kogo? - w oczach inspektora zabłyśły ogniki zainteresowania.

- Dwóch ciemnoskórych dżentelmenów.

- Ciemnoskórych? Murzyni?

- Niezupełnie. Raczej Malaje.

- A... jak byli ubrani?

- W sarongach.

- Aha - wiadomości inspektora z dziedziny egzotycznych strojów należały raczej do niezadowalających. Sarongi? Bezskutecznie szukał w mózgu. Co to może być u licha?

W końcu zrezygnował z dumy. - Czy to podobne do kusego szlafroka w kwiaty?

Pentham roześmiał się wesoło,

- Do kusego szlafroka? Cóż. Dlaczego by nie? Przy dużej dozie fantazji ze strony widza, można by ostatecznie dopatrzeć się pewnego podobieństwa.

- Czy ci Malaje byli uzbrojeni?

- Tak. Obydwaj mieli za pasem krisy. To znaczy, ściśle mówiąc, nie zawsze za pasem. W pewnych momentach - uśmiechnął się do wspomnień pierwszej nocy - wyjmowali je...

- Krisy? - Mallone się pocił. Cóż to może być znowu za diabeł? Ironiczne błyski w oczach Penthama nie sprawiły mu najmniejszej przykrości. - To... takie szable? - zaryzykował ostrożne pytanie.

- Coś w tym rodzaju. Tylko krótsze i szersze od normalnych. I do tego zakrzywione - informował pobłaźliwie.

- Dziękuję. To byłoby mniej więcej wszystko - zrobił ruch jakby chciał powstać z fotela. - Aha - uderzył się dłonią w czoło - prawda! Byłbym zapomniał. Jeszcze jedna drobnostka - sięgnął do kieszeni, wyjmując złożony w czworo arkusz. - Nie odmówi mi pan chyba podpisania tej notatki? - podsunął papier Penthamowi. Jednocześnie odkręcał wieczne pióro.

Pentham przestudiował uważnie kilka linii niewyraźnego pisma.

- Co? - spojrzał na inspektora. - Mam podpisać zeznanie, że w moim rewolwerze brakuje czterech naboji?

- No, tak - podawał przygotowane pióro. - Przecież...

- Ależ to nonsens! - Zapaścił rękę do tylnej kieszeni spodni. - Niech pan sam sprawdzi. W magazynie brak tylko jednego ładunku.

Mallone wytrzeszczył oczy. Rzeczywiście. Tylko jeden otwór w czarnej blasze ział pustką. Inne prezentowały złote błyski miedzianych kapsli.

- Ale to... - bąknął zduszonym głosem. - Tak... teraz... Uzupełnił pan magazynek?

Pentham popatrzył w okno.

- Stwierdzam tylko fakt. Brakuje jednego naboju - oświadczył znudzonym głosem.

- Nie mogę więc podpisać zeznania, że brakuje ich cztery. To byłoby niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy.

Palce inspektora obracały bezmyślnym ruchem podłużny stalowy kształt.

- Jednak w nocy... Pentham strzepnął palcami...

- W nocy byłem bardzo śpiący - powiedział niedbale. - Skądże więc mogę pamiętać, co się działo?.

Mallone przełknął soczyste przekleństwo.

- Gdybym wtedy zabrał pomimo wszystko pański rewolwer.

Pentham wydał wargi.

- Ba... - strzepnął palcami - gdyby. Ale nie zabrał pan. Zresztą, jeżeli mam być zupełnie szczery, nie mam najmniejszej pewności czy by się panu to udało.

Mallone powstał raptownie.

- Więc - rzucił magazynek na stół - pan, panie pułkowniku, w ten sposób?

- W zwyczajny, panie inspektorze. - Głos Penthama brzmiał pełną gamą uprzejmych nutek.

- Dobrze - na policzki wystąpił krwisty rumieniec. - Zobaczymy.

- Qui vivra verra... Inspektor przystanął na progu.

- Co pan powiedział? - zmarszczył groźnie brwi.

- Nic wielkiego. Po prostu powtórzyłem pańskie ostatnie słowo w obcym języku.

Mallone zamknął za sobą drzwi odrobinę głośniejszą niż zachodziła niezbędna potrzeba. Szyba w okienku ponad drzwiami zadźwięczała cienko od wstrząsu. Pentham, ssąc fajkę, patrzył przez chwilę w zadumie na polerowaną taflę drzwi. Zastanawiał się, jak w głównej komendzie mogli tolerować takiego typu jak Mallone. Bo że kompletny głąb, to się jeszcze zdarza w najlepiej nawet postawionych instytucjach. Ale jego zachowanie? I to ma być inspektor ze Scotland Yardu? Czyżby ci panowie uważali, że choćby ździebko ogłady szkodzi urzędowaniu?

XXXI

Spojrzał badawczo wokoło. Odetchnął z ulgą. Pusto. Wprawdzie nie spieszyłaby go zbytnio czyjakolwiek obecność, jednak w takim wypadku zbieranie ogniów do łańcucha uległoby pewnej zwłóce. A czas naglił. Jeżeli ma wykonać, co zamierzał, nie wolno zasypiać sprawy. W każdej chwili może zajść coś, co postawi cały plan pod znakiem zapytania. Albo nawet uniemożliwi go w ogóle.

Miał przed sobą parę minut absolutnej swobody. Murcheson drzemał w fotelu. Wyminął go, przechodząc hall. I to wyminął w sposób jak najbardziej delikatny. Za wszelką cenę starał się nie zakłócać zasłużonego odpoczynku strudzonego nocnym czuwaniem policjanta. I nie zakłócił, na szczęście. Gdy dochodził do stołowego usłyszał poza plecami głośniejsze chrapanie. Mallone wraz z Hinkey'em uganiali się po krzakach. Prawdopodobnie szukali egzotycznych gości. Gordon i sekretarz byli niewidoczni od obiadu, tkwiąc w swych sypialnych pokojach na górze. Słowem wszystko O.K.

W stołowym stało kilka sprzętów, z którymi pragnąłby zawrzeć bliższą znajomość. Choćby ta piękna komódka pod ścianą. Ładny kawałek z epoki... Penthama jednak w tej chwili nie obchodziła epoka. Interesowała go raczej zawartość mebla, który wyglądał na

setki tajemnych zakamarków. Skoro w biurku nie było ciekawej korespondencji...

- O! - przystanął raptownie przed kominkiem. - Przecież to... - nachylił się.

Tak, pierwsze wrażenie nie omyliło go. Palono jakieś papiery. I to niedawno. W czasie śniadania jeszcze tego nie było. Na pewno by zauważył. Siedział akurat naprzeciwko paleniska. Ostrożnie rozgarnął ciemnoszare grudki papieru. Tak... Nie wszystko spłonęło. Te białe strzępki pokryte maszynowym pismem. Nawet dosyć dużo ocalało. Podniósł kawałki papieru do oczu. Telegram. Przy...źdza nie..ela po..udniu. Flo... Flo? Zdrobnienie imienia Florence? Przed oczyma zamigotała wizja skórzanej ramki z biletem wizytowym. Florence Gordon. Platynowe loki i fiołkowe oczy. Wesole chochliki w źrenicach. Przytłumiony przejściami ostatnich dni obraz nabrał jaskrawych barw życia. Flo! Tak. Na pewno ona. Pytała przecież o pociąg w niedzielę. Gdyby zamiast workowatego kostiumu włożyła na siebie... No, uwaga... Przywołał się ostro do porządku. Nie przyszedł tu po to, by rozmyślać o strojach panny Gordon. Ani o niej samej. Chociaż oczywiście... zapowiedź jej przyjazdu w tutejszych warunkach ma swoje znaczenie. I to całkiem poważne znaczenie. Któż bowiem lepiej, niż ktoś noszący to samo nazwisko, może usunąć wszelkie wątpliwości co do osoby gospodarza.

Dlaczego spalił tę depezę? - rozgarnął palcami ocalałe skrawki. - I dlaczego... Tak, to bardzo ciekawe. Dlaczego ona nie spłonęła? Niemal cała treść oparła się niszczycielskiemu działaniu płomieni. W każdym razie najważniejsza jej część.

Zupełnie, jakby ktoś naumyślnie... - O! - spojrzał badawczo na tkwiące pomiędzy palcami kawałki papieru. - Naumyślnie? Skąd ten połysk? Czyżby?

Dotknął papieru końcem języka. Wargi jego skrzywił wyraz niesmaku. Oczy jednak błyszczały wesołym odblaskiem. Świetny kawał! Akurat dobry dla inspektora Mallone. Pieczołowicie ułożył z powrotem, pomiędzy popiołem, ocalałe szczątki

telegramu. Do łańcucha przybyło jeszcze jedno ogniwo. Podszedł do sekretery.

Otworzenie szuflad nie zajęło mu nawet minuty. Skonstatował przy tym z zadowoleniem, że wprawa powraca w siedmiomilowych butach. Skrytki? Przesunął czujnie końcami palców po gładkiej powierzchni drewna. To nie poszło tak łatwo. Nie zrezygnował jednak. Te stare meble miewają swoje tajemnice. Wreszcie wyczuł jakąś nierówność forniru. Nacisnął. Szczęknęła cicho sprężynka. Odskoczyła klapka. Skrytka. Wysunął ostrożnie niewielką szufladkę. Na samym wierzchu fotografia w nikłowej ramce. Wizerunkiem w dół. Odwróciwszy, spojrzął z rozczarowaniem. To nie było to, czego oczekiwał. Starszy mężczyzna w sportowej marynarce. Fajka w zębach. Któż to może być taki? I dlaczego schowano tak dokładnie tę fotografię? Twarz mężczyzny nie była zupełnie nieznamoma. Zaraz... szperał z wysiłkiem w pamięci. Na pewno gdzieś widział podobną fotografię. Albo nawet model w naturze. Jakoś sobie nie mógł przypomnieć gdzie i kiedy. Ostrożnie wyjął karton z ramki. Na światło dzienne wystąpiły zasłonięte dotychczas przez nikłową listewkę ciemniejsze zygzaki atramentu. Dedykacja. „Drogiemu przyjacielowi”... I podpis. To było najważniejsze. Niestety trudny do odcyfrowania. Prawda! Przypomniał sobie tkwiącą w kieszeni kamizelki składaną lupę. Przywiózł ją wprawdzie, by podziwiać szczegóły malowideł na wazie, mogła jednak posłużyć i w takim wypadku. Rzeczywiście posłużyła. Mozolnie, litera po literze, złożyć całość. Piekielnie niewyraźny charakter pisma. Odczytał jeszcze raz. Nie, to nie „a”. Raczej „e”.

- O! - Aż zamrugął oczyma.

Teraz dopiero przypomniał sobie, skąd znał twarz z fotografii. Znały ją zresztą tysiące mieszkańców Londynu. Zagwizdał cichutko, przez zęby. Ładny gips. To tłumaczyło bardzo wiele. No, nie wszystko, oczywiście, ale naprawdę bardzo wiele.

Choćby obecność w pałacu ciemnoskórych z krisami w rękach. Roześmiał się bezgłośnie. Naturalnie. Więc to tak? Że też wcześniej się tego nie domyślił. I ten służący z nieprawdziwego zdarzenia w peruce na bakier. Wszystko właśnie w stylu pana z fotografii. Włożył z powrotem fotografię do ramki. Sprawdził jeszcze. Nie. Żadnego śladu. Wszystko w porządku. Szperał - dalej w szufladzie. Plik jakichś świstków. Rachunki. Listy. Mała teczka z wytłaczanej skóry. Złożony zameczek. Skomplikowany? Głupstwo. Wystarczyło parę ruchów ostrzem zwykłej szpilki. Znowu listy. Właściwie liściki. Małe prostokąty barwnego papieru, rozsiewające dyskretną woń perfum. I żeby to tylko jeden zapach. Przerzucił wzrokiem. Uśmiechnął się. I to ten starszy pan w źle dopasowanej peruce? Wcale niezła kolekcja damskich epistoł. Daty bynajmniej nie odległe. W każdym razie nie znalazł niczego, co by miało związek z interesującą go sprawą.

- Cicha woda!

Zamknął starannie zameczek. Odłożył teczkę na bok. Szukał dalej. Czas naglił. W każdej chwili mógł wejść ktoś niepowołany. Trudno byłoby wytłumaczyć swoje zajęcie. Duże arkusze spięte spinaczem. To już na pewno nie od dam. Przejrzał uważniej. Jakieś sprawozdanie. Miał zamiar odłożyć, gdy zauważył podkreślone uwagi „ściśle poufne”.

- Hm - zawahał się - może...

Ani mowy, aby przejrzeć na miejscu. Wsunął cały plik do kieszeni. Trzeba przestudiować. Zestawienie cyfr może co nieco wyjaśnić. Bo jeżeli jest tak, jak przypuszcza? Tak... w tym wypadku cyfry miałyby decydujące znaczenie. Jeszcze jeden list. Gruby, czerpany papier. „Drogi przyjacielu”... Charakter pisma ten sam, co na fotografii. Albo w każdym razie bardzo podobny. Wytężył wzrok. Nie, na pewno ten sam. Studiował słowo po słowie. Pokiwał głową. Ciekawe.

Skądś, spoza ściany, dobiegł odgłos szybkich kroków. Zaklął przez zaciśnięte zęby.

- Że też akurat kogoś muszą diabli... - Rzucił tęskne spojrzenie w głąb otwartej szuflady. Sterta papierów wyglądała zachęcająco. - Trudno - zaczął pośpiesznie wkładać z powrotem wyjęte przedmioty. - Powetuję sobie innym razem. Zresztą i tak połów całkiem nie najgorszy.

Kroki zastukały bliżej. Musiał się pośpieszyć. Może nawet nie wszystko włożył w tym samym porządku. Zdążył jednak. W chwili, gdy Mallone wpadł gwałtownie do pokoju, stał przy oknie, wyglądając z senną miną przez zakurzone szyby.

XXXII

- Szukałem pana wszędzie - sapnął inspektor. Pentham powoli odwrócił głowę.

- Czyżby? Stało się coś? - Zdziwiło go podniecenie inspektora. Twarz pałająca krwistą purpurą. Przekrwione białka. Robił wrażenie, jakby mu groził atak apoplektyczny.

- Stało się? - jęknął - Pewno! - Nerwowym ruchem wyszarpnął z kieszeni zmiętą gazetę. - Niech pan sam popatrzy.

Pentham zerknął na tytuł wstępnego artykułu.

- Zaraz - inspektor odebrał gazetę. - To nie tu. O! - pokazał palcem litery rozstrzelonego druku. - Niech pan przeczyta.

- Aha - Pentham podniósł brwi - rzeczywiście. „Tajemnica Gordon's Hill” -

Przebiegł oczyma upstrzoną gęsto wykrzyknikami i znakami zapytania szpalte. - Hm... niczego sobie artykulik. Szczególniej jak na brukową prasę.

- Artykulik? - wybuchnął Mallone. - Świństwo nie artykulik.

Pentham zerknął na niego ironicznie.

- Nie powiedziałbym. Jeżeli chodzi o styl, to...

- Do diabła ze stylem. - Mallone ciężko dyszał.

- Ta piekielna treść. Drogo mnie będzie kosztować. Pentham pokiwał głową.

- Hm... tak... rzeczywiście, jeżeli sprawę traktować z tego punktu widzenia...

Pańscy przełożeni na pewno nie będą zbytnio zachwyceni. Ale nie tylko oni.

- Jak to? - spojrzał na niego zaskoczony.

- A no tak. Czy pan pomyślał o posiadaczach akcji Trustu?

Mallone zastanowił się.

- Prawda - uderzył dłonią w czoło. - Tego rodzaju notatka o Gordon's Hill może wywołać nie byle jaki wstrząs na giełdzie.

- Raczej niech pan powie katastrofę! - poprawił Pentham. - Takie określenie będzie bardziej pasowało. Trusty spadną do wartości papieru, na którym są wydrukowane.

Albo jeszcze poniżej.

- I to wszystko przez pańskiego przyjaciela!

- Mojego przyjaciela?

- No, przecież. Mister Mac Cormick. Tylko on jeden mógłby.

Pentham uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Nie twierdziłbym tego z taką pewnością na pańskim miejscu, inspektorze. Proszę popatrzeć na datę gazety. Mac Cormick wyjechał poprzedniego dnia wieczorem. Nie zdążyłby. A poczta czy telegraf... Sam pan wie, jakie były nasze możliwości komunikacji ze światem zewnętrznym dnia poprzedzającego wyjazd Mac Cormicka.

- Więc kto?

- Ba - ruch ramion Penthama był ledwo dostrzegalny - skromniutkie pytanie!

Odpowiedź na nie wyjaśniłaby bardzo wiele. Znacznie więcej niż to wygląda na pierwszy rzut oka. Zresztą, proszę mieć na uwadze zasadę: is fecit, cui prodest...

Mallone popatrzył nań podejrzliwie.

- He?

- Ten zrobił, komu to przynosi korzyść - przetłumaczył Pentham. - To bardzo ważna przesłanka.

Inspektor spoważniał. Wcale nie takie głupie.

- Tylko kto ma interes w spadku Trustów?

- Pozostawiam to domyślności pana inspektora. Mallone napuszył się.

Lekceważący ton Penthama działał mu na nerwy.

- I dobrze pan robi, pułkowniku. Już ja wykopię tego ktosia choćby spod ziemi.

- Jestem tego zupełnie pewien. - Półukłon Penthama wypadł bez zarzutu. Natomiast jego wyraz twarzy bynajmniej nie zadowolił inspektora.

- Hm - medytował, wsadzając papierosa w zęby. Nagle spojrzał ostro na Penthama

- czy wolno spytać, co pan tu robi?

- Tu? - Pentham udał zdziwienie. - To znaczy w Gordon's Hill?

- Nie. W stołowym.

- Aha! - wyduł wargi. - No cóż, rozmawiam na tematy oderwane z inspektorem

Mallone.

Mallone zacisnął zęby. Nie znosił tego rodzaju kpinek.

- A przedtem?

- Przedtem? Nic ciekawego. Po prostu marzyłem sobie przy oknie.

Inspektor nic nie odpowiedział. Bał się, że straci panowanie nad sobą. Pentham wyraźnie go prowokował. Widocznie miał w tym jakiś, sobie tylko wiadomy, cel. Nie. Pomimo wszystko nie da się wyprowadzić z równowagi. Przyjdzie czas, że pogadają jeszcze o tym wszystkim. Ale wówczas Penthamowi na pewno odejdzie ochota do

żartów. Trudno. Tymczasem trzeba przecierpieć. Zaczął spacerować po pokoju, myszkując wokoło wzrokiem. Bo jednak Pentham po coś tu przyszedł. Dobrze byłoby...

Nagle przystanął przed kominkiem. Poprawił binokle na nosie. No, proszę! To już coś.

- Palił pan jakieś papiery? - rzucił pytanie, przyklękając przed złoconą kratą.

Pentham roześmiał się niefrasobliwie.

- Ani mi to nawet w głowie nie powstało. Nie zmarłem jeszcze do tego stopnia.

Nie? A przecież tu na palenisku... - zrobił pauzę czekając na odpowiedź. Nie

doczekał się jej jednak. - I... - wciągnął w nozdrza powietrze - czuć wyraźnie świeżą spalenizną.

Pentham roześmiał się znowu.

- Niech pan nie pozwoli fantazji rządzić swym powonieniem. Nie czuć tu żadnej spalenizny. A tym bardziej świeżej.

Mallone zrezygnował. Rzeczywiście nic nie czuł. Skomponował tę spaleniznę dla przyłapania Penthama. Skoro się nie udało... Zaczął rozgrzebywać popiół, przy czym okropnie fałszując pogwizdywał przez zęby jakiegoś marsza.

- Ciekawe - burknął - kto to jest „Flo”? - zwrócił się do Penthama.

- Chyba zdrobnienie od Florentyny? Inspektor powstał powoli, trzymając na dłoni wyłowione z popiołu skrawki papieru.

- Ale od jakiej Florentyny? Z tych kawałków - podsunął Penthamowi pod nos dłoń ze strzępkami telegramu - wynika, że jakaś panna czy pani Flo zapowiada swój przyjazd do Gordon's Hill. I to dzisiaj.

Pentham udał zainteresowanie.

- Odcyfrował pan to z tych skrawków?

Inspektor tym razem nie zauważył drwiny. Zresztą to nie leżało w intencji

Penthama.

- Tak. Widzi pan, że jednak policyjna rutyna może się na coś przydać. Żebym jeszcze wiedział, jak brzmi nazwisko tej Flo...

- Istnieje panna Florentyna Gordon - zauważył od niechcienia Pentham.

- O! - inspektor poderwał gwałtownie głowę jak bojowy rumak na dźwięk trąbki. -

Córka sir Gordona?

- Nie wiem. Podczas podróży do Ricewood jechałem przez pewien czas z młodą damą, której bilet wizytowy brzmiał „Florence Gordon. Gordon’s Hill”. To wszystko.

- Gdyby to była córka - rozmyślał na głos Mallone - wtedy... - Zamilkł, przygryzając wargi.

- Co wtedy?

- Nic... nic... - był niezadowolony, że zanadto uchylił rąbka trzymany w ręku atutów. I to akurat wobec Penthama.

XXXIII

W czasie lunchu niespodziewanie rozbłysły potoki światła. Aż przymrużyli powieki.

Skrzekliwy śmiech inspektora zabrzmiał jak triumfalna fanfara.

- Trochę widniej niż przy tych przeklętych łojówkach, prawda? - obrzucił obecnych pełnym dumy spojrzeniem. Niespodzianka wypadła rzeczywiście efektownie.

- Kazał pan zreperować elektrownię? - zapytał niedbale Gordon.

- Zreperować? - przeciągnął. - Ależ nie było nic do reperatury. Mechanik zapewnił mnie, że elektrownia była w najzupełniejszym porządku. Przez cały czas - podkreślił z naciskiem. - Nawet akumulatory naładowane.

- Czyżby? - Gordon miał taki wyraz twarzy, jak gdyby z wysiłkiem tłumił chęć

ziewnięcia. - A przecież żarówki nie świeciły?

- Ktoś wykręcił bezpieczniki. Położył je zresztą tuż obok, przykrywając gałganami.

Ciekawe, kto to zrobił?

Gordon patrzył na obrus.

- Rzeczywiście! Ciekawe.

- W ogóle same niesamowite historie. Wczoraj na przykład skradziono mi latarkę elektryczną... - ciągnął inspektor w przestrzeń akt oskarżenia.

Pentham spojrział pod światło na zawartość swego kieliszka.

- Nie nazwałbym tego jednak nadprzyrodzonym zdarzeniem - zauważył.

- Samej kradzieży, oczywiście - zgodził się inspektor. - Ale dzisiaj, tuż przed lunchem, znalazłem latarkę na stoliku w swoim pokoju. Bateria wypalona do ostatniej iskiej. Za to obok latarki parę niklowych monet. Mniej więcej koszt nowej baterii.

Pentham powoli wysączył whisky.

- Widocznie w złoczyńcy odezwały się resztki sumienia. Albo raczej skóra na nim ścierpła, gdy sobie uzmysłowił całą doniosłość czynu. Jakże, kradzież u wszechmocnego inspektora Scotland Yardu?

- Drzwi od pokoju były zamknięte na klucz. I klucza nie wyjmowałem ani na chwilę z kieszeni - ciągnął dalej Mallone.

Pentham odstawił ostrożnie kieliszek.

- Słowem, duchy w pałacu! Jeżeli pan kiedyś, już po przejściu na emeryturę, będzie pisał powieść sensacyjną, radzę mieć na uwadze ten tytuł. Oddaję go zupełnie bezinteresownie.

Mallone zacisnął pięści. Ponieważ jednak trzymał ręce na kolanach, nikt nie zauważył tego gestu.

- Te pańskie duchy przetrząsnęły mi przy sposobności papiery - mruknął ponuro.

- Moje? Niestety, nie mam prywatnego składu duchów. Nie mogę przeto

przyjmować na swój rachunek nadprzyrodzonych historii, które pana prześladują, inspektorze.

Mallone gmerał przez chwilę widelcem po talerzu. - Oczekuje pan wizyty, sir? -

zagadnął zniemacka Gordona.

- Wizyty? - Gordon spojrzał na niego zaskoczony.

- No tak. Przecież ma przyjechać pańska córka

- rzucił na chybił trafił.

Milioner odłożył widelec. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku swego sekretarza.

Palce sekretarza, spoczywające dotychczas bezwładnie obok nakrycia, wykonały jakiś niezrozumiały gest.

Mallone obserwował go czujnym wzrokiem.

- Znalazłem telegram, z którego...

- Ach, tak - Gordon sięgnął znowu po widelec.

- Rzeczywiście ma przyjechać moja córka. Jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Chyba raczej po południu?

- No... - jednym haustem przełknął potężną porcję wódki. - Pociągi u nas miewają tak wielkie spóźnienia...

Sekretarz nagle wstał.

- Proszę mi wybaczyć. Muszę jeszcze zarządzić to i owo - wyszedł pośpiesznym krokiem z pokoju.

Pentham popatrzył za nim w zamyśleniu. Chyba nie warto czekać na te

zarządzenia... Czas nagli. Swoją drogą jak to dobrze, że Mallone kazał naprawić linię

telefoniczną. Przydał się choć w tym jednym. W mózgu tkwiło uporczywe zdanie: „O ile zdołano ustalić, sir Gordon nie nosił nigdy peruki”. Wprawdzie pismo, z którego wyłowił tę znamienne uwagę, było adresowane do kogo innego, to jednak nie miało żadnego znaczenia.

XXXIV

Pentham obrzucił niechętnym spojrzeniem inspektora.

- Proszę mi wierzyć: rozmowy, jakie mam zamiar przeprowadzić, będą nosiły ściśle osobisty charakter.

Mallone ani drgnął. Tkwił nadal rozparty w fotelu. Zupełnie jakby te słowa były przeznaczone dla kogo innego. A przecież poza nim w gabinecie nie było nikogo.

- Więc nie pozwoli mi pan przeprowadzić tych rozmów?

Mallone poprawił binokle.

- Przecież nie zabraniam panu telefonować.

- Ale nie zostawi mnie pan na kilkanaście minut samego?

Inspektor zrobił ubolewającą minę.

- Niestety. To jest całkiem niemożliwe. W warunkach, jakie się wytworzyły...

Pentham sięgnął po słuchawkę.

- W takim razie, dobrze. Proszę słuchać. I to radzę słuchać uważnie - podkreślił twardo. W głębi jego oczu zamigotały iskierki gniewu. Nie znosi uciekania się do tego rodzaju środków. Skoro jednak nie było innego sposobu. Mallone zaczął dokuczać jak natrętny komar. Zastukał niecierpliwie w widełki - Hallo!... Tak. Proszę Londyn... - rzucił numer.

Inspektor drgnął. Czyżby go słuch mylił?

- Błyskawiczna... Tak... Kiedy otrzymam połączenie? Zaraz? Dobrze. Zaczekam

przy aparacie. - Nie patrzył na inspektora. Za to inspektor nie spuszczał z niego ani na chwilę oka. Jeżeli rzeczywiście?. No... to byłoby coś niesłychanego.

W gabinecie panowała cisza przerywana jedynie pykaniem fajki Penthama. W mikrofonie coś zatrzeszczało.

- Londyn? Numer? Tak... proszę połączyć z sir Henrym Drake'em.

Mallone odruchowo wyprostował się na fotelu. Sir Henry Drake? Naczelnny inspektor Scotland Yardu? Ładna historia! Słuchał z napięciem, nie przepuszczając ani jednego dźwięku.

- Jak się masz, Henry? Tu PENTHAM - przeliterował. - Tak! Ten sam. W

porządku, dziękuję, ale nie po to zabieram ci cenny czas, by informować o swoim zdrowiu. Owszem. Właśnie telefonuję z Gordon's Hill... Masz raport na biurku? To sobie przeczytaj... przeczytałeś? Tym lepiej... Nie! - roześmiał się. - Łaski!... Poczekaj jeszcze parę dni... Przed zawieszeniem na szubienicy chciałbym załatwić parę spraw. W tej kwestii telefonuję. Jest tu od was inspektor Mallone... Tak... Uparł się, by kontrolować każde moje słowo... Ponieważ chciałbym porozmawiać o czymś, co nie powinno dotrzeć do trzecich uszu... Co? Nie... Nie z tobą. Z kimś całkiem innym... Nie... - znowu śmiech - daję ci słowo, że go nie zamordowałem. Ani nawet odrobiny. W ogóle... Kiedyś ci opowiem. A, tak, wierzę, że chciałbyś... Obądź się jednak smakiem, nie płacisz mi pensji! Co? Dziękuję za propozycję... Tymczasem jednak nie przyjmę. Za bardzo byś mnie przetrenował. Zresztą cierpliwości. Wpadnę do ciebie, to pogadamy... Do tego zupełnie bezpłatnie... No... nie przesadzaj z tymi tuzinami trupów na sumieniu... Zapomniałem już o takich okropnościach... Teraz jestem najpotulniejszym obywatelem pod słońcem... Na pewno wpadnę. Dać ci go do telefonu? O.K. Bardzo dziękuję... Tymczasem bywaj... - Wyciągnął słuchawkę do Mallone'a. - Proszę pana do

aparatu, inspektorze.

Inspektor podszedł na dziwnie miękkich nogach. Ujął słuchawkę końcami palców jakby to był rozpalony metal.

- Tu inspektor Mallone - zaraportował niepewnym głosem.

Pentham ruszył ku drzwiom.

- Poczekam w hallu - rzucił, przystanąwszy na progu. - Widzi pan, ja nie należę do ludzi podsłuchujących cudze rozmowy - zamknął cicho drzwi.

Mallone nie reagował na zaczepkę. Miał w tej chwili co innego na głowie.

Wyszedł dopiero po kilku dobrych minutach. Chusteczka, którą ścierał pot zraszający gęsto czoło, nie lśniła pierwszą czystością.

- Naskarżył pan na mnie! - nie mógł się powstrzymać od wyrzutu.

- Ja? Broń Boże! Przecież słyszał pan całą rozmowę. Ponieważ jednak nie mogłem w inny sposób przekonać pana o konieczności pozostawienia mnie samego...

Mallone machnął ręką z rezygnacją.

- Wszystko jedno. Teraz za to będzie pan mógł telefonować do woli. Proszę bardzo - poszedł w kierunku schodów.

Pentham skwapliwie skorzystał z pozwolenia, Miał tyle rozmów do załatwienia. Sir Henry Drake był mocno zdziwiony słysząc po raz drugi jego głos.

- Wybacz... nie mogłem tego jednak przy inspektorze... Czy nie zechciałbyś sprawdzić, kto... - Pentham przysłonił usta złożoną w kształcie trąbki dłonią tak, że dalsze słowa brzmiały niemal jak szept. - Nie... to nie złośliwość... Ale przysięgłbym, że nie w drodze normalnej delegacji... Ktoś wpłynął, żeby właśnie jego... Sam zresztą wiesz, jaką ma opinię... Dziękuję, tylko nie zapomnij!

Drugiego rozmówcę musiał długo przekonywać, zanim tamten ustąpił.

- Ma pan przecież moje pełnomocnictwo z czasów... Hipoteka... i prywatnie... Ile tylko potrafi pan zdobyć... Zbiory porcelany także... Nie... najwyżej na jakieś dwa tygodnie... Trudno, ile zażądamy. Nie... Zupełnie się nie obrażam, znam przecież pańską życzliwość, sir. Tylko naprawdę nie popełniam żadnego głupstwa. Proszę mi wybaczyć. Raczej wręcz przeciwnie. Oczywiście, o ile się nie mylę... Ale kto nie ryzykuje... Tak. Za całą sumę! Nie... nie za różnicę... Kupić na moje imię. To nic nie szkodzi, że spadają... Także nic nie szkodzi... Po kursie... Będzie taki. Na pewno! - Był nieco znużony, gdy odkładał słuchawkę. Musiał chwilę odpocząć. - Ale piła! - przytknął zapalniczkę do wygasłej fajki.

Trzecia z rzędu rozmowa należała do najbardziej niesamowitych... Dżentelmen po drugiej stronie przewodu ani rusz nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

- Kiedy to jest konieczne - tłumaczył cierpliwie Pentham. - Hm... mówisz, po całej Anglii? - zastanowił się. - Rzeczywiście, to... - Nagle pewna myśl rozbłysła mu w mózgu. - Słuchaj, a czy nie ma przypadkiem fundacji?... No, widzisz! Nie, nie liczą się z kosztami. To nie przyjacielska usługa, a zwykły interes. Traktuj mnie pod tym względem jak każdego innego klienta. I nie liczą się z kosztami. Poślij kogoś sprytnego. Grunt to pośpiech. Zależy mi niemal na każdej sekundzie. Mężczyzna raczej w średnim wieku... Czy ja wiem. Chyba wypadek samochodowy. Albo kolejowy. W każdym razie coś w tym rodzaju.

Telefonistce włosy powstały z przerażenia w czasie tej rozmowy. Była tak zemocjonowana, że nie potrafiła utrzymać tajemnicy służbowej. Musiała z kimś podzielić się tym, co słyszała. Inaczej chyba dostałaby rozstroju nerwowego.

Oczywiście powtórzyła tylko, najbardziej makabryczne szczegóły. I to członkowi najbliższej rodziny.

- Jakaś sekta... Albo... - głos jej drżał, gdy o tym mówiła.

Nie uwierzono. Wyśmiano. Przesłyszana się. Albo szyfr. Przecież to wyraźny nonsens.

Tej nocy nie zmrużyła ani na sekundę oczu. I nie odważyła się zgasić światła. Przed oczyma wstawały mrozące krew w żyłach wizje.

XXXV

- Moja córka, pan pułkownik Pentham.

Uklonił się poprawnie, czując na sobie badawcze spojrzenie Gordona. Nawet brwią nie poruszyła patrząc na lśniące szmaragdowym połyskiem tęczówki.

- Bardzo mi przyjemnie. - Zajął z powrotem swoje miejsce.

Mallone obserwował z napięciem scenę powitania. Wzrok jego śmigał od Gordona ku pięknej pannie rejestrując każde drgnienie twarzy. Nic jednak nie dojrzał godnego uwagi. Wszystko szło normalnym trybem. Żadnych rewelacji, których oczekiwał. „Moja córka”, „Papo”. Jak w salonowej powieści. Aksamitnie gładko. A ze Scotland Yardu napisali jak wół: sir Gordon nie nosi peruki. Proszę. Nie nosi. W takim razie jak nazwać to, co tkwi na czaszce gospodarza? I ten nieboszczyk z monogramem „P.G.” na piżamie?

Co dokleić do czego? Córeczka ani się zająknęła. Sam diabeł chyba potrafi rozplatać ten kłębuszek.

Trzasnęły drzwi. Inspektor odwrócił głowę z niemym zainteresowaniem. Nowy gość? Nie zdziwiłby go nawet widok Belzebuba z rogami i ogonem. W ogóle przestał się czemukolwiek dziwić. Skoro największa sensacja, na jaką liczył, spaliła na panewce...

Przybyły zresztą w niczym nie przypominał naczelnego diabła. Z szerokim

uśmiechem na pociągłej, gładko wygolonej twarzy pomaszerował prosto ku

Mallone'owi.

- Pan inspektor! Moje uszanowanie... Jestem po prostu szczęśliwy, że znowu się spotykamy - wyciągnął rękę.

Mallone uściskał ją bez zachwyty. W ogóle nie przepadał za reporterami. Zresztą nie miał żadnych powodów, by ich lubić. Nigdy mu nie zrobili „dobrej prasy”. A już w czasie dochodzenia po prostu nie znosił poławiaczy sensacji. Szczególnie taki James Yardley z „Morning Post”. Chyba jeden z najokropniejszych przedstawicieli reporterki. Wszędzie wetknie nos.

- Tylko pana nam tu brakowało - burknął prawie niegrzecznie.

Uśmiech na twarzy Yardleya rozblęsnął jeszcze bardziej. Powitanie nie spieszyło go ani trochę. Zdołał się przyzwyczaić do niejednego w czasie wykonywania swego zawodu. A z Mallone'em spotykali się nie po raz pierwszy. Wiedział, czego może po nim oczekiwać.

- Trafił pan w sedno, inspektorze - odparował wesoło. - Toteż przybyłem, by uzupełnić ten brak.

Ogólny ukłon w kierunku pozostałych - James Yardley. Kronika policyjna.

„Morning Post”. Pospolicie znany jako Jamlej - wyrecytował dobitnie.

Mallone poprawi binokle.

- Przypuszcza pan, że pozwolę mu tu zostać? Reporter zaczął szperać po licznych kieszeniach sportowej marynarki.

- Jestem tego pewien, inspektorze - potwierdził niefrasobliwie. - Szczególnie, znając pańską przychylność dla prasy. - Zresztą - wydobył mocno pogniecioną kopertę - na wszelki wypadek przywiozłem dla pana pozdrowienia z Głównej Komendy - podał

mu zapieczętowany list, wyglądający jakby przez dłuższy czas przebywał w koszu ze śmieciami.

Mallone przetarł chustką szkła, potem powoli rozerwał kopertę. Zacisnął usta.

Trudno było gościa zignorować. Niemal rozkaz. Protekcyjki, psiakość.

Reporter tymczasem podszedł do Gordona.

- Sir Gordon, jeżeli się nie mylę?

- Tak.

- Czy mogę pana prosić o gościnę na parę dni? Proszę mi wybaczyć moją

bezceremonialność... Jedno tylko mam na swoje usprawiedliwienie: nie jestem zbyt kłopotliwym gościem...

- Ba... - mruknął dość głośno ze swego kąta Mallone. - Kogo w takim razie można by nazwać kłopotliwym?

Reporter nie dosłyszał albo udał, że nie słyszy.

- Gdyby panu jednak nie dogadzała moja obecność, sir - ciągnął dalej - założę główną kwaterę w;

okolicznych krzakach. No, a przy tej wilgoci - wykrzywił zabawnie wargi - zapalenie płuc, czy inne tego rodzaju kataklizmy, spadłyby na pańskie sumienie wiecznym ciężarem.

Gordon popatrzył na niego niepewnie.

- Ależ skądże znowu. Oczywiście... Znajdzie się jakiś wygodny kąt w pałacu. Jeżeli tylko inspektor...

- Widzi pan, inspektorze - Yardley podszedł znowu do Mallone'a. - Mój los w pańskich rękach. Czyba nie wypędzi mnie pan na łono paskudnej mgły jak bezdomnego psa?

Palce Mallone'a obracały przeczytany przed chwilą list.

- Niech mi pan powie, Yardley - spojrzał na niego ponad szklami - czy pan nie pisuje przypadkiem do „Megaphonu?”

- „Megaphon”? - zrobił obrażoną minę. - Czymże zasłużyłem na tak krzywdzące podejrzenie w pańskich oczach, inspektorze? Jeszcze nie upadłem tak nisko, by współpracować z brukowymi szmatami!

- Pańskie szczęście. Bo w przeciwnym razie nie pomogłoby nawet sto listów polecających.

- All right - reporter zasiadł wygodnie na fotelu. - W takim razie jestem urzędowo akredytowany w Gordon's Hill. Państwo pozwolą? - nie czekając odpowiedzi zapalił papierosa. - A co do „Megaphonu” - pogonił wzrokiem kłęby dymu. - Tak. Rozumiem pana, inspektorze. Ta seria artykułów o rzekomej tajemnicy Gordon's Hill była okropna. Przynajmniej z punktu widzenia dobra śledztwa, jak to panowie nazywają. Bo jeżeli chodzi o nakład... Cóż, trudno zaprzeczyć. Biją teraz o dobre kilkadziesiąt tysięcy więcej. Oczywiście, przy mojej dyskrekcji może się pan nie obawiać niczego w tym rodzaju. Wie pan przecież, inspektorze...

Mallone skrzywił się jakby połknął coś wyjątkowo niesmacznego. Dyskrekcja Yardley'a? Diabli nadali. Trzeba go będzie pilnować jak oka w głowie. I każde słówko, jakie spróbuje stąd wysłać... Inspektor nie uznawał świętej tajemnicy cudzej korespondencji.

Wzrok reportera myszkował po kątach. Nie przyjechał tu na wzięgiaturę. Powinien zdobyć cały worek sensacji. I zdobędzie. Żeby tam nie wiem co... W jego portfelu, pomiędzy innymi dokumentami, tkwił mały prostokąt papieru. Nic nadzwyczajnego.

Odcinek z bloku „kasa wypłaci”. Nikomu niepotrzebny, zostawiony przez niedbałość

świsstek. Gdyby jeszcze nie ten drukowany wielkimi literami nadruk „Megaphon”.

Postanowił zniszczyć go przy pierwszej sposobności. Mallone miał długie palce. Lepiej nie ryzykować. Wyrzuciłby bez wahania i zakazał wstępu na wyspę. Potrafił wyczyniać takie historie. Uparty jak kozioł. Skoro mu „Megaphon” stanął kością w gardle, nie cofnie się przed niczym. A cóż winien „Megaphon”? Każdy chce żyć. On, Yardley, także. „Morning Post”? Zbyt wytworne pismo, by chciało dostatecznie płacić.

„Megaphon” co innego. Każda cena za dobrą sensację! Ponieważ zaś ten tajemniczy anonim przestał przysyłać wiadomości o zagadce Gordon’s Hill...

XXXVI

Pentham coraz częściej zerkał na wskazówki zegarka. Oczywiście panna Gordon była piękną damą. Miała wprost czarujący sposób bycia. Rozmowa z nią musiała każdemu sprawiać przyjemność. Gdyby Pentham był w innym nastroju, nie potrafiłby pewno oprzeć się jej urokowi. Ale był właśnie w paskudnym nastroju. Z każdą sekundą nastrój ten się pogarszał. Chwilami przestawał rozumieć, o czym rozmawiają. Gryzły go wyrzuty sumienia. Wizja fiołkowych oczu nękała niemy wyrzutem. Postanowienie, jakie powziął w chwili napływu złości, wyglądało teraz niemal potwornie. Bo jeżeli wypadki biegły tak jak podejrzewał?... Pewno, grę tę trudno nazwać piękną. Albo choćby nawet fair. Ale z drugiej strony... Ta paskudna, przenikająca do szpiku kości mgła. Nadciągający zmrok. Ostatecznie młoda dziewczyna... Kto wie, jak reaguje system nerwowy takiej istoty na porcję porządnego klapsów. Cóż... Prawdę mówiąc zasłużyli sobie wszyscy na porcję porządnego klapsów. Ona także. Ale klaps... W każdym razie nie należy przesadzać. A jeżeli, broń Boże, to wszystko rozgrywa się na serio? Br... Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż krzyża. W takim razie... Tak. W takim razie to co zrobił, stanowiłoby zbrodnię nie do wybaczenia. Bo kto wie, czy ten

nieszczęsny pociąg miał naprawdę tak wielkie spóźnienie, jak mówił Gordon? Trzeba by... Mallone właśnie wychodził. Poszedł za nim, mruknąwszy jakiś pierwszy lepszy pretekst. W hallu dotknął jego ramienia.

- Chciałbym panu zakomunikować coś, co moim zdaniem może mieć poważne znaczenie.

Inspektor przystanął.

- Tak? - spoza szkieł błysnęło zaciekawione spojrzenie.

- Otóż... hm... - zawahał się. Trwało to jednak króciutką chwilę. - Słowem, spotkana przeze mnie w czasie podróży panna Florence Gordon nie jest tą samą, która obecnie siedzi w salonie - zniżył głos do szeptu.

Inspektor aż drgnął z wrażenia. Binokle na jego nosie zachybotwały niepokojąco.

- Nie jest tą samą?... Ależ... to... Czy pan jest tego pewny?

- Najzupełniej. Wygląd młodej damy nie ma ani odrobiny podobieństwa do wyglądu tamtej...

- W takim razie...

- Kapitalne! Daję słowo, pierwszorzędny szlagier!

Odwrócili się jednocześnie jak na komendę. Tuż za ich plecami stał Yardley, kręcąc głową:

- Sensacyjna zamiana młodej lady. Która z nich prawdziwa? Rozstrzelony druk.

Garmond. Dobrze nawet na tytuł...

- Skąd się pan tu wziął? - zapytał surowo inspektor. Reporter nie przestawał się uśmiechać.

- Całkiem proste. Wyszedłem z salonu i...

- Podśluchiwał pan?

- Broń Boże. Czysty przypadek. Zatrzymałem się, by panom nie przeszkadzać. A że natura obdarzyła człowieka delikatnym słuchem...

Inspektor chciał coś odpowiedzieć. Pentham powstrzymał go jednak znaczącym gestem.

- Może panowie kiedy indziej skończą dyskusję na ten temat, jeżeli łaska.

Tymczasem mamy pilniejszą robotę. Niedługo zapadnie ciemność, a wtedy-

- Pilniejszą robotę? - Mallone patrzył niepewnie.

Yardley od razu złapał sens słów Penthama.

- No, tak! - zasyczał przenikliwym szeptem. - Musimy przeszukać wyspę przed zapadnięciem ciemności. Bo jeżeli ktoś zamienił pannę Gordon, to bardzo możliwe, że ta prawdziwa... - wykonał charakterystyczny ruch ręką. - Czyż nie tak, pułkowniku?

Pentham potwierdził kiwnięciem głowy.

- Mniej więcej. Choć nie przewiduję żadnych specjalnie tragicznych zdarzeń. Poza tym są to oczywiście tylko przypuszczenia. Mógł zająć po prostu zbieg okoliczności...

Inspektor nie wierzył w zbieg okoliczności.

- Adres „Gordon's Hill”. Wiadomo mi, że sir Gordon ma tylko jedną córkę. Z głównej komendy przysłano jej szczegółowe dossier.

Pentham to również wiedział. Zresztą z tego samego dossier, choć było opatrzone uwagą „ściśle poufne”. Nie miał jednak najmniejszej ochoty zdradzać znajomości poufnej korespondencji inspektora.

Reporter nawet nie dopuszczał myśli o przypadku.

- Co? - aż zamachał rękami. - Ani mowy! Mam nos. Na milę wyczuję sensację. I tu właśnie...

W rezultacie, postanowili przeszukać zarośla.

Inspektor zmobilizował wszystkie rezerwy. Tylko jeden policjant miał pozostać w pałacu. Nie wyjaśnił dokładnie ludziom o co chodzi.

- Macie szukać i gdybyście coś dostrzegli, dać mi natychmiast znać.

Uważał, że tak będzie lepiej. Bo jeżeli Pentham się mylił? Albo wymyślił całą tę historię na złość? U takiego typu wszystko jest możliwe. Wolał nie ryzykować swego prestiżu w oczach podwładnych. I tak już z tymi nieszczęsnymi zwłokami...

Szeroko rozstawioną tyralierą wdarli się w zarośla.

Trzy pary oczu obserwowały z pałacu wymarsz.

- Nareszcie - głębokie westchnienie ulgi. - Gdyby dłużej zwlekali musiałbym chyba sam... Bo jednak...

XXXVII

Znalazł właśnie Pentham. Może dlatego, że lepiej od innych znał topografię wyspy, a może po prostu los tego chciał. Leżała na wpół wciśnięta pod rozłożystym krzakiem:

Od razu zauważył, że więzy nie były zbyt silnie dociśnięte. Knebel tkwił pomiędzy pobladłymi usteczkami też raczej luźno. Jednak widok niefałszowanych łez lśniących w fiołkowych oczach odebrał mu natychmiast zdolność do czynienia jakichkolwiek dalszych spostrzeżeń. Zrobiło mu się okropnie przykro. Jakby sam wszystkiemu był winien. Szybko odsupłał sznury. Palce mu trochę przy tym drżały. Manipulował z niezwykłą niezdarnością. Brak wprawy... tłumaczył sobie w duchu, żałował jednak, że nie zabrał ze sobą noża czy czegoś w tym rodzaju. Poszło by prędzej. Każda sekunda borykania się z więzami rozgoryczała go jeszcze bardziej. Jak mógł dopuścić, by...

W końcu więzy opadły. Czerwone pręgi na opalonych rękach kłuły w oczy niemym wyrzutem. Podniosła się chwiejnie. Gdyby jej nie podtrzymał upadłaby powtórnie.

Biedactwo. Nie śmiał jej spojrzeć w oczy. Bo jednak był winien. Co tu dużo gadać.

Gdyby... Zresztą, nie tylko poczucie winy nie pozwalało mu spojrzeć jej w oczy.

Jeszcze... No... nie potrafił tego określić. Ale było coś jeszcze. Coś, czego dotychczas nie doświadczył wobec żadnej kobiety.

- Czy... - nie patrzył na nią - czy pani długo tu leżała?

- O, tak! - westchnęła żałośnie - okropnie długo. Myślałam już, że... - Drżenie jej melodyjnego głosu było na pewno autentyczne.

Epitety, którymi obdarzał się w myśli, nie nadawały się do powtórzenia.

- A... - zająknął się - czy... no... Słowem, jak pani samopoczucie?

- Dziękuję. Musiałabym skłamać, twierdząc, że świetne. W każdym razie te miłe światełka migocące przed oczyma zaczynają na szczęście rzednąć - cichutki śmiech wypadł raczej nieprzekonująco.

Parę kroków przebyli w milczeniu. Pentham odczuł że mięśnie towarzyski zaczynają powoli nabierać żywotności. Szli bardzo blisko siebie. No oczywiście nie tulił jej do swego boku. Nawet mu na myśl nie przyszło. W każdym razie uścisk jego ramienia był dość mocny. Tak jak tego wymagała sytuacja..Mogłaby przecież upaść. Choć... ostatecznie, jeżeli sprawę traktować ze zbędną rygorystycznością, dałoby się uznać, że obejmował ją cokolwiek mocniej niż tego zachodziła niezbędna potrzeba. W każdym razie nie czynił tego świadomie.

Pierwsza przerwała milczenie.

- Ani trochę nie dziwi pana sytuacja, w której mnie pan znalazł pod tym przebrzydłym krzakiem? Zapamiętam go chyba do końca życia. Liczyłam sekundy.

- Hm... - mruknął niewyraźnie - rzeczywiście.

- Napadli na mnie. Szłam aleją i jacyś... Nawet nie zdołałam dojrzeć kto...

Wyskoczyli z krzaków za moimi plecami. Zakneblowali. Związali. Widziałam tylko

obnażone, brunatne ramiona...

- Hm... - znowu odchrząknął. Oczywiście, skoro tak... Każde słowo przygotowane z góry. Na pewno nie samodzielnie. I wyuczone na pamięć jak pacierz. W porządku...
Minęła jednak pewna chwila, nim doprowadził swe myśli do gotowości bojowej. Bo jednak... Co tam... Gra idzie dalej i każdy partner jest przeciwnikiem. Choćby nawet tym partnerem była... Przygryzł wargi. Prawdę mówiąc, wolałby przeciwnika o innym wyglądzie. Trudno. Nie on obsadzał tę partię. I musi wejść do takiej, jaką skompletowano. Zbyt dużo zaangażował w grę, żeby teraz...

Musiała wyczuć zmianę nastroju. Spojrzała nań ukradkiem i wyśliznęła się delikatnym ruchem z uścisku.

Przyjął to bez komentarzy. Choć nie był uszczęśliwiony. Poczul się nagle dlaczego samotny. Aż dziwne...

- Przyjechałam na parę dni do ojca - ciągnęła dalej. Brzmienie jej głosu uległo wyraźnie zmianie.

Dźwięczał teraz raczej sztucznie. - Nie mogę zrozumieć, co się dzieje na wyspie...

Jacyś kidnaperzy... Jestem Florence Gordon...

Patrzył wprost przed siebie. Za żadną cenę nie odwróciłby teraz ku niej głowy.

- Tak... - bąknął - wiem. Spotkaliśmy się już kiedyś.

- My? - Nutki zdziwienia dzwoniły niemal naturalnie. - Proszę wybaczyć... I pomoc mej pamięci... Bo... niezmiernie mi przykro, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć...

Zaraz... czy to pan może grał w bramce „Zielonych” na rozgrywkach hokejowych w zeszłym roku? A potem na bankiecie...

Zacisnął wargi. Jeżeli naprawdę go nie zauważyła? Ostatecznie... Energicznie przywołał się do porządku. Nonsens. Można mieć czasami przyćmioną zdolność

rozumowania, tumanieć jednak do tego stopnia z powodu obecności młodej panny? I do tego panny, którą widzi po raz drugi w życiu? Był wściekły na cały świat. Na siebie także i właściwie nie zdawał sobie zupełnie sprawy, dlaczego.

- Niestety. Za stary jestem na hokej. Spotkaliśmy się przed paroma dniami w wagonie.

- Ach... tak... Cóż... Tyle ludzi przewija się przez przedziały kolejowe. Jestem wytłumaczona. Prawda, panie... - znacząca pauza.

Poczerwieniał. Popełnić taki nietakt! Żeby to wszyscy diabli! Wolałby mieć do czynienia z setką zatrutych krisów niż...

- Bardzo panią przepraszam, ale w tym zamieszaniu... - Przedstawił się z ceremonialną uprzejmością.

Odniosł wrażenie, że w fiołkowych oczach zamigotały podczas prezentacji iskiereki tłumionej wesołości. Zgasły jednak tak szybko, że nie miał najmniejszej pewności czy słusznie zauważył. W ogóle niczego nie był pewny. Po prostu przestawał poznawać samego siebie.

- Halo! - zatrzeszczały potrącone gałęzie. Mallone utykał bardziej niż kiedykolwiek. Widocznie tempo, w jakim prowadził poszukiwania, należało do wyczerpujących. Obrzucił zaciekawionym spojrzeniem pomięte ubranie dziewczyny.

- Czy...

Nie zdążył jednak skończyć pytania. Z przeciwległej kępy krzaków wypadł zadyszany Yardley.

Towarzyszka Penthama wyprostowała się z godnością.

- Jestem Florence Gordon - oznajmiła dobitnie. I z drobiazgową wprost dokładnością powtórzyła wszystko, co opowiadała poprzednio Penthamowi.

Słuchali z natężoną uwagą. Reporter notował w myśli każde słowo.

- Wspaniały szlagier - z trudem pohamował odruch zatarcia rąk. W każdym razie nie wezmę mniej niż pół szylinga za wiersz - postanowił solennie.

Tylko Pentham był tak pogrążony w zadumie, że treść opowiadania nie docierała do jego świadomości. Ktoś, kto w tej chwili potrafiłby odszyfrować myśli pułkownika, na pewno byłby niezmiernie zdziwiony. Szczególnie, jeżeli go znał przedtem.

XXXVIII

Wszystko poszło zupełnie inaczej niż sobie Mallone ułożył. Ani śladu oczekiwanego efektu. Przede wszystkim nie zastał Gordona na dole.

- Sir Gordon miał atak serca, co zmusiło go do położenia się do łóżka - wyjaśnił drewnianym głosem sekretarz i wyszedł z salonu, zanim inspektor zdołał go powstrzymać.

Stało się to tak szybko, że zamierzona konfrontacja spełzła na niczym. Sekretarz nie przywitał wprawdzie sprowadzonej triumfalnie damy, mógł jednak równie dobrze jej nie zauważyć. Osoba zaprezentowana przed paru godzinami jako córka milionera, również była niewidoczna.

Do reszty pomieszła szyki sama miss Gordon.

- Pójdę do ojca. Pewno denerwuje się moją nieobecnością - wbiegła na schody.

Mallone pokuśtykał pośpiesznie za nią.

- Bardzo przepraszam, miss, ale... - dotknął delikatnie jej łokcia.

Zatrzymała się.

- Co? - podniosła ze zdziwieniem brwi. - Czy pan inspektor ma coś przeciwko temu, bym powitała ojca?

Wiedziała już o charakterze, w jakim Mallone przebywał w pałacu, on jednak nie

uznał za wskazane zapoznać ją od razu z całym przebiegiem zdarzeń, zaszłych ostatnio na wyspie.

- Hm... ja... Bo, widzi pani... - jękał. Jakoś mu nie przychodził na myśl sposób, w jaki można by wyłuszczyć swe zastrzeżenia. Bo jeśli z Gordonem jest wszystko w porządku? Wybuchnie skandal dostatecznie głośny, by zmieść za jednym zamachem całą karierę inspektora. Ci potentaci finansowi potrafią krzyczeć, gdy spotka ich coś, co nie przypada im do smaku. I w skutkach nie są to głosy wołające na puszczy.

Spojrzał na Yardleya żądając natarczywym wzrokiem pomocy. Reporter jednak milczał. Zdawał sobie sprawę ze skrupułów inspektora i rozumiał ich słuszość. Nie przychodził mu do głowy żaden odpowiedni koncept. Córka pragnęła powitać ojca. Cóż naturalniejszego? Dałby wiele, by być obecnym przy tym powitaniu, nie widział jednak możliwości zrealizowania tego pragnienia.

- Więc - inspektor poprawił binokle. - Oczywiście... tylko... hm... No, w każdym razie będę oczekiwał w pobliżu i gdyby... - znowu utknął.

- Gdyby, co? Nie rozumiem.

- No... gdyby mnie pani potrzebowała i... W ogóle. Poczekam tu na panią - wskazał na rozłożysty kształt krzesła stojącego na podeście.

- Dziękuję. Chociaż szczerze mówiąc nie widzę żadnej potrzeby... - skinąwszy głową pobiegła puszystym szlakiem dywanu wyścielającego korytarz.

Mallone przesunął nieufnym wzrokiem po wytłaczanych na kurdybanie ornamentach. Pewnie twarde jak sto diabłów! Ci starożytni nie mieli pojęcia o wygodzie. W ogóle nie znosił antyków. Usiadł ze zrezygnowaną miną. Spotkało go jednak przyjemne rozczarowanie. Elastyczne sprężyny ugięły się pod ciężarem ciała jak miękki puch.

Zaczął nadśłuchiwać. Przystanąła. Pukała do drzwi. Jakiś niewyraźny głos z wnętrza pokoju. Szczęknęła klamka. Zaraz wybiegnie z powrotem i podniesie alarm na cały dom. Dla pewności zapuścił rękę do kieszeni. Palce objęły mocnym chwytem rękojeść pistoletu. Z takim nigdy nic nie wiadomo. Przed oczyma stanął obraz zmasakrowanej twarzy.

Mijały sekundy napiętego oczekiwania. Potem minuty. Oczekiwany alarm wciąż nie nadchodził. W korytarzu panowała niczym niezmacona cisza... Zaczął się wreszcie niepokoić.

- Jak pan myśli... - spojrzał w kierunku, gdzie przed chwilą stał oparty o ścianę Yardley. Nie skończył jednak pytania. Ciemna boazeria świeciła pustką. Reporter znikł.
- Tego znowu gdzie diabli ponieśli? - zaklął niezadowolony.

W takich chwilach jednak różniej w towarzystwie. Bo jeżeli w pokoju Gordona zastanie trupa młodej dziewczyny? No, trudno... Powstał z ociąganiem. Pomimo wszystko nie chciał wołać Murchesona. Ładnie by wyszło, gdyby przerwali zwykłą rodzinną pogawędkę. Bezszelestnie ruszył wzdłuż korytarza. Umiał chodzić jak kot. Ledwo dosłyszalnie trzasnął podnoszony bezpiecznik. Palec oczywiście na cynglu. Zawsze pewniej.

Nagle drgnął.

- Tsss - zza framugi wyrosła nagle sylwetka reportera. Palec tkwił ostrzegawczo przy ustach. - Kapitalnie - nachylił się tuż do ucha inspektora. - Właśnie szedłem do pana - ujawszy Mallone'a za ramiona pociągnął w kierunku drzwi. - Niech pan sam posłucha.

Mallone skwapliwie przytknął ucho do gładkiej powierzchni drzewa. Usłyszawszy głos miss Gordon odetchnął z ulgą. Więc jednak żyje. Po chwili zaczął odróżniać

poszczególne słowa.

- Jeszcze raz powtarzam, że pani ojciec jest całkowicie w naszej mocy.

Głos Gordona. Mówił zresztą dość głośno. Widocznie nawet przez myśl mu nie przeszło, by ktoś mógł podsłuchiwać rozmowę.

- I jeżeli się pani nie zgodzi... Wszystko zależy od-: pani postępowania. Trzyma pani jego życie w swoich; rękach...

Chwila milczenia. Wreszcie drżący głos miss Gordon.

- A jaką mogę mieć pewność, że pan dotrzyma układu?

Sarkastyczny śmiech Gordona.

- No... moje słowo... To wszystko, co mogę pani zaofiarować. Proszę się namyślić.

Wóz albo przewóz. Jeżeli nie dojdziemy do porozumienia, to ojciec... - Jakieś niedosłyszalne słowa.

Mallone jednak domyślił się bez najmniejszego trudu ich treści.

- A i pani sama...

Mallone wyprostował się raptownie.

- Więc to tak? Sytuacja wygląda zupełnie wyraźnie. Szantażują ją ojcem. A przecież...

Zerknął ku Yardley'owi. Ten wzruszył w milczeniu ramionami. Minę miał bardzo wymowną. „Rób jak uważasz...”

Chwila milczenia i Mallone zastukał energicznie; do drzwi. Prawa ręka tkwiła w kieszeni.

Gordon wyraźnie drgnął. Robił wrażenie zaskoczonego.

- A... pan inspektor... Czym mogę panu służyć? Mallone postyszał za plecami ciche kroki Yardley'a. No, niech go tam. W głębi duszy nie był specjalnie niezadowolony ze

wścibstwa reportera. Nie odpowiadając na pytanie Gordona zwrócił się wprost do młodej damy.

- Czy pani ma mi coś do zakomunikowania, miss Gordon?

- Ja? - powieki jej drgnęły. - Nie... To jest... Tak... - spoczywające na oparciu palce poruszyły się nerwowo. - Wprowadziłam pana w błąd. Bardzo mi przykro...

- Wprowadziła mnie pani w błąd? - Mallone zdumiał się nie na żarty.

- Tak... Otóż nie jestem Florence Gordon... Nazywam się Bethsaby Owen.

Chodziło... - krótka pauza - ...o pewien zakład i dlatego...

Mallone wzruszył ramionami.

- Nie w mówi pani przecież, że...

- Ale to jest prawda - przerwała. - Nie popełniłam chyba przez to żadnego przestępstwa? W każdym razie nie miałam intencji... - umilkła wyraźnie wyczerpana.

Bezskutecznie usiłował ułović wyraz jej oczu. Patrzyła uparcie na dywan.

- - Ach tak?... Zakład... Rozumiem... - wydał wargi. - Rozumiem lepiej niż pani przypuszcza. Przypadkiem słyshałem rozmowę państwa - zwrócił się gwałtownie ku Gordonowi. - I cóż pan na to?

Gordon popatrzył w okno.

- Ja? Nic. Podziwiam tylko sprawność pańskiego słuchu. Bo, żeby usłyszeć przypadkowo - podkreślił ironicznie - poprzez tak solidne drzwi... - machnął ręką jakby przecinając dalsze słowa.

- To niby ma być wszystko? - tym razem na inspektora przyszła kolej zademonstrowania ironii. - A czy wolno zapytać, co znaczyły pańskie słowa o ojcu miss Gordon?

- Chyba miss Owen? - poprawił z niewzruszonym spokojem.

- Niech będzie - wyraz twarzy Mallone'a układem każdego rysu podkreślał pełnię powątpiewania.. - Słowem: o ojcu tej oto damy! Mówił pan, że jest OK w pańskiej mocy i że jego życie tkwi w jej rękach. Czyż nie tak?

Milczenie Gordona nie trwało długo. Nie odrywa wzroku od okna.

- Mówiłem.

- W razie zaś nie przystania na pańskie warunki, groził pan...

- Hm... - Gordon uważnie popatrzył na popiół swego cygara. - I czym to takim groziłem, jeżeli wolno wiedzieć?

- Tego nie dosłyszałem. W każdym razie czymś, co dotyczyło ojca lady i jej samej.

- Konkretniej? Przypadek nie pomógł panu w tym drobnym szczególe? Bardzo pana żałuję, inspektorze. Tym razem sojusznik policjantów... i złodziei nie spisał się jak należało oczekiwać.

Mallone groźnie nastroszył brwi.

- Pan... - zaczął niemal napastliwie. Gordon strzepnął palcami.

- Nie ma powodu do zdenerwowania, inspektorze. Powtarzam tylko treść ogólnie znanego przysłowia - odparował chłodno.

Palce Mallone'a zwały się jeszcze mocniej na chłodnej stali. Lada chwila przyjdzie do rozstrzygnięcia.

- Czekam na wytłumaczenie zagadkowej rozmowy - przypomniał nieustępliwie.

- Tak bardzo panu na tym zależy?

- Bardzo!

- Dobrze więc. Otóż... - zmarszczki na czole Gordona zdradzały usilną pracę mózgu. - Otóż ojciec miss Owen jest moim przyjacielem z dawnych lat... Nawet w pewnym sensie krewnym... I przebywa obecnie w lecznicy... Jakaś historia z mózgiem...

Wrzód czy coś w tym rodzaju. Nie znam się na medycynie. Powinien mieć miejsce pewien zabieg, powiedzmy nawet operacja... i to bardzo poważna operacja. Ponieważ zaś chory jest nieprzytomny, decyzja co do zastosowania zabiegu spoczywa w rękach miss Owen, jako najbliższej krewnej - początkowa zająkliwość ustępowała z każdym wypowiedzianym słowem. Zdania płynęły teraz wartkim strumieniem. - Lekarze nie chcą przystąpić do operacji bez zezwolenia rodziny. Czy nie tak, miss Owen?

Stłumiła westchnienie.

- Tak.

- Potrafiłby pan tego dowieść? Gordon zaciągnął się cygarem.

- Czy potrafiłbym tego dowieść? - powtórzył wolno pytanie, śledząc wzrokiem ulatujący ku sufitowi dym. - Ba... proszę mi wierzyć, inspektorze, mało jest na tym świecie rzeczy, których bym nie potrafi dowieść, gdyby mi na tym zależało. Naprawdę mało. Ale w tym wypadku... Tak, w tym wypadku nie zależy mi wcale. Bo wobec potwierdzenia miss Owen, stracił pan, mam wrażenie, punkt zaczepienia. Czyż nie tak to państwo nazywacie? Może się zresztą trochę mylę w nomenklaturze. Nie jestem prawnikiem, ani... policjantem. Ale sens ten sam.

Mallone zaciął wargi. Czyżby nowe pudło? Postanowił sięgnąć po ostatni atut, który dotychczas ukrywał w zanadrzu. Jeżeli i on zawiedzie? Ale chyba nie. Nie powinien zawieść.

- Miss Gordon - zwrócił się do dziewczyny - wczoraj...

- Miss Owen - poprawił znowu Gordon. - Ma pan okropnie krótką pamięć, inspektorze.

- Wczoraj - Mallone udał, że nie słyszy uwagi Gordona - wczoraj znaleziono na wyspie zwłoki mężczyzny w pizamie. Twarz zniekształcona w stopniu

uniemożliwiającym rozpoznanie. Na piżamie monogram P.G.

Twarz dziewczyny wykrzywił grymas przerażenia. Zerwała się gwałtownie z fotela.

- Gdzie są te zwłoki?

- Tak! - powtórzył jak echo Gordon. - Gdzie są te zwłoki? - Tylko intonacja tego ostatniego pytania brzmiała zupełnie odmiennie.

- Hm - palce lewej ręki Mallone'a osadziły mocniej binokle. - Niestety, zniknęły. Prawdopodobnie skradziono je.

- Boże! - opadła z powrotem na fotel. - Przecież to...

- Spokojnie, miss Owen - głos Gordona brzmiał dobitnie. - Nie ma powodu do przerażenia. Zwłoki jakiegoś obcego mężczyzny...

- Był w piżamie - przypomniał Mallone. - Chyba żaden obcy mężczyzna nie przyjeżdża na wyspę w takim stroju... I monogram...

- Obcy... - powtórzył Gordon. - Daję pani na to moje słowo - podkreślił. - Lepiej niech pani nie słucha o takich okropnościach. Są zupełnie dla pani nie na czasie. Trzeba oszczędzać siłę swych nerwów. Bo przecież decyzja co do losów pani ojca... co do jego operacji - poprawił, spoglądając z ukosa na inspektora - będzie wymagać całej przytomności umysłu.

- Czy teraz, po tym, co pani usłyszała, nie ma pani również nic do powiedzenia? - nalegał Mallone.

- Proszę się niczego nie obawiać. Po to przecież tu jestem, by...

- Otóż to - Gordon mówił jakby sam do siebie.

- Teraz dopiero dowiedzieliśmy się dokładnie o celu przybycia inspektora na wyspę. Wbrew temu, co ktokolwiek mógłby o tym sądzić, inspektor przyjechał

specjalnie po to, by ochraniać miss Owen od prawdziwych i urojonych niebezpieczeństw. Szczególnie od urojonych. Takie drobnostki, jak kradzież jakichś tam zwłok, nie wchodzi oczywiście w rachubę.

- No, miss Gordon - Mallone nie spuszczał czujnego wzroku z Gordona, śledząc bacznie każdy jego ruch - czekam!

Milczała. Tylko wargi jej drżały spazmatycznie. Wahała się. To było widoczne dla wszystkich.

W pokoju zapadła przeciągła cisza. Cienko brzęczała, walcząca z przezroczystą przeszkodą szyby, zapóźniona mucha. Każda sekunda powiększała napięcie.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach. Po chwili uniosła głowę. Policzki jej były blade jak papier. Delikatna smuga jasnego pyłu na tle sukni uszła uwadze inspektora.

Zresztą patrzył wyłącznie na jej usta.

Przemówiła.

- Nie. Nie mam nic do dodania.

- Czy... to pani ostatnie słowo?

- Tak, ostatnie - szept jej ledwo można było dosłyszeć. Goniła wyraźnie resztkami sił.

Ramiona inspektora opadły bezwładnie.

- W takim razie... - przepraszam...

Wycofał się wolno z pokoju. Pragnąłby zadać jej jeszcze jedno pytanie. Właśnie to najważniejsze. Ale w warunkach, jakie się wytworzyły po tej rozmowie... Tak, w tych warunkach należałoby je uznać za przedwcześnie.

Yardley czekał za progiem. Zrejterował chwilę wcześniej, widząc porażkę inspektora.

W milczeniu przemaszerowali korytarzem.

- I cóż? - mruknął, gdy doszli do schodów. - Nie wyszło?

- Ano nie - przerwał z rezygnacją. - Stoimy na tym samym miejscu. Choć... - tarł w zamyśleniu kol niec nosa. - Czy ja wiem... Wierzy pan w to, co nam, naopowiadała?

- Ani w jedno słowo. Po prostu stary trzyma ją w garści bajaniem o ojcu...

- Właśnie. A to już jest coś. I przyjdzie wreszcie chwila, gdy...

XXXIX

Tomasz Ardayire niecierpliwie obserwował lśniące mlecznym światłem lampy, zawieszane nad przystanią. Jakże okropnie wolno płynie ta motorówka. Ledwo opanował chęć wyskoczenia z łodzi i przepłynięcia tego nędznego skrawka wodnej przestrzeni. Gdyby nie to, że znał ten odcinek rzeki jako nie nadający się absolutnie do wyczynów pływackich, kto wie, czy nie zrobiłby tego w rzeczywistości.

Właśnie wczoraj wpadł mu do ręki przedruk z „Megaphonu”. Jak pałką w łeb. Flo w niebezpieczeństwie. Liczył minuty do odjazdu. Przetrwanie tych kilkunastu godzin nie należało do najłatwiejszych przejść w jego życiu. Ale nie chciał złamać danego słowa. Flo stanowczo oznaczyła najwcześniejszy termin przyjazdu. Widocznie musiało jej na tym zależeć. Nie był jednak pewny, czy postąpił właściwie. Bo przecież Flo nie mogła przewidzieć tych okropnych historii. Teraz czuł się jeszcze gorzej. Perkins zdążył mu zaaplikować porcję najświeższych nowin. Nie były pocieszające. Trupy... strzelanina... policja! Zaciskał pięści. W ładny bigos trafiła, biedactwo. No, ale on potrafi ją obronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Naprężył mięśnie. Ostatecznie nie jest ułomkiem. Mistrzostwo hrabstwa w wadze koguciej to też nie drobnostka. W razie potrzeby wyrznie kogoś w szczękę - aż hej! Rozpierała go chęć walki. Przepadał za przygodami wszelkiego rodzaju. I gdyby nie chodziło o Flo, byłby niemal

zadowolony z tych wszystkich sensacji. Ale Flo... Perkins ją widział. Była cała i zdrowa. Ba, wczoraj... Kto wie, co mogło zajść przez dwadzieścia cztery godziny? Co tam... Po cóż zaraz czarne myśli. Da Bóg, będzie wszystko w porządku.

Niechętnie nasłuchiwał odgłosów pracy motoru. Kaszle jak astmatyk w ostatnim stadium choroby. Żeby tylko nie utknął po drodze.

- Dojedziemy kiedyś, kapitanie? Perkins zrobił obrażoną minę.

- Pan raczy żartować, sir - splunął za burtę. - Przecież już... - wskazał na refleks światła, wydzierający prostokątne kształty kamiennych stopni z tła gęstych ciemności. Był naprawdę obrażony. Nie znosił, gdy ktoś pokpiwał z jego „Jaskółki”. Cóż, każdy wie, że to nie wyścigowy jacht, ale i tak całkiem przyzwoita łódeczka.

Ardayre krytycznym okiem ocenił odległość. Łatwo powiedzieć: już. Z tamtego brzegu też wyglądało: rękę podać. A miętoszą wodę chyba od pół godziny. No, z tą godziną jednak przesada. W każdym razie okropnie długo. I jeszcze zostało do przystani dobre trzydzieści jardów. Z porządnym hakiem. Na skok stanowczo zbyt daleko. A motor robi wrażenie, jakby wypluwał resztki sił.

Pogрузił się w ponurych rozmyślaniach. Dlaczego Flo nie wysłała pałacowej motorówki? Dotychczas nigdy nie zapomniała o względach gościnności. Przecież wiedziała dokładnie, o której przyjedzie. Czyżby jednak...

Pomyślał o nowiutkim browningu, spoczywającym w walizce. Nabył go w miasteczku na benefis wizyty, po przeczytaniu artykułu na temat tajemniczych wydarzeń w Gordon's Hill. Kiedyś stał całkiem nieźle ze strzelaniem. O mały włos nie kandydował do ekipy olimpijskiej. Potem zarzucił. Sport strzelecki dawał za mało wrażeń ruchowych jak na jego upodobania. Zrezygnował z wyjęcia browninga: za ciemno na takie manipulacje. Naboje jeszcze w pudełku. Zdaży, gdy przybędzie na

miejsce. Tymczasem...

Stuk dziobu łodzi o kamienie przerwał dalsze rozmyślenia.

- Przyjechaliśmy jednak, sir - w głosie Perkinsa wyraźne nutki rozzalenia.

Ardayire wyskoczył zgrabnie na stopnie. Rozczarowanym wzrokiem obrzucił przystań. Pustka. Więc jednak Flo nie wyszła na spotkanie. Nawet nie przysłała nikogo ze służby po bagaże. Oczywiście, głupstwo. Walizki nie takie znów ciężkie, by to robiło specjalną różnicę. Ale... Znowu niedobre myśli ścisnęły serce Ardayire'a. To wszystko tak bardzo nie pasowało do Flo.

Wcisnąwszy suty napiwek w rękę rybaka, ruszył szybkim krokiem po oświetlonym tunelu alejki. Wokół panowała cisza. Tylko poza plecami coraz słabiej dobiegł odgłos terkotania motoru odpływającej łodzi.

Wyspa robiła wrażenie wymarłej. W czasie poprzednich przyjazdów wszędzie tętniło życie, a teraz... Nawet psów nie było nigdzie słychać. Powinny przecież wybiec na spotkanie. Znały go dobrze te olbrzymie ludojady, jak je w przystępie dobrego humoru nazywał sir Gordon.

Właśnie minął zakręt, gdy gdzieś z boku zatrzeszczały łamane gałęzie. W normalnym nastroju ducha nie zwróciłby na to najmniejszej uwagi. Nie był jednak w tej chwili w normalnym nastroju. Napięte do ostateczności nerwy reagowały na każdy szmer. - Kto tam? - przystanął.

Nie było odpowiedzi. Tylko coraz bliżej trzeszczały gałęzie. Ktoś szedł gęstwina równoległe do alei. Zawahał się. Może któryś z gości chce zrobić kawał nowo przybyłemu? Urządzano tu kiedyś takie hece, gdy zgromadziło się więcej młodzieży.

Jednak przypomniał sobie niektóre bardziej jaskrawe momenty z opowiadania Perkinsa.

Nie, w tych warunkach wątpliwe, by komuś chciało się żartować. Więc?

Trzeba by sprawdzić - postawił walizki. - Kto tam? - powtórzył głośniejszym głosem. Trzask gałęzi zaczął się oddalać. Podejrzane. Wahanie nie trwało długo. Zdecydowanym ruchem dał nura w gęstwinię. Otoczył go nieprzejrany mrok. W odległości paru jardów tupotały czyjeś szybkie kroki. Ucieka? Kto znowu u licha? - Stać! - ryknął na całe gardło, rzucając się w pogoń za odgłosami.

Jakaś gałąź uderzyła go z rozmachem w twarz. Aż zabolowało. Nie zatrzymał się. Musi zapytać tego kogoś, dlaczego czai się w krzakach. Coraz bliżej. Słyszał już przyspieszony oddech biegnącego. Nagle wszystko ucichło. Przystanął niepewnie. Przyczaił się? Na to wygląda. Ale gdzie?

Przez jakiś tam ułamek minuty ustalał kierunek. Tam. Na pewno. Ostatni trzask gałęzi słyszał właśnie stamtąd. Skoczył z wyciągniętymi ramionami.

- Mam cię, bratku! - poczuł pomiędzy palcami szorstki materiał. Przesunął chwyt wyżej. Twarde, męskie ramię. W nozdrza uderzył odór dawno nie mytego ciała. Jakiś włóczęga albo nawet coś gorszego. Niezły połów, jak na początek.

Nie puścił, chociaż niewidzialny w ciemnościach przeciwnik szarpał się gwałtownie.

- Ktoś ty? Zaraz... - Nie skończył. Silny cios kanciastej pięści wylądował mu na ustach. Poczł słonawy smak krwi z rozciętej wargi.

- Puszczaj ty... - niecenzuralne przekleństwo. Ładny typek. Nie ma co. Znowu śmignęła pięść.

Wyminął ją zręcznym unikiem.

- Ano, skoro tak. - Wycelował cios w szarzejącą plamę twarzy. Wspaniale. Sam środek obrośniętego ostrą szczecina podbródka. Tamten aż przysiadł. - Tylko przysiadł... - skonstatował z mimowolnym podziwem. Inny leżałby aż do wyliczenia.

Żelazna szczęka... Jednak musiało go trochę zamroczyć. Nic dziwnego...

- Chodź bracie do światła. - Ardayire ciągnął więźnia w kierunku alei. - Chciałbym zobaczyć twoją szanowną buzię. No i pogadać przy sposobności.

Zdołał go przeciągnąć parę kroków. Więzień stosował jedynie bierny opór, wpierając się nogami w ziemię. Mięśnie Ardayire'a nie były jednak z waty czy czegoś w tym rodzaju. Nawet się nie zasapał pokonując te parę jardów. Choć łatwiej by było ciągnąć naładowany po brzegi wór kamieni niż tego gościa. Przez listowie zaczął już delikatnie przeświecać odblask zawieszonych w alei lamp. Ardayire'a rozpierało poczucie triumfu... No, któż może powiedzieć, że się źle spisał? Flo będzie zdumiona. Może to właśnie... Nagle przed oczyma zakwitła ognista róża.

Ogień. Morze ognia. Cały świat stanął w purpurze pożogi. W pierś coś mocno uderzyło. Huku już nie dosłyszał. Osuwał się powoli na miękkie podłoże zeschniętych liści. Jeszcze parę wirujących iskerek i dobroczynna ciemność ogarnęła mózg. Przestał czuć.

Szyderczy śmiech wsiąkł bez echa w gęstwę.

- Sam tego chciałeś. Zobacysz moją twarz, ale trochę musisz zaczekać. Do Sądu Ostatecznego. Jeden mniej... jeden więcej... To już nie robi różnicy w ogólnym rachunku.

XL

W pałacu dosłyszano odgłos strzału. Mallone właśnie maglował Gordona na temat Malajów. Gordon rozkładał bezradnie ręce.

- Cóż panu poradzę, inspektorze, skoro zniknęli? Może wypuścili się samowolnie do miasteczka i lada dzień wrócą? Ci ciemnoskórzy służący mewają czasem takie szusy, choć poza tym... - Nagle drgnął, wpierając niespokojny wzrok w ciemności

leżące na szybach. - Strzelają?

Mallone machnął niedbale ręką.

- Cóż z tego? Tu ciągle strzelają. Zupełnie jak na sportowej strzelnicy. Niech mi pan lepiej powie, sir, czy...

Gordon jednak denerwował się coraz bardziej.

- Trzeba by zobaczyć, co się stało, bo jednak... Inspektor wzruszył niechętnie ramionami.

- Teraz, po nocy? Zajrzymy jutro rano. I tak jestem pewien że znowu nic nie znajdziemy.

Milioner nie ustępował.

- Musimy zaraz... Kto wie, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Albo...

Mallone zmierzył go ironicznym spojrzeniem.

- Coś za bardzo zależy panu na przerwaniu naszej rozmowy, sir...

Gordon poczerwieniał.

- Niech pan nie będzie... - przygryzł wargi.

Mallone zresztą i tak nie miał najmniejszej wątpliwości na temat niedopowiedzianego określenia. Nie mógł jednak nic poradzić. Prawo nie karze za słowa, które nie przybrały jeszcze postaci dosłyszalnych dźwięków.

Gordon powstał z fotela.

- Jeżeli pan nie zarządzi natychmiastowych poszukiwań na wyspie, ewentualne skutki zwłoki spadną wyłącznie na pana - oświadczył stanowczo.

Nieoczekiwanie poparł go Yardley.

- Sir Gordon ma rację - natarł energicznie na inspektora. - W takich wypadkach zwłoka może być błędem nie do wybaczenia. Trzeba sprawdzić kto i do czego strzelał.

Kto wie, jaka sensacja... Hm - zorientował się w niestosowności określenia. - To jest, chciałem powiedzieć: kto wie, co zaszło.

Mallone zawahał się. W razie czego reporter obsmaruje go całkiem na czarno. Nie brak mu umiejętności pod tym względem. Może rzeczywiście tym razem...

- Poślę Murchesona - przystał łaskawie.

- Będę mu towarzyszyć - zaproponował skwapliwie reporter. Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z salonu.

Pentham siedział w swoim pokoju pogrążony w medytacjach. Słyszał strzał, ale tak samo jak Mallone nie zwrócił na niego uwagi. Tyle strzałów słyszał ostatnio. Zresztą w tej chwili rozważał bardzo poważny problem. Chciał porozmawiać z dwiema osobami. O nader ciekawych zagadnieniach. Szczególnie z jedną osobą. Tak. Z nią przede wszystkim. I nie bardzo wiedział, jak do tego podejść. Ostatnio brakło mu jakos inwencji. Właśnie w stosunku do tej osoby. Widocznie fiołkowy kolor oczu ma tę właściwość, że wpływa na człowieka całkiem deprymująco. Deprymująco? Nie, to nie było odpowiednie określenie. W ogóle nie umiał określić stanu swych uczuć, gdy znajdował się w jej obecności.

Za oknami zamigotały urywane błyski latarek. Wyjrzał. Dwa cienie maszerujące w kierunku wylotu alei. Teraz światło zapłonęło dwoma równomiernymi strumykami. Ki diabeł? Mallone? Nie, chyba nie. Żaden z nich nie utykał. Ten wyższy to prawdopodobnie, sierżant. Tak. Błysnęły guziki. Na pewno. A drugi? Nie zdążył rozpoznać. Zniknęli w liściastym tunelu.

Zapalił fajkę. Czego tam znowu szukają po nocy? Musiało zajść coś, co ich do tej wycieczki skłoniło. Co mogło takiego zajść?... Umysł działał jakoś ospale. Trzeba jednak zasięgnąć języka...

Leniwym ruchem zwał się z fotela. Trudno, skoro gra idzie dalej... Z wysiłkiem skierował myśli w odpowiedni nurt. Wciąż uciekały ku tamtemu tematowi. Niby też dotyczy gry, ale...

- Et - machnął ręką - człowiek dziecinnieje na stare lata i tyle!

Z ociąganiem zszedł ze schodów. W pokoju było tak zacisznie...

Gordon drgnął na odgłos otwieranych drzwi.

- Ach, to pan, pułkowniku - skostatował z wyraźną ulgą.

...Ciekawe, kogo oczekiwał? - pomyślał Pentham.

- Słyszał pan wystrzał? - zapytał Gordon.

- Owszem.

- I co pan o tym myśli?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się... Znowu ujrzał tył szpakowatej peruki.

Gordon niemal przylepił twarz do szyby.

Pentham był zdumiony nie na żarty. Dotychczas nigdy jeszcze nie widział Gordona w takim stanie nerwów.

W kącie ziewał wtulony głęboko w fotel Mallone. Podeszedł ku niemu.

- Co tu się stało?

Inspektor objaśnił w paru słowach. Pentham spoważniał. Gdy Mallone skończył mówić, zagwizdał cicho.

- Więc to tak? Hm, tak. Czyżby ten strzał nie należał do programu?

- Co? - błysnął szklami inspektor.

- Nie - strzepnął palcami. - Nic. Po prostu takie luźne rozmyślenia dla ćwiczenia sprawności umysłu. - Przycupnął na przeciwległym fotelu, pykając fajkę. Ciekawe.

Teraz już nie potrzebował popędzać myśli. Obsiadły go jak pracowite pszczoły słowa

wypowiedziane przez Mallone'a.

Na kominku tykał miarowo zegar. Czekali. Powieki Mallone'a opadły ciężko za wypukłymi soczewkami binokli. Robił wrażenie pogrążonego w beztroskiej drzemce.

Może i spał naprawdę?

Drgnęli jednocześnie na odgłos miażdżonego podszwami żwiru.

Gordon odwrócił się od okna. Jakimś dziwnym skrzyśem całego ciała.

- Coś niosą. - Podbiegł parę kroków ku drzwiom. Nieśli rzeczywiście.

Inspektor osadził mocniej binokle na nosie.

- Trup? - Nie zdradzał w tej chwili ani cienia senności.

- W każdym razie mocno na to wygląda - potwierdził Yardley. Ostrożnym ruchem położyli bezwładny kształt na kanapie.

Gordon nachylił się pierwszy nad leżącym.

- Ależ to Ar... - kurczowo zacisnął szczęki. Pomarszczone policzki spłynęły sinawą bledością. Lewa powieka drgała nieprzerwanymi skurczami tiku.

Mallone obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Zna go pan?

- Tak... To jest... Nie! Na litość Boską, powiedzcie wreszcie czy żyje?

- Raczej nie niż tak - poinformował urzędowym tonem Murcheson, wycierając starannie chustką krwawą pianę z rękawa munduru. - Kula dużego kalibru w serce albo najbliższą okolicę. W każdym razie, o ileśmy z panem Yardley'em zdołali stwierdzić przy świetle latarek...

- Przepraszam - Pentham stanowczym ruchem roztrącił stłoczonych przy kanapie - znam się trochę na tego rodzaju historiach.

Mallone próbował protestować, uważając, że wkroczenie Penthama godzi w jego

prawa.

- Ale, czy...

Pentham przyklęknął przed, nieruchomą postacią młodego mężczyzny.

- Na służbę przeszedłem z trzeciego roku medycyny. A później nie zabrakło mi pola do praktycznych uzupełnień - wyjaśnił rzeczowo. Przestał zupełnie zwracać uwagę na inspektora, pochłonięty bez reszty manipulacjami przy ubraniu leżącego. - Gorąca woda! Gąbka! - sywał rozkazy nieznośnym sprzeciwu tonem.

W chwilę potem strumienie zabarwionej na czerwono wody spływały po kosztownym obiciu kanapy.

- Żyje? - głos Gordona drżał wyraźnie.

- Jeszcze żyje - Pentham kończył nakładanie prowizorycznego opatrunku. - Ale przesadziłbym mocno twierdząc, że życie to wisi na włosku. Nic pajęcza będzie w tym wypadku odpowiedniejsza jako porównanie. Macie tu doktora? - zwrócił się do Murchesona.

- Jakże! Doktor Johnson - potwierdził.

- Trzeba go więc sprowadzić. Natychmiast!

- Ma telefon, sir. Numer...

- Nonsens - przeciął. - Znam wszystkich doktorów z prowincji. Telefoniczne wezwanie nie robi na nich wrażenia. Dobrze, gdyby się wygrzebał do południa. A tu każda minuta może być ostatnia. Trzeba go wziąć za łeb i sprowadzić na wyspę.

Murcheson popatrzył pytająco na Mallone'a.

- Jeżeli pan inspektor pozwoli... Mallone obserwował siniejące wargi ranego.

- Tak - skinął potakująco głową. - Musicie dostarczyć doktora, sierżancie.

- Rozkaz - podkute buty sierżanta zastukały ostro.

Gordon ocknął się z odrętwienia.

- W każdym razie spróbuję zatelefonować do tego Johnsona... Gdybym go zdołał przekonać, przybyłby tu znacznie wcześniej. Czasami... - przystanął na progu. - Tak, czasami jednak pieniądź miewa swoje znaczenie. I dlatego właśnie... - słowa padały jak w transie.

Pentham oparł plecy o ścianę. Jego rola przy rannym była tymczasem skończona.

Nie miał pod ręką środków, by podtrzymać uciekające życie. Zamyślił się, utkwivszy wzrok w krwawej kałuży na dywanie. Pierwsza kula, która trafiła, podcięła fundamenty misternej budowy domysłów. To było przecież naprawdę. Kto wie, czy jednak Mac Cormick nie miał racji w ocenie sytuacji na wyspie.

XLI

Gromadka mieszkańców pałacu powiększyła się o jedną osobę. O doktora Johnsona. Gordon nie chciał nawet słyszeć o jego odjeździe. Zresztą po diagnozie, jaką postawił rannemu, nie było w tym nic dziwnego.

- Bardzo ciężka sprawa... - tarosił rzadziutką kępkę siwych włosów na podbródku. - Powiedziałbym nawet: hm... wątpliwa... Oczywiście, o ile organizm przetrzyma... Ale w każdej chwili może nastąpić katastrofa... Kula przeszła tuż obok serca... Osierdzie zaś...

- Na deser sypnął pół tuzina łacińskich wyrazów.

Łacina nie pomogła. Ranny wyglądał coraz bardziej eterycznie. Chrapliwy oddech rwał się ustawicznie jak wiotka nitka. Ładowano zastrzyk po zastrzyku. Oczywiście w takich warunkach stała obecność lekarza przy jego łóżku była konieczna.

Jako kandydatki na pielęgniarki zgłosiły się obie damy. Zwyciężyła miss Gordon.

Ta o kasztanowej czuprynie. Zaimponowała staremu doktorowi ukończeniem kursów

sanitarnych. I tak początkowo kręcił nosem, że wolałby zawodową pielęgniarkę, bo...

Coś tam mruczał pod nosem.

Sprawę ostatecznie rozstrzygnęło wkroczenie Mallone'a.

- Skoro miss... hm... - zakasłał niby przypadkiem - Gordon... posiada odpowiednie umiejętności...

Po prostu nie chciał mieć więcej osób w pałacu. Już i tak nie bardzo dawał sobie radę z obserwacją. Coraz to ktoś wyslizgiwał się spod kontroli. Zainstalowanie doktora na stałe bynajmniej go nie zachwycało. Kręci się po pokojach i robi zamieszanie. Nie zaryzykował jednak protestu. Rzeczywiście: potrzebny. W razie czego, potrafiliby mu zatruć życie. A taki Yardley? Wolałby stu doktorów niż jego jednego. Wchodził, gdzie go nikt nie posiał. Diabli mogą wziąć człowieka w takim bałaganie. Ani mowy o prawidłowym prowadzeniu śledztwa. Trzeba by chyba sprowadzić całą brygadę śledczą, by utrzymać rękę na pulsie spraw każdego z mieszkańców pałacu. A jak tu nie trzymać? Wystarczyły już dwie jedynaczki Gordona. Rozgryź, która prawdziwa! A sam Gordon? I cały komplecik pobocznych aktorów! Chociaż na przykład Penthama nie zaliczał do drugoplanowych postaci. Kto wie, co sobie tam knuje w cichości ducha. Zdjąć na chwilę jedwabne rękawiczki, zaraz puszcza w ruch maszynę wysoko postawionych znajomości. Prowadzić dochodzenie w jedwabnych rękawiczkach? Nonsens! Gorzej niż nonsens. W każdym razie starał się jak mógł najdelikatniej. Przeszło pół godziny poświęcił, by korespondencja przeznaczona dla Penthama nie nosiła śladów otwierania. Wyszło zresztą całkiem nie najgorzej. Przynajmniej na oko. Ale co z tego? Niewiele skorzystał na zapoznaniu się z treścią tej korespondencji. Nawet prawdę mówiąc, nic. Jeden list same cyfry. Tyle i tyle po tyle, razem... Ale czego? Pewno szyfr. Na wszelki wypadek posłał do komendy, celem odcyfrowania.

Oczywiście dla pewności wolał nie podawać bliższych szczegółów, dotyczących zdobycia tych cyfr. Sir Drake zaraz miałby temat do gadania. Po co komplikować sprawę? I bez tego... Drugi list jeszcze gorszy. Odpisał jego treść. Tyle razy studiował te kilkanaście słów, że już umiał je na pamięć. Pieczętka przy podpisie „Argus”.

Inspektor znał tę firmę. Prywatne biuro wywiadowcze. Rzutkie przedsiębiorstwo. Znadto nawet rzutkie. Zawiadamiali Penthama, że dwa pakunki, o które zapytywano, zostały rzeczywiście wypożyczone ze wskazanego składu... Obecnie już zwrócone i umieszczone według przeznaczenia. Nr I - trucizna. Nr II - przejechanie przez ciężarówkę. Śledztwo umorzone. Bliższe szczegóły w po-

Inspektor dałby sporo za te „bliższe szczegóły”. Bo z tego, co miał przed oczyma... Pakunki? Trucizna? Śledztwo? Diabeł by się chyba wyznał w tym grochu z kapustą... Jakoś nie miał wrażenia, by to był szyfr. Choć ostatecznie... W każdym razie zwlekał z posłaniem do odszyfrowania.

W ogóle był w paskudnym nastroju ducha. Jeżeli tak dalej pójdzie...

Dziwnym zbiegiem okoliczności Pentham też był w fatalnym humorze.

Postrzelenie tego młodego dżentelmena mocno komplikowało całą sprawę. Wiedzieli już o nim sporo. Policjanci przynieśli znalezione w alejkach bagaże, komplet dokumentów osobistych wydobyto z pokrwawionego portfela. Nowiutki browning w walizce dawał dużo do myślenia. Zazwyczaj młodzi panowie nie zabierają tego rodzaju utensyliów, wybierając się w odwiedziny do znajomych. Więc co? Przewidywał niebezpieczeństwo, jakie na niego czyhało na wyspie? W każdym razie... Zresztą Pentham wiedział o Tomaszu Ardayire więcej niż pozostali zainteresowani. Więcej nawet niż inspektor Mallone. Po prostu polecił swym przyjaciółom z „Argusa” przeprowadzenie małego wywiadu. Odpowiedź przyszła w drodze telefonicznej. Bardzo

ciekawa odpowiedź. Garść podanych szczegółów aż nadto wystarczała, by skonkretyzować cel morderczego zamachu. Nawet jego konieczność w tych warunkach. Bo przecież Ardayire... Ale jeżeli tak było naprawdę - majątek diabli wzięli. Wypalał niezliczoną ilość fajek, nie wyjmując niemal cyguska z zębów. Ostatecznie majątek... pal go sześć. Z głodu nie zdechnie. Niestety, wyłaniała się jeszcze inna okoliczność, która nie wpływała bynajmniej kojąco na stan ducha. Bo, w takim wypadku...

Właśnie. To go najbardziej przygnębiało. Nie znosił sytuacji połączonych z utratą panowania nad sobą. Dotychczas nawet przez myśl by mu nie przeszła możliwość czegoś podobnego. Ale teraz...

Sprawa beznadziejna przy każdym rozstrzygnięciu zagadnienia. Tak czy inaczej nic z tego nie wyjdzie. Myśli... Najtrudniej było z myślami. Szczególnie z jedną. Utkwiła w mózgu jak cierń i ani rusz wyciągnąć. Po co go przyniosło na tę nieszczęsną wyspę?

- Hm - odłożył fajkę - warto by jednak jeszcze raz przeszukać okolice alejki. Bo jednak ktoś przecież postrzelił nieszczęsnego Ardayire'a. A cóż z tego, że niby przetrząsnęli gęstwiny. W takiej dżungli zbadanie każdego krzaka należy po prostu do zadań niemożliwych. Raczej trzeba liczyć na szczęśliwy przypadek. Ale im więcej będzie się szukać...

Projekt ten przyszedł mu do głowy całkiem nagle. Właśnie siedział przy oknie, patrząc bezmyślnie na podjazd, gdy...

Sprawdził rewolwer. Kula w lufie, bezpiecznik w porządku. Tu nie ma żartów.

Namacalny dowód spoczywa na łóżku pod troskliwą opieką czerwono włosów lady.

Zbiegł dość szybko ze schodów. Dopóki nie przemyszkuje porządnie zarośli, w każdej chwili istnieje niebezpieczeństwo nowych ofiar. Tak... trzeba będzie...

Oczywiście okoliczność, że właśnie promienie słoneczne, padające na marmurowe

stopnie schodów, rozbłyły w platynowych splotach włosów, nie miała najmniejszego wpływu na jego decyzję. Ta młoda osoba nic go nie obchodziła. Nic a nic...

Tkwiący w fotelu Murcheson podniósł ku niemu zmęczone oczy.

- Pan też wychodzi, sir? - przekrwione białka sierżanta świadczyły o szeregu nieprzespanych nocy.

- Tak... mała przechadzka - nie patrzył na policjanta.

Słowo „też” bynajmniej nie przypadło mu do smaku. Zupełnie jakby sądził, że...

No, co tam... Zwolnił jednak trochę kroku, wychodząc z pałacu. Tamten mógłby w końcu pomyśleć Bóg wie co...

Wdzięczna sylwetka rzucała wydłużony cień na wyżwirowany podjazd...

Ciekawe, dlaczego teraz nie nosi swoich workowatych kostiumów? - zastanowił się mimochodem.

Solennie postanowił nie zamienić z nią ani jednego słowa. Po co? Do alejki prowadziła tylko jedna droga. Chcąc nie chcąc musiał ją wyminąć. Pozdrowił konwencjonalnym ukłonem. I, gdyby nie spojrzenie fiołkowych oczu, poszedłby w milczeniu swoją drogą. Ale właśnie spojrzała. I tak jakoś smutno. Poczł się nieswojo. Bo jeżeli za którymś z krzaków przycupnął morderca... Właściwie nawet jego obowiązkiem było... Niezależnie od tamtych wszystkich historii. Dość jednego morderstwa.

Przystanął.

- Na pani miejscu, miss, hm... - popatrzył na nią surowym wzrokiem. - Proszę mi wybaczyć, ale nie wiem, jak mam panią nazywać: Gordon, czy Owen?

Splonęła krwistym rumieńcem. Potem nagle pobladła. Wiedział, że pytanie sprawiło jej niekłamaną przykrość. Chwilę trwało nieprzyjemne milczenie. Przysłoniła

oczy powiekami.

- Nazywam się Bethsaby Owen - powiedziała wreszcie cicho. W jej głosie wyczuł niepowstrzymane drżenie.

- Hm... - zerknął przez ramię na jakiś krzak o podejrzenie rozdygotanych liściach. -

Nie - zdecydował wreszcie po bacznej obserwacji. - To tylko wiatr... Otóż, na pani miejscu, miss Owen - nazwisko to rozciągnął trochę więcej niż tego zachodziła niezbędna potrzeba - nie spacerowałbym po alejce... Szczególnie... bez opieki.

- Czy, uważa pan, że tu może grozić jakieś niebezpieczeństwo?

- No... po wypadku Ardayire'a... Jakby nie było... zamachowca dotychczas nie znaleziono. I to nie wiem, czy inspektor Mallone byłby zachwycony, gdyby wiedział, że pani...

- Nie pytałam o pozwolenie - przyznała potulnie. - Nie sądziłam, by...

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, w jaki sposób to; się stało, że poszli ramię przy ramieniu w głąb alejki. Tak jakoś przypadkowo. Zresztą był wytłumaczony. Skoro ten morderca... Nie mógł przecież pozwolić, by młoda dziewczyna... Może lepszym rozwiązaniem byłoby po prostu zawrócić ją do pałacu. Ale nie przyszło mu to na myśl.

- Dochodzę jednak do przekonania, że to nie było w bramce „Zielonych” - zauważyła niespodziewanie tonem jakby kontynuowała rozmowę.

- Co - spojrzał na nią zaskoczony. - Ach, tak... - zmieszał się. I opanowała go nagle wściekłość. Na siebie, na cały świat. Ale przede wszystkim na siebie. - Proszę mi wybaczyć łaskawie brak żartobliwego nastroju - rzucił sucho.

- Tak... zdołałam to już dostrzec.

- Może to raczej wina okoliczności. Choćby wypadek Ardayire'a.

Spoważniała.

- Ma pan rację. Biedny Tomek...

- Tomek? Znała pani bliżej Ardayire'a?

- O - patrzyła teraz uważnie pod nogi jakby licząc zeschnięte liście, gęsto zaścielające alejkę. - Tak, trochę.

- Trochę - powtórzył tonem pełnym powątpiewania. - W porządku. Szczególnie póki Ardayire jest nieprzytomny. Bo gdy zacznie mówić...

- Chciałabym, żeby to nastąpiło jak najprędzej. Pomimo wszystko.

- Pomimo wszystko - powtórzył bez żadnej intonacji. - Cóż, nie mam powodu nie wierzyć w pani słowa. W żadne z pani słów - podkreślił lekko.

Rumieniec na jej policzkach nabrał głębszych barw.

- Bardzo pan uprzejmy.

- Uhum - mruknął coś niewyraźnie. I jakby dla zaprzeczenia jej słowom niezupełnie uprzejmym tonem.

Rozmowa utykała.

- Czy jest pan zadowolony z pobytu w Gordon's Hill? - zapytała w pewnym momencie. Może dla przerwania zapadłego właśnie milczenia. A może z jakiegoś innego powodu.

- Czy jestem zadowolony? - głos przepojony goryczą.

- No, tak. Przecież, o ile słyszałam, przepada pan za przygodami, a tutaj...

- Tutaj spotkało mnie największe rozczarowanie, jakiego doznałem w całym życiu.

- Z powodu wazy z epoki Ming? - spod opuszczonych powiek lśniło badawcze spojrzenie fiołkowych oczu.

- Nie. Zapomniałem już w ogóle o jej istnieniu... Nie spuszczała z niego oczu.

- Az jakiego powodu, jeżeli można wiedzieć?

I wtedy stała się rzecz okropna. Najokropniejsza, o jakiej byłby zdolny pomyśleć.

Poczuł nagle gorąco spływające na policzki. Słowem: Reginald Pentham, emerytowany pułkownik Intelligence Service, zaczerwienił się. Najzwyczajniej w świecie. Jak pierwszy lepszy sztubak.

XLII

Mallone zignorował propozycję Penthama.

- Jeszcze raz przeszukać zarośla? Po co? Przecież przetrząsnęliśmy każdy kąt tej przeklętej wyspy.

- Podejmuję się wskazać dziesiątki zakątków, do których nawet nie zajrzeliśmy - nastawał Pentham. - I morderca...

- Nonsens - przerwał prawie niegrzecznie Mallone. - Morderca przebywa w pałacu. Jestem tego pewien.

Penthama zirytował upór inspektora.

- Może chciałby pan przy sposobności obejrzeć mój rewolwer? - zaproponował sarkastycznie.

- Ba - binokle zachybowały na nosie. - Gdyby nie to, że był pan razem ze wszystkimi w chwili, gdy padł strzał...

Nie chciał odstąpić swych ludzi do pomocy. Pentham jednak nie dał za wygraną.

Pał diabli inspektora i jego kompanię. W rezultacie może i lepiej. Narobiłby hałasu, zdolnego przepłoszyć nawet pogrążonego w zimowym śnie niedźwiedzia, a cóż dopiero takiego pana z rewolwerem. Ten na pewno ma czuły słuch. W każdym razie to musi być zrobione. Trzeba zerknąć przynajmniej na te odcinki sztucznej dżungli, które najłatwiej mogą być wykorzystane jako kryjówka. Skoro młode damy wałęsają się po wyspie bez żadnej opieki...

Z tym ostatnim argumentem Pentham nie był stuprocentowo w porządku. Bo miedzianowłosa miss niemal bez żadnej przerwy czuwała przy łóżku Ardayire'a. Ale za to panienska o platynowych włosach... Wszystko jedno. Trudno się bawić w scholastykę. Wyruszając na wyprawę nie obejrzał się ani razu. A przecież, gdyby to zrobił dojrzałby niewątpliwie delikatny owal twarzy prawie przylepiony do szyby. Pogwizdując cicho przez zęby układał plan taktyczny poszukiwań. Usiłował rozumować tymi samymi kategoriami, którymi winien kierować się przeciwnik. To był jego system jeszcze z tamtych czasów, gdy...

...Gdyby... Załóżmy oczywiście, że nie opuściłem wyspy. I że nie jestem jednym z mieszkańców pałacu.

W tych wypadkach spacer nie miałby najmniejszego sensu. Ale gdyby... Czy miejsce, w którym znaleziono Ardayire'a było przypadkowe, czy też... Dlaczego zszedł z alejki zostawiając bagaże? Przecież w gąszczu panował wtedy nieprzenikniony mrok... A może...

Umysł jego wazył z drobiazgową dokładnością każdy, najmniejszy nawet szczegół. Poszukiwania na oślep nie rokowały żadnej nadziei.

- Hm - gryzł cybuszek fajki. - Dlaczego Ardayire miał zapuchnięte i przecięte wargi. Czy właśnie wtedy?

Doszedłszy do zakrętu powziął decyzję. Tak. Zacznie tutaj. Nie dlatego, by liczył na jakieś ślady w postaci połamanych gałęzi czy czegoś podobnego. Policyjna wataha na pewno zatarła je dokumentnie. Ale Ardayire musiał mieć niewątpliwie jakiś powód do zboczenia w tym kierunku. Ba, żeby go mógł sam wyjaśnić... Niestety, dużo jeszcze wody musi upłynąć... Doktor Johnson oświadczył Mallone'owi z całą stanowczością, że ani mowy o jakichkolwiek badaniach przed upływem najmniej pięciu dni. Albo nawet

tygodnia. A tydzień? Co tam tydzień... W takich wypadkach nie powinno się tracić ani godziny.

Lawirował zręcznie pomiędzy gałęziami. Nie, naprawdę nie czyni zbyt wielkiego hałasu. Mięśnie odzyskiwały sprawność. Wciągnął rozdętymi nozdrzami miazmaty gnijących roślin. Pachniało niemal jak w prawdziwej dżungli. Jeszcze trochę treningu i... mógłby wrócić do wielkiej gry na półwyspie. To nie były tamte mdłe przebłytki tęsknoty, jakie odczuwał niekiedy, marząc w wygodnych objęciach fotela o minionych czasach. Uczucie, jakie go teraz ogarniało, należało do zupełnie innego gatunku. Tak jakby wczoraj...

Przystanął. Tak, to właśnie tutaj. Popękane plamy rdzawego koloru na pogniecionym mchu. Biedaczysko. Musiał utracić dużo krwi. Nasłuchiwał przez chwilę. Cisza. Pewno. Czyż tamten będzie spacerował w blasku dnia?

A teraz dokąd? Cóż... Właściwie każdy z kierunków był równie dobry. Powiódł wokoło badawczym spojrzeniem.

- Ależ hołota! - wydał pogardliwie wargi. - Tańczyli tu kankana, czy co u licha?

Posłać by takich na przeszkolenie do Tamilów... - Nagle nabrał życia. - O... tamta

gałązka! - Jednak... Mallone? Nie, na niego stanowczo zbyt wysoko. Chyba raczej

Kinkey. Ale on... W każdym razie warto popatrzeć.

Parł poprzez stłoczone krzewy. Tu także... Wzrok zarejestrował niemal

niewidoczne uszkodzenie listowia. Jeżeli...

- No proszę - schylił się, podnosząc lśniący złocistym blaskiem przedmiot. - Ładnie szukali!

To było już coś. Odszedł dostatecznie daleko od areny policyjnych harców, by mógł poszukiwać drogowskazów na poplątanych tuż przy ziemi gałęziach. Ślady

stawały się coraz bardziej wyraźne.

- Partacz - rzucił pod adresem inspektora. - Jak on mógł tego nie dojrzeć.

Szedł coraz ostrożniej. Dokąd ten trop prowadzi? Usiłował się zorientować. Zwarte ściany zielonych liści mogły pozbawić poczucia kierunku. Ale Pentham był przyzwyczajony do tego rodzaju otoczenia. Rzeka?

Przypomniawszy sobie nagle wykroty na brzegu. Doskonałe miejsce na kryjówkę.

Między innymi miał je także w myśli w czasie rozmowy z inspektorem. Skonstatował to teraz z poczuciem satysfakcji. Ostatecznie mózgowica nie zardzewiała jeszcze tak beznadziejnie.

Ciężkie powietrze przesączało już powiew wilgotnej świeżości. Zajaśniały ażurową koronką przerwy pomiędzy rzędnącymi zaroślami. Nagle mignął jakiś cień. Palce ujęły mocniej stalową rękojeść.

- Kto...

Nie zdążył. Huk wystrzału przemknął potoczystym echem po powierzchni wody głucho w gęstwinie. Coś oparzyło mu prawą skroń. Aż zachwiał się na nogach. Ale nie upadł. Ruch, jakim wyszarpnął z kieszeni rewolwer i pociągnął za cyngiel, był czysto mechaniczny.

Zatrzeszczały łamane gałęzie. Podbiegł parę kroków nie zdejmując palca z cyngla.

Barczysta sylwetka wysokiego mężczyzny złamała się wpół, opadając powoli. Zabity, w każdy razie ciężko ranny... Plusnęła woda. Wydłużone bryzgi zagrały w promieniach słońca tęczągamą gamą kolorów.

Stanął bezradnie na urwistym brzegu. Na wodzie coraz szerzej rozchodziły się koła.

Nie wypłynął. Pentham wsunął rewolwer z powrotem do kieszeni, zastanawiając się nad sytuacją. Skoczyć do wody? Cienka warstwa piany kołowała wokół ruchomych

leją. Wiry. Beznadziejne. Murcheson wyraźnie mówił, że... Przeczekał chwilę. Nie. Teraz dopiero poczuł, że ze skroni spływa coś mokrego. Wytarł ręką. Krew. No, tak, niewiele spudłował. Głupstwo. Tamten... To dziwne. Przecież nie pierwszy człowiek, który poszedł za jego sprawą na tamtą stronę. Ale wtedy to było co innego. Służba... Życie stanowiło stawkę w wielkiej grze. A tu... Gniotło go męczące uczucie przygnębienia.

* * *

Wszyscy siedzieli przy lunchu, gdy wszedł do jadalni.

Wejście zrobiło dramatyczne wrażenie. Kilka par oczu przywarło do zakrwawionej twarzy.

- Zabiłem człowieka, inspektorze - położył rewolwer na obrusie.

Mallone aż podskoczył na krześle.

- Co?...

Gordon pobladł. Dolna szczęka obwisła bezwładnie. Twarz jego robiła w tej chwili wrażenie twarzy nieboszczyka.

- Co? - powtórzył bezdźwięcznym głosem pytanie.

Inspektor odzyskał panowanie nad sobą. Zdjął binokle, przetarł je serwetą i posadził na nosie.

- Kogo pan zabił, pułkowniku? Proszę o bliższe szczegóły.

Pentham opadł znużonym ruchem na krzesło.

- Niestety, nie wiem kogo. Po strzale wpadł do rzeki. Nie wypłynął. Wiry...

- Słowem: jeszcze jedne zwłoki z serii znikających - mruknął niby do siebie

Yardley. Uwaga ta jednak minęła bez echa. Wszyscy byli zbyt przejęci zdarzeniem.

Chłodny głos Penthama zaczął relację. Opowiadał z dokładnością protokołu. I z

jego beznamiętnością. Mallone słuchał w milczeniu.

Jeszcze jedna z osób siedzących przy stole mocno pobladła. Ale przyczyna jej zdenerwowania tkwiła zupełnie w czym innym.

XLIII

Pierwszy opatrunek, szczególnie połączony z nakładaniem szwów, nie należy do specjalnych przyjemności. Pentham jednak przetrwał ten zabieg z filozoficznym spokojem. Po prostu usiłował myśleć o czym innym. W końcu wysiłki te odniosły pewny sukces. Tyle spraw należało rozważyć.

- No, ma pan szczęście, pułkowniku. - Doktor Johnson umoczył watę w jakimś ostro pachnącym płynie. - Centymetr czy dwa dalej i...

- Wolałbym, żeby lepiej celował - mruknął ponuro Pentham.

- Co? - poczciwy doktor był poważnie zgorzony. - Wolałby pan, żeby pana zastrzelił?

Dopiero teraz Pentham ocknął się z zadumy.

- Nie - zaprzeczył z uśmiechem na widok miny doktora. - Nie mam bynajmniej samobójczych zachcianek. Ale nie myślałem o skroni. Gdyby, powiedzmy, tak w ramię czy inne nieszkodliwe miejsce.

Doktor sięgnął po bandaż.

- Nie rozumiem?...

- Całkiem proste. Chciałbym trochę popatrzeć na pocisk, który zawarł znajomość z moją skórą.

Doktor pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ach, tak? Słowem: apetyt na amulecik?

- Coś w tym rodzaju - potwierdził. Rzeczywiście bardzo zależało mu na tym

pocisku.

Sytuacja w Gordon's Hill zagmatwała się. Położenie przypominało anegdotę o koszmarze brydżysty, który mając wszystkie atuty w ręku zostaje zaskoczony przez kontrpartnera wyjściem w asa... nieznanego koloru. A tu przeciwnicy wyszli aż w dwa asy. I to oba w odmiennych, nieznanym kolorach. Odmiennych? Właśnie na to pytanie dałby odpowiedź pocisk, wystrzelony w kierunku Penthama. Gdyby go można porównać z kulą wydobytą z rany Ardayire'a... Niestety... Pentham obejrzał niemal każde drzewo na wybrzeżu i... nic.

Zerknął niechętnie na wielki zwój bandażu, który doktor przybliżał do jego głowy.

- Panie doktorze... - zaczął prosiącym tonem.

- Co? - Johnson spojrzał zdziwiony. Czyżby dotychczas tak idealny pacjent zaczął kaprysić?

- Wolałbym bez tych szmatek... Jeżeliby można, jakiś plaster...

Doktor mrugnął porozumiewawczo okiem. Zdołał co nieco zaobserwować z tego, co się dzieje wśród mieszkańców pałacu.

- Ma pan obawy, że opatrunek nie będzie wyglądać twarzowo?

Pentham wzruszył ramionami.

- Niech sobie wygląda jak chce. Tylko widzi pan, doktorze, gdy mam obwiązaną głowę, mózg nie pracuje jak powinien. Mam już niejaki doświadczenie w tym względzie. A teraz... - sięgnął po fajkę. - Tak... - popatrzył w zamyśleniu na ciemną plamę obrazu, wiszącego naprzeciwko - teraz właśnie będzie musiał pracować jak cholera...

XLIV

Yardley nie miał bynajmniej skruszonej miny. A przecież powinien ją mieć w tej

chwili. Choćby przez najelementarniejsze poczucie przyzwoitości. Reporter jednak nie posiadał ani cienia tego poczucia. Może kiedyś, gdy jeszcze nie prowadził sensacyjnych kronik w gazetach. Ale teraz... Pogwizdywał sobie wesoło. I to nawet niezbyt cicho. Kołysał nogą, założoną na drugą. W ogóle zachowywał się tak, jak gdyby nigdy nic. I wcale nie spuszczał oczu przed gniewnym spojrzeniem inspektora.

A Mallone aż kipiał. Miał zresztą do tego najzupełniej słuszne podstawy.

- Ślicznie - sapnął wreszcie, zapalając papierosa.

Reporter spojrział na niego niewinnie.

- Czy mówi pan o pogodzie? Ja osobiście uważam, że...

Inspektor podrzucił raptownie głową. Binokle spadły na sam koniuszek perkatego nosa. Poprawił je niecierpliwym ruchem.

- Diabła tam o pogodzie. Sam pan zresztą wie, o czym mówię: o panu!

- Uhum! - reporter końcem buta wywijiał w powietrzu zawile ornamenty. - Taki zaszczyt...

- Będzie pan miał zaszczyt, jak pana zamknę pod klucz.

Yardley wzruszył ramionami.

- Prasę pod klucz? - w tonie jego brzmiał ogrom niedowierzenia. - Zaryzykuje pan, inspektorze?

Mallone strzepnął pogardliwie palcami.

- Też mi ryzyko! Tego, co pan zrobił, wystarczy, by nawet najbardziej skrupulatny sędzia...

- A cóż ja takiego zrobiłem?

- Jeszcze pan pyta? Primo: przetrząsnął pan urzędową korespondencję, do tego ściśle poufną!

Reporter obgryzał starannie koniec wymiętoszonego cygara.

- Ba... - nacisnął sprężynkę zapalniczki - łatwo powiedzieć przetrząsnąłem.

Przyłapał mnie pan in flagranti?

- A gdybym tak porównał odciski palców, pozostawione przez kogoś, powiedzmy, nieznanego, z pańskimi liniami papilarnymi?

Reporter obejrzał bez przekonania swe niezbyt czyste ręce. Na przyszłość postanowił myć je przed takimi operacjami dokładniej.

- Hm - długo trzymał ogień przy końcu cygara.

- W rezultacie może pan nie porównywać. Niech będzie, że właśnie ja - pokiwał z ubolewaniem głową.

- Czego człowiek nie musi przecierpieć dla zachowania dobrych stosunków z policją. Po prostu nie dojrzałem adresu...

- Tak! - rzucił z sarkazmem inspektor. - Nie dojrzał pan adresu?... A czy wolno wiedzieć, czego pan w ogóle szukał w szufladzie stolika stojącego w moim pokoju?

Reporter wydobył z kieszeni wieczne pióro i w zamyśleniu obracał nakrętkę.

- Nie wolno - oświadczył wreszcie.

- Co? - Mallone aż podskoczył. - Jak to?

- Zwyczajnie. Nie mam zamiaru kłaść dobrowolnie głowy w pętlę. Zresztą po co tyle gadania? Ukradłem panu co?

- Punkt drugi: usiłowanie opuszczenia wyspy pomimo wyraźnego zakazu.

Reporter milczał patrząc w okno.

- Punkt trzeci: usiłowanie kradzieży policyjnej motorówki...

Yardley podniósł ostrzegawczo rękę.

- Stop! Tylko bez przesady. Chciałem ją jedynie wypożyczyć, wobec braku

jakichkolwiek innych środków lokomocji.

- W rezultacie nic dziwnego, że Murcheson doprowadził pana pod przymusem, dołączając raport.

Reporter potarł końcami palców podbródek.

- Bardzo dziwne - zaczął - nawet nie przypuszczałem, że posiada tyle zwinności, pomimo swej słoniowatej figury.

Obserwując ulatujące ku sufitowi kłęby tytoniowego dymu, przypominał sobie szczegóły niespodziewanego spotkania z sierżantem. Tłumaczy}. Nic. Próbował podsunąć banknoty. Przecież nie jakieś tam nędzne szylingi. Całkiem pokaźną sumę.

Policjant zaczął mrużyć i nie wypuszczał z rąk ramienia. Ucapił go z miejsca gdy tylko zaskoczył majstrującego przy motorze łodzi. Cóż miał począć? Tylko jedno mu pozostało. I właśnie to zrobił. Zajechał z rozmachu pięścią w nos. Niech się odczepi.

Wyszło paskudnie. Murcheson władował swój kułak w sam środek jego podbródka. Aż zamroczyło. Przysiadł. Pojęczał sobie trochę. Ani marzyć o dalszych rundach. Co tu dużo gadać: K.O. i już do końca był zupełnie miękki. Sierżant zaczął go taszczyć na brzeg. I na dobitek dogadywał. Że to, że tamto. Mniej więcej to samo, co teraz inspektor. Tylko jeszcze jedno dodał: opór władzy. Czynna napaść na policjanta w czasie... Hm. Czynny opór? Diabło na to wyglądało. A sędziowie nie przepadają za takimi historiami. Dość było spojrzeć na nos sierżanta. Błyszczał czerwono jak światło sygnalizacyjne. Dowód rzeczowy jak wół. Trudno. Trzeba było zacząć pertraktacje. Że nie naumyślnie... I w ogóle bardzo mu przykro... A jeżeli chodzi o leczenie... W rezultacie policjant dał się przekonać, że nos stanowi jego prywatną własność. Dziesięć funtów. Taki kawał grosza za jedno machnięcie ręką! No, i tak szczęśliwie. Za to uczciwie dotrzymał układu. Mallone nie zdołał z niego wyciągnąć przyczyny

spuchnięcia nosa. Katar...

Mallone przetarł szkła.

- Wystarczy dla zamknięcia?

- Cóż... Jeżeli się uprzeć - Yardley wyglądał teraz całkiem potulnie.

- Dlaczego chciał pan uciec? - rzucił niespodziewane pytanie Mallone.

Reporter pokiwał głową w nieokreślonym ruchu.

- Nie... Po co zaraz: uciec. No, po prostu mała wycieczka. Wróciłbym.

- Ale dlaczego? - nastawał.

- Nie pozwalał mi pan na wysłanie korespondencji.

- Jak to? Po skontrolowaniu.

- Właśnie! O to chodziło.

Kilka chwil panowało milczenie. Inspektor nad czymś rozmyślał.

- Wykrył pan coś ciekawego? - zapytał wreszcie.

- Hm...

- Bo jeżeli... Ostatecznie raport Murchesona niekoniecznie musi otrzymać dalszy bieg...

Reporter przykleił poślinionym palcem odstający od cygara liść.

- A nie zna pan przypadkiem, inspektorze, artykułu o zmuszaniu do zeznać za pomocą gróźb?

Mallone udał, że nie słyszy pytania.

- No?

- A... ewentualnie pozwoliłby mi pan wysłać korespondencję?

Mallone westchnął z udanym współczuciem.

- Rozumiem pana dobrze... Ale teraz, w czasie dochodzenia? Nie... Wykluczone.

Za to pańskie pismo będzie pierwsze. A do tego osobiste asystowanie przy dalszych zdarzeniach też ma swoją wartość - uśmiech wąskich warg robił wrażenie mocno zachęcające. - Mam wrażenie, że to będzie dostatecznie sensacyjne.

Yardley gryzł nerwowo cygaro.

- No, cóż... Wpadłem. Niech będzie. Otóż: fotografia Gordona. Wie pan, ta powiększona...

- Tak - Mallone potakiwał jak gdyby wszystko było w porządku. A przecież to właśnie ta fotografia pochodziła z jego szuflady. Zamkniętej na klucz.

- To, że nie nosił peruki, nie ma jeszcze decydującego znaczenia, mógł z jakiegoś powodu zacząć nosić. Ale widziałem go bez peruki.

- Widział pan?

- Tak. W czasie porannej toalety. Zupełnie niepodobny do fotografii. Przede wszystkim gładko ulizane włosy. Ciemne. Bodaj czy nawet nie czarne. A twarz! Zanim zaczął rozmazywać wszystkie szminki... Warto było zobaczyć. Twarz młodego człowieka.

Mallone poprawił się na krześle.

- Jest pan tego pewien? - pragnął ukryć przed reporterem zaniepokojenie, nie bardzo mu się to jednak udawało.

Reporter wydał wargi.

- Jak najpewniejszy. Jutro rano zaprowadzę pana do tego okna. Sam pan zobaczy.

Zresztą, to jeszcze nie wszystko. Przypadkowo słyszałem rozmowę Penthama z miss Gordon...

- Z którą?

- Z tą platynową. Co to twierdzi, że nazywa się Owen. Niech pan sobie wyobrazi

inspektorze, że...

Przysunął swe krzesło bliżej i zaczął szeptać na ucho Mallone'owi. Oczy inspektora rozszerzały się coraz bardziej za szklami binokli.

- Niemożliwe! Mówi pan, płakała?

- Bardzo coś na to wyglądało. Pentham czynił jej gorzkie wyrzuty. Że jacyś tam biedni coś tracą... Nie słyszałem, niestety, zbyt dokładnie. Mówili bardzo cicho. A potem... - zniżył głos do szeptu.

- Usprawiedliwiał się?

- Właśnie. Że przesadza... Coś tam jeszcze gadał. Słów nie słyszałem, ale ten ton...

Z samego tonu można było wyciągnąć całą kupę wniosków.

- Jakich?

- No... Yardley zawahał się. - Chyba wspólnicy. Albo raczej Pentham występuje jako zwierzchnik. Był; niezadowolony z jakiegoś jej posunięcia i stąd wyrzuty. Ona się go boi. Najlepszy dowód ten płacz. Musiał jej porządnie zagrozić. Wie pan, co mi przyszło na myśl?

- Co? - wzrok inspektora zawisł z napięciem na jego ustach.

- Że ten cały Pentham to po prostu przebrany Gordon.

- Ech! - inspektor wzruszył ramionami. Wyraz jego twarzy świadczył o głębokim rozczarowaniu. - Bzdury. Pentham, to Pentham. Znam go od wielu lat. Wiem kim jest. Co do tego nie może zachodzić najmniejsza wątpliwość. Co innego jego rola w tym wszystkim...

Reporter skrzywił się. Taką sensację diabli wzięli. No, trudno. Za to innych nie brak.

- A co pan myśli o tej roli?

Mallone podrapał czubek nosa.

- Ba... gdybym to wiedział. Ale rozgryzę i to.

- Rozgryziemy - poprawił reporter. - Bo przecież teraz...

XLV

Pentham nie mógł sobie znaleźć stosownej pozycji. To przysiadł na brzeжку fotela, to znów biegał po pokoju jak uwięzione zwierzę. Nie, to przecież niemożliwe.

Gdzieżby... Po prostu źle musiał zrozumieć jej słowa. Bo jakżeby... No,

oczywiście: nonsens. A jednak przecież powiedziała, że... Więc cóż z tego?

Powiedziała, to powiedziała. Także powód, żeby...

Ciche stukanie do drzwi przerwało tok rozmyślania. Spojrzał niechętnie. W tej chwili wołał być sam.

- Proszę - brzmiało to jednak bynajmniej nie zachęcająco.

Krokiem kulawego kota wsunął się cicho inspektor Mallone.

- Czy nie przeszkadzam?

Pentham mruknął coś przez zęby. Ta wizyta sprawiała mu już najmniej przyjemności. Znowu jakieś bezsensowne nudziarstwa.

Inspektor zamknął starannie drzwi.

- Spieszyłem, by pana powiadomić, że... - wytrzymał efektowną pauzę. Jednak ani pauza, ani wstęp nie wywołały u Penthama zaciekawienia. Zbyt absorbowały go własne myśli.

Mallone wyciągnął z kieszeni chustkę i przetrął z namaszczeniem binokle.

- Znaleźliśmy włoki - osadził szkła z powrotem.

- Które”?

- No... pańskie! Pentham nagle spowaźniał.

To znaczy człowieka, do którego strzelałem? To znaczy człowieka, którego pan zastrzelił -

skorygował inspektor.

Pentham zwiesił głowę. Niespodziewanie zrobiło mu się okropnie przykro.

- Tak, człowieka, którego zastrzeliłem... - powtórzył bezdźwięcznie.

Inspektor obserwował go spod oka.

- Jestem zdumiony...

- Czym?

- Pańską reakcją. Robi pan wrażenie, jakby ta wiadomość bardzo pana dotknęła...

Pentham patrzył na podłogę.

- Cóż... Jeżeli się pozbawiło życia człowieka, to jednak...

- W swoim czasie nie robiło to panu różnicy, pułkowniku.

Pentham powoli oderwał wzrok od ornamentacyjnie ułożonych tafli posadzki i spojrzał w okno niewidzącymi oczyma.

- W swoim czasie tak... Ale to było dawno. A teraz... szczególnie w takiej chwili.

- W jakiej?

Pytanie zaskoczyło Penthama. W jakiej? Rzeczywiście. Inspektor miał stuprocentową rację. Czymże ta chwila różniła się od innych? Mrzonki...

- Nie... to tylko tak... - machnął niedbale ręką. - Widzi pan, przez te lata stałem się zaskorupałym mieszczuchem. I właśnie dlatego... Przychodzi mnie pan aresztować? - przeniósł wzrok na inspektora.

Ten zaśmiał się cicho.

- Nie. Wręcz przeciwnie!

- Wręcz przeciwnie? Może przynosi mi pan nagrodę za morderstwo? - rzucił

przepojone gorzką ironią pytanie.

Mallone triumfował. Przyszła jednak chwila, że zapędził tego niezwyciężonego szermierza słowa w kozi róg.

- Właśnie - potwierdził z udaną obojętnością - coś w tym rodzaju.

Pentham zeszywniał.

- Raczy pan sobie ze mnie żartować, inspektorze?

Gdzieżbym śmiał? Jak widzę, winienem panu małe wyjaśnienie. Przede wszystkim sprostowanie: zwłoki są w całkiem niezłym stanie. Nie nadają się absolutnie do

pochowania. Nawet gadają. To jest właściwie mogłyby gadać, gdyby chciały. Ale

Jersen nie lubi ruszać językiem, choćby go nawet za niego ciągnięto kleszczami. Taki już jest... Twarz Penthama pojaśniała.

- Więc żyje?

- Nie mogę zaprzeczyć. Twarda sztuka. Innego by dawno diabli wzięli. Kula pod piętym żebrem. Wiry. Uderzenie podwodnym pniakiem w czaszkę. A ten nic.

Wyłowiono go dobre kilkaset metrów poniżej przystani. I wzięto na staranne przechowanie.

- Ale...

Mallone podniósł rękę, powstrzymując dalsze słowa.

- Chwileczkę. Widzę, że pan nie wie, kim jest Jersen. A to ważna osobistość.

Konkurent Banku Angielskiego. Np i inne jeszcze historie, niestety nie dowiedzione...

Uprzykrzył sobie Dartmoor i... Rozumie pan, pułkowniku? Nawet Dartmoor dla takiego

ptaszka nie dość dobre. Któregoś dnia po prostu prysnął z kamieniołomów i tyle go

widziano. Słowem - dwieście pięćdziesiąt funtów nagrody. Dwieście pięćdziesiąt

funtów to przecież wcale niezły grosz. Szczególnie, jeżeli chodzi o jeden jedyny strzał,

nie uważa pan? - W słowach dźwięczało coś jakby zazdrość.

Pentham nie odpowiedział. Analizował starannie treść słów inspektora. Uciekinier z Dartmoor. Ale to tłumaczyło niezmiernie wiele. Prawie wszystko.

- Nagrodę za ujęcie Jersena może pan odebrać w Komendzie Głównej. To jest, nie wiem, czy zechcą ją panu wypłacić w całości. Może będą uważali za stosowne podzielić ją i na tych co go wyłowili z rzeki. Jednak...

- Nagrodę? - Pentham ocknął się z zadumy. - Ach tak... Przepraszam. W każdym razie ja swej części nie podejmę. Przeznaczam ją... - zastanowił się chwilę - na szkółkę elementarną dla... policjantów wyższych stopni. - Mallone'owi należał się pomimo wszystko odwet za szpilki, jakie wsadzał na początku rozmowy.

Inspektor zmarszczył brwi. Znowu bryka? Koniecznie chce mieć ostatnie słowo?

Nic z tego.

- Nie zrozumiałem - zaczął groźnie. - Może pan zechce łaskawie powtórzyć: na elementarną szkółkę dla kogo?

- Dla sierot po policjantach wyższych stopni! - Pentham zrobił niewinną minę. -

Czyżby w tym było coś niestosownego?

Mallone zdusił starannie niedopalek na popielniczce.

- Oczywiście nie. Dziękuję panu w imieniu tych sierot. A co do policjantów wyższych stopni, to... Wkrótce przekona się pan czy potrzebują elementarnej szkółki.

Już jutro... - i z wysoko podniesioną głową wymaszerował z pokoju.

Pentham śledził w zamyśleniu jego odwrót. Już jutro? Czyżby zamierzał?... W

takim razie trzeba by...

- Tak - obciągnął marynarkę, przyglądając pieczołowicie klapy. - Koniecznie trzeba. - Zdecydowanym ruchem ujął klamkę...

XLVI

Doktor Johnson stanowczo przesadzał w ostrożności, jeżeli chodziło o rannego.

Ardayire mógł być przesłuchany co najmniej od trzech dni. Co tam przesłuchany! Od trzech dni rozmawiał, jak gdyby nieszczęsna kula minęła go o milę. Nie pomagał wysmukły palec, położony ostrzegawczym gestem na purpurowych wargach. Ani prośba zielonkawych oczu, wycierających spod czupryny barwy starego złota. Zresztą nie wierzył w szczerą prośbę, bo przecież...

Zła była na siebie za łunę występującą tak często na policzki. Jak to wygląda?

Pielęgniarka i raptem czerwieni się, podchodząc do pacjenta? I to czerwieni się jak...

Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego porównania.

Najgorzej, że Ardayire dostrzega te bezsensowne rumieńce. Na pewno dostrzega.

Jego spojrzenia nie pozostawiały na ten temat najmniejszych nawet wątpliwości. I

dzisiaj tak samo. Choć przecież wczoraj obiecała sobie solennie... Ale rozmawiali o zupełnie obojętnych rzeczach, I nagle... jakby kto przypiekał policzki. Żeby on, tak nie patrzył... Żeby nie zaglądał w oczy... Choć nie mogła powiedzieć, by te spojrzenia sprawiały jej przykrość. Raczej... Wszystko jedno.

- Panie Tomaszu - usiłowała zmarszczyć groźnie brwi.

- Tomaszu? Dlaczego tak oficjalnie? Czyżbym coś zawinił?

Uciekła spojrzeniem w bok. Inaczej zmiękłaby od razu.

- Naturalnie; że pan zawinił. - Cóż mogła poradzić, że w groźnym tonie brzmiały wcale niegroźne nutki?

Wyłowił je natychmiast i skwitował radosnym uśmiechem.

- Czym? - skruszony wyraz jego twarzy nie robił przekonującego wrażenia.

- Jak to czym? - niezbyt skutecznie próbowała udać oburzenie. - Jeszcze pan pyta.

Przecież doktor kazał panu leżeć nieruchomo, a pan...

Ciche pukanie do drzwi przerwało dalsze słowa... Drgnęli jednocześnie.

- Jak się pan czuje, Tomku? - dźwięczny głos przerwał zapadłą nagle w pokoju ciszę.

Na twarzy rannego zarysowały się pomieszane uczucia.

- Dziękuję... Wreszcie przyszła pani zobaczyć, czy jeszcze żyję, Flo? Bardzo to ładne z pani strony... Ale nie mogę narzekać na zbyt częste dowody pani zainteresowania.

- O! - zadzwonił srebrzyście śmiech. - Na samym wstępie gorzkie wyrzuty?

Naprawdę dzieje się tu panu taka krzywda beze mnie? - przeniosła z kolei wzrok na zarumienioną pielęgniarkę. - I cóż ty na to, Betty?

Ta spuściła wzrok i zarumieniła się jeszcze silniej.

- Ja?... No... jeżeli pan Tomasz... - bąknęła.

- No, no, moja droga - pogroziła jej żartobliwie palcem. - Masz minę kota, który zlizął śmietankę.

W zielonych oczach załśniły siłą powstrzymywane łzy.

Jaka ta Flo! Żeby w ten sposób... I do tego przy nim... Cóż. Musi wszystko znieść bez sprzeciwu. Rzeczywiście czuła się winna wobec Flo. A jeżeli Tomek... Nie, nie wolno nawet myśleć w ten sposób o nim... Jeżeli pan Tomasz traktował to wszystko, te rozmowy i w ogóle, jedynie jako środek zabicia czasu w oczekiwaniu na przyjście Flo? Serce ścisnął bolesny skurcz. To przecież zupełnie niemożliwe... Robi jej wyrzuty, że o nim zapomniała... Zwiesiła głowę. To byłoby jednak okropne.

Platynowa blondynka podeszła do łóżka rannego. Pielęgniarka śledziła ją zazdrośnym spojrzeniem.

Jaka ona piękna - myślała z mimowolnym podziwem. Zawsze ją zresztą podziwiała. Tak. Tamto wszystko to było tylko bezsensowne marzenie. Gdzież jej się nawet równać z Flo? Oczywiście, że pan Tomasz... Trudno mu się nawet dziwić.

- Panie Tomku, mam panu coś do zakomunikowania.

Pielęgniarka drgnęła.

- Może chciałabyś...? - spojrzała wymownie w kierunku drzwi.

- Nie - przyjazny uśmiech zamiast uspokajać ją, przybliżył jeszcze bardziej niepewność.

Jaka ona jest wspaniale pewna siebie.

- Nie wolno ci ani na chwilę opuszczać swego pacjenta. Czy pamięta pan, Tomku, pytanie, jakie mi pan kiedyś zadał?

Ardayire miał mocno speszoną minę.

- Pytanie? - powtórzył słabym głosem. - Tak, oczywiście...

- Otóż wymógł pan na mnie wtedy obietnicę, że jeśliby się cokolwiek zmieniło...

Ardayire mocno pobałdł.

- I... zmieniło się?

- Tak. I właśnie dlatego śpieszę, by panu o tym zakomunikować. Tak, jak obiecałam. I cóż pan na to?

- zajrzała mu w oczy.

- Ja?... Ależ... Będę najszczęśliwszym mężczyzną pod słońcem... i... - wargi

wyraźnie mu drżały. Nie umiał temu zaradzić. Jeszcze nie odzyskał wszystkich sił. A to spadło na niego tak niespodziewanie. Niespodziewanie i... mój Boże, żeby tak tydzień temu...

Wąska dłoń przesunęła pieszczotliwym ruchem po czole Ardayire'a.

- Jest pan prawdziwym dżentelmenem, Tomku - powiedziała poważnie. Zawsze

zresztą o tym wiedziałam, ale teraz... Nie powinien się pan przejmować. Bo...

- nachyliła się na rannym, przytykając niemal usta do jego ucha. Szepnęła parę słów zaledwie.

Widocznie były to czarodziejskie słowa, bowiem na wychudłe policzki powróciły rumieńce. W oczach załśniło radosne ożywienie.

- Czy można pani złożyć gratulacje, Flo?

Zarumieniła się jednak. I straciła nieco ze swej niezachwianej równowagi.

- Proszę.

- Naprawdę z całego serca... wyszeptał gorąco. - Proszę mi wierzyć, że...

- Ale musi pan pamiętać - przerwała - że tymczasem ani pary z ust. Nikomu - podkreśliła stanowczo. - Ani nawet... - nie dokończyła. Pojął jednak dokładnie, kogo miała na myśli.

- Będę milczał jak grób.

Kasztanowe loki zwisały nad czołem, niemal przesłaniając oczy. Nie odgarniała ich. Zresztą, po co? Wszystko jedno. Nie słyszała słów, wyszeptanych na ucho Ardayire'owi. Nie rozumiała, o czym mówili. Ale widziała dosyć. Aż za dużo jak na jej wytrzymałość.

XLVII

Yardley wybijał podeszwą takt jakiegoś niezbyt melodyjnego marsza. Nie potrafił opanować niecierpliwości. Za chwilę miał się rozegrać ostatni akt dramatu. Tak długo nań czekał, że niemal przestał wierzyć. A jednak... Mallone balansował jak akrobata na linie. Raz po raz wyslizgiwał się z rąk.

- Niech pan sam pomyśli, panie Yardley. Gdyby to miała być pomyłka. Komenda nigdy by mi nie darowała takiej gafy - bronił się.

Dopiero, gdy zobaczył na własne oczy, musiał ustąpić. Wszystko jasne jak słońce. I teraz... już za chwilę... Aktorzy mający wystąpić w ostatniej odsłonie: wezwani przez inspektora zaczynają ściągać do salonu.

Pierwszy przyszedł Pentham. Jak gdyby nigdy nic. Twarz jak zawsze kamienna.

Coś tam pogwizduje przez zęby. Ręce w kieszeniach marynarki.

...Ciekawe co ma w tych kieszeniach? - zastanawiał się Yardley, udając, że na niego nie patrzy. - I czy weźmie udział jako czynny aktor, czy też... No, w czasie opracowywania planu batalii z inspektorem wzięli pod uwagę niejedną możliwość.

Teraz wmaszerował Gordon. Ten jednak trochę przybladł. Czyżby przecucie?

Tylko Ardayire pozostał na górze. Doktor Johnson kategorycznie zakazał denerwować ranego.

- Stan poważny, więc jako lekarz... - odpierał nalegania inspektora.

Ostatni wszedł Mallone. Na progu zaczerniała masywna sylwetka Murchesona. W oczach sierżanta malował się wyraz naprężonej czujności.

Ciężkie podeszwy Hinkey'a gniotły żwir na podjeździe. Policjant spacerował tam i z powrotem, nie spuszczać wzroku z okien salonu. Ręka czuwała w wymownej bliskości kabury.

Mallone przesunął wzrokiem po obecnych. Nieznacznym gestem dotknął rękojeści rewolweru włożonego do bocznej kieszeni marynarki. Trzeba być gotowym na wszystko. Od kominka dochodziło niecierpliwie chrząkanie reportera. Miał rację. Czas już zaczynać. Przełknął ślinę, by wszystko wypadło dostatecznie efektownie. Yardley na pewno opíše z najdrobniejszymi szczegółami. Może choć tym razem będzie miał przychylną prasę. No, tak. Tym razem na pewno.

- Zebrałem państwa - zaczął. - To jest... No, słowem, chciałem zakomunikować, że

tajemnica Gordon's Hill przestała być tajemnicą. Wiemy już z kim był zamordowany mężczyzna znaleziony w zaroślach, jak również kto go zamordował. Niestety, nie wszyscy współnicy zostali wykryci - łypnął zdradliwie okiem, w stronę Penthama. - Ale to jest jedynie kwestia czasu. Wyjaśnię państwu, w jaki sposób... Stać! - ryknął nagle. Zdawało mu się, że dostrzegł jakiś podejrzany ruch Gordona. Nerwy nie wytrzymały. Wyszarpnął z kieszeni pistolet, skierowując go na gospodarza. - Ręce do góry. I ten także - kiwnął głową w kierunku sekretarza. - Ani drgnąć! - W rękach Murchesona zaczerniał również potężny kształt służbowego pistoletu. Ręce wezwanych uniosły się powoli ku górze. Palec inspektora tkwił na cynglu z dostateczną stanowczością.

- Aresztuję was w imieniu prawa. Wszystko, co od tej chwili powiecie...

Chłodny śmiech Penthama wtargnął w przemowę inspektora zgrzytliwym dysonansem.

- Wspaniale! Jak Boga kocham, wspaniale! - Wyjął obie ręce z kieszeni. Jak Mallone zdołał zauważyć, były puste. - Ale czy wolno spytać, inspektorze, pod jakim zarzutem dokonuje pan tego... hm... sensacyjnego aresztowania?

Mallone spojrział na niego zaskoczony.

- A panu co do tego? - warknął wściekle. - W ogóle, pańska rola w tym wszystkim...

- W ogóle, moja rola w tym wszystkim - naśladował jego intonację Pentham - będzie w swoim czasie wyjaśniona. A jeżeli chodzi o pierwsze pytanie, to - wzruszył ramionami - jako obywatel obznajmiony co nieco z formalnościami, które muszą być zachowane przy pozbawieniu kogoś wolności...

Mallone przyciął zębami wargi. Prawda. Podstawowa zasada: sformułowanie zarzutu. Że też... I do tego przy tym Yardleyu.

- Pod zarzutem zamordowania sir Percy Gordona - wypiął z godnością pierś.

Znowu śmiech Penthama. Tym razem nawet głośniejszy niż poprzednio.

- Bardzo mi przykro, inspektorze, ale muszę pana rozczarować. Bo właśnie ten dżentelmen z podniesionymi rękami to jest sir Percy Gordon.

Inspektor uśmiechnął się szyderczo.

- Nonsens. Nikt tego we mnie nie wmówi...

- Zapewniam pana, że ja właśnie to uczynię - wycedził niedbale Pentham. - Chyba, żeby pan tęsknił do zasłużonej emerytury.

- Ach, tak - mruknął - trzeba panu dowodu? Dobrze. Yardley, bądź pan łaskaw zdjąć temu osobnikowi perukę.

Reporter podszedł do Gordona, wyciągając ręce ku jego głowie. Gordon nie zaprotestował najmniejszym nawet gestem. Jeden ruch i oczom obecnych ukazała się czarna, gładko ulizana fryzura. Yardley potrząsnął peruką, w ręku jak Indianin zdobytym skalpem.

- Czy i tego panu mało? - rzucił Penthamowi pytanie inspektor.

- Okropnie mało - potwierdził pobłaźliwie. - Bo gdyby szanowny przedstawiciel prasy chciał popracować odrobinę gąbką zwilżoną w ciepłej wodzie, ujrzelibyśmy znowu szpakowate włosy, uwiecznione na tysiącach fotografii prezesa Trustu Stalowego. Znalazłem specyfik, używany przez sir Gordona do przyciemniania włosów.

I, proszę mi wierzyć, nie jest zbyt trwałą. Przynajmniej tak zapewnia etykieta.

- Bzdury - zabrał głos milczący dotychczas Gordon. - Niech go pan nie słucha, inspektorze. Ten człowiek bredzi... - Zwiesił głowę na piersi. - I tak wszystko przepadło. Przyznaję się - oświadczył ponurym głosem.

Mallone obrzucił go nieufnym spojrzeniem. Ten Pentham zawsze potrafi narobić

galimatiasu. Nagadał tyle...

- Do czego się pan przyznaje?

- Do... do wszystkiego. W tylnej kieszeni moich spodni znajduje się automatyczny pistolet. W magazynku brakuje czterech naboii. Już mi wszystko jedno. Itak...

Inspektor przestał się wahać. Zapucił lewą rękę do kieszeni. Kajdanki brzęknęły metalicznym odgłosem.

- W takim razie...

Pentham podniósł ostrzegawczo rękę.

- Sop! - głos jego brzmiał ostro jak cięcie stali. - Niech pan nie robi głupstwa, inspektorze! Rewolwery z brakującymi nabojami to nie pańska specjalność! W portfelu sir Gordona znajdzie pan poza tym pozwolenie na ten pistolet. A wszystkie kule brakujących naboii tkwią przykładnie w pniu kanadyjskiego kasztana. Drugie drzewo, licząc na lewo od głównego klombu przed podjazdem. Stwierdziłem to naocznie...

Mallone upierał się.

- Jednak morderstwo... - znowu się zawahał.

- Nie było żadnego morderstwa! Zwłoki mężczyzny w pizamie zostały wypożyczone z kostnicy szpitala fundacji Gordona w Jersey. Przyczyna śmierci: wypadek uliczny. To samo zwłoki dziewczyny wyłowione z rzeki. Tylko że tu chodziło o samobójstwo przez otrucie. Zwłoki już pochowano. Na koszt fundacji. Dałoby się podciągnąć pod artykuł zbezczeszczenia zwłok. Tylko, że rodziny nie wniosły skargi. I trudno byłoby ustalić bezpośredni udział Gordona. Sprawcami są dwaj ciemnoskórzy dżentelmeni. W chwili obecnej znajdują się już w drodze do swej ojczyzny. Wątpię, by opłacało się ich szukać. Wszelkie dowody są w moim posiadaniu. Mogę służyć nimi na żądanie.

Mallone bezwiednym niemal ruchem opuścił rewolwer. To wyglądało

prawdopodobnie. Przypomniawszy sobie treść pisma „Argusa”. „Więc to nie był szyfr?

Gordon, nie czekając na pozwolenie, opuścił ramiona. Opadł ciężko na fotel,

pogrążając się w głęboką zadumę. Dopiero teraz robił wrażenie naprawdę przybitego.

- Nie rozumiem jednak, w jakim celu to wszystko? - mruknął Mallone.

Pentham strzepnął palcami.

- Cel? Sam się pan tego musi domyśleć, inspektorze. Powiem panu tylko jedno: cel

ten nie został osiągnięty. A właściwie został osiągnięty skutek zupełnie inny od

zamierzonego. Jeżeli można nazwać skutkiem wejście przeze mnie w posiadanie

pięćdziesięciu procent akcji Trustu Stalowego.

Gordon podniósł gwałtownie głowę.

- Więc to pan?

Pentham uśmiechnął się przepraszająco.

- Tak, sir. Właśnie ja. Gdyby mnie ktoś zapytał przed tygodniem o stan mojego

majątku, powiedziałbym: jednorodzinna willa w okolicy Chelsea, emerytura, zbiory

starej porcelany wartości kilkunastu tysięcy, parę tysięcy gotówki. A dziś, - willa

zadłużona po ostatnią cegłę najwyższego komina, zbiory zastawione na lichwiarski

procent. Gotówki ani śladu. Do tego spora sumka krótkoterminowych zobowiązań. Za

to pięćdziesiąt procent akcji Trustu... Owszem, nie mogę zaprzeczyć... I to akcji,

zakupionych po nieprzyzwoicie niskim kursie.

Gordon patrzył nań, jakby go oglądał po raz pierwszy. W wyblakłych oczach

zamigotał mimowolny podziw.

- Wszystkie?

Pentham potwierdził skinieniem głowy.

- W każdym razie starałem się, żeby wszystkie. O tych kilkunastu czy kilkudziesięciu odcinkach, które przeciekły pomiędzy palcami moich agentów, nie warto wspominać. Przykro mi, że skorzystałem z cudzych przygotowań. Na moje usprawiedliwienie muszę podkreślić: nie zasiadłem do tej gry nie zaproszony. Zresztą akcje pozostaną w rodzinie...

Gordon obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

- Jak to?

Pentham wstał powoli z fotela, na którym dotychczas siedział.

- Tak, sir. Ponieważ Flo i ja... - w głosie jego zabrzmiała uroczysta nuta.

- Flo? - milioner był coraz bardziej zdziwiony. Skierował wzrok w odległy kąt salonu.

Purpura ciemnego rumieńca na policzkach młodej damy kontrastowała z pastelowo jasnym tłem loków.

- Tak, tatusiu. Zaręczyliśmy się z Reggim. To jest... chciałam powiedzieć: z panem pułkownikiem Penthamem. A ponieważ przyjechał po wazę... więc na ślubny prezent...

- utknęła beznadziejnie.

Mallone przysiadł na poręczu fotela. Rewolwer już dawno zniknął w głębi kieszeni.

Pogwizdywał cicho przez zęby. Zamiast dramatu - scenka rodzinna. Swoją drogą w głębi serca był wdzięczny Penthamowi, że nie dopuścił do aresztowania.

Pentham podszedł do Gordona.

- Proszę mi wybaczyć, sir, że w tak... hm... niezupełnie poprawny sposób. Ale zważywszy niezwykłość okoliczności i...

Nagle przerwał, dostrzegłszy Yardleya, pomykającego chyłkiem ku drzwiom.

- Chwileczkę, panie Yardley - wstrzymał go, łapiąc za marynarkę.

Reporter przystanął chcą nie chcą. W myśli już układał tytuł sensacyjnych artykułów.

- Czym mogę służyć? - zapytał niechętnie. Okropnie się spieszę...

- Otóż... chciałbym pana uprzedzić - Pentham nie wypuszczał dla pewności z rąk grubego tweedu - że rozmawiałem wczoraj z sir Brownstonem z ministerstwa spraw wewnętrznych. Obiecał mi, że gdyby w jakimkolwiek piśmie pojawiło się choć słówko o wypadkach zaszłych w Gordon's Hill... Pan słyszał chyba co nieco o moim przyjacielu Brownstone?

- Mhm - Yardley zupełnie posmutniał. I nagle przestało mu się spieszyć. Owszem: słyszał o dyrektorze Brownstone. Aż nadto. Z sensacyjnych artykułów nici. Żaden redaktor nie zaryzykuje...

Gordon niespodziewanie poweselał. Z ust jego wydobył się dźwięk, przypominający zgrzytanie nienaoliwionej maszyny. Miał to być śmiech. Prezes Trustu Stalowego nie miał zbyt wiele okazji do śmiechu. Dlatego wychodził on nie bardzo melodyjnie.

- Majstersztyk... Daję słowo - majstersztyk - zawołał klepiąc się w kolano. -

Wszystko: akcje... prasa... Wszystko dokręcone do ostatniej śrubki. Podoba mi się pan, panie pułkowniku Pentham. A panu Yardley owi pozostaje na pociechę opublikowanie wiadomości o zaręczynach mojej córki. Swoją drogą - wyciągnął ku Penthamowi prawicę - patrząc na pańskie posunięcia... Co tu dużo gadać. Gdyby mnie Flo zapytała, sam bym jej poradziła.

XLVIII

Uroczystość podwójnych zaręczyn, córki i siostrzenicy prezesa Trustu Stalowego narobiła niemało sensacji w stolicy. Yardley jednak otrzymał zaproszenie. Co więcej:

był jedynym reprezentantem prasy na uczcie zaręczynowej. Sir Gordon uznał, że należy mu się rekompensata za stracone okazje w Gordon's Hill. Pentham nie zajął stanowiska w Truście. W ogóle od pewnego czasu nic go nie interesowało. Nawet waza z epoki Ming, która wzbogaciła jego zbiory. Nic poza... Raz po raz posyłał tęskne spojrzenia w kierunku błyskających ku niemu fiołkowych oczu. Ale przyszły teść nie miał zamiaru puścić go od siebie.

- Siedź - musisz mi szczegółowo wyjaśnić, w jaki sposób dostrzegłeś dziurę w naszej robocie?

- Chcesz ojcze, mieć wskazówki na przyszłość? Sir Gordon poklepał go po kolanie.

- Żebyś wiedział. Nie zawsze ma człowiek pecha. Pomyśl: akcje diabli wzięli...

Córkę też. A na dobitek wazę. Hm... - podniósł kieliszek wina. - Może jednak córkę powinienem w tym wyliczeniu postawić na pierwszym miejscu?

- Takie jest moje skromne zdanie - zaśmiał się Pentham. Zdołał już polubić ojca Flo. I nie tylko dlatego, że był jej ojcem. Gordon stanowczo zyskiwał przy bliższym poznaniu. Patrząc na tę drewnianą sylwetkę nikt by nie przypuszczał, jak jest naprawdę. A już uważani starego prezesa za typ „morowego chłopca” na pewno nie przyszłoby nikomu do głowy. A jednak.

Gordon odstawił kieliszek przełknąwszy łyk wina.

- Więc jak to z tą dziurą?

- Ależ ojcze... - Pentham usiłował oszukać głód fajki namiastką hawajskiego cygara

- któż mówi o jakiejś dziurze? Było ich całe mnóstwo. Nie tyle koronkowa robota, co przezroczyta koronka.

Gordon wydał wargi.

- No... łatwo krytykować. Mów po kolei.

- O.K. Przede wszystkim więc aktorzy: Lindsay jako naganiacz, naszczuty na dwie osoby. Pierwsza: Reginald Pentham. Zbieracz porcelany i jednocześnie emerytowany oficer wywiadu. Z tego tytułu predestynowany do zwrócenia uwagi na wszystko, co wygląda podejrzanie. Jestem pewny, że w programie jemu właśnie przypadła rola wszczęcia zamieszania. Czyż nie tak?

- Hm... Jedź dalej!

- Dobrze. Otóż dla odpowiedniego efektu wstępnego przyjazd na wyspę miał nastąpić nocą. Zaaranżowanie małej katastrofy samochodowej przed dworcem. Gdyby się nawet i to nie udało, jedyny wehikuł w Ricewood został wycofany na parę godzin z obiegu. Po drodze zademonstrowanie w dobitny i wrażliwy sposób: jak wygląda prawdziwa córka sir Gordona. I tu właśnie pierwsza, mała dziurka. Demonstracja miała nieco przejawiający charakter. Od chwili przyjazdu do Ricewood zaczyna się dziurawa koronka. Przede wszystkim żaden morderca, wrzucając zwłoki do rzeki, nie uwiązuje ich do kawałka korkowego drewna.

Gordon popatrzył w zamyśleniu na falującą powierzchnię złocistego płynu w kieliszku.

- Może masz i rację. Ale jeżeliby utonęły?

- Właśnie po to wrzuca się zwłoki do rzeki, by utonęły - zaśmiał się Pentham. -

Poza tym... sprowadzenie ich drogą lotniczą w okolicę, gdzie zazwyczaj samoloty nie latają.

- Miałem kazać, by przesłali pocztą?

- W każdym razie należało to uczynić w sposób mniej zwracający uwagę.

Powitanie na wyspie wypadło, muszę to przyznać, zupełnie poprawnie. Natomiast jeżeli chodzi o tajemniczych Malajów...

- To byli prawdziwi Tamilowie.

- Owszem. Z grupy akrobatycznej Tamashito.

- Skąd wiesz?

- Ba... Jeżeli aranżuje się takie historie, nie należy zostawiać w domu fotografii

Josue Hearsta. Niemal każdy Londyńczyk zna dobrze tego impresaria cyrkowego. To zupełnie jak gdyby się podsuwało pod nos gotowe rozwiązanie krzyżówki.

- Fotografia była w skrytce - zauważył Gordon. Pentham machnął niedbale ręką.

- Taka tam i skrytka. Następnie: ludojady w” kagańcach. Dalej: trup. Czy ojciec widział kiedy milionera, który kupuje gotowe pizamy i każe sobie haftować monogram wielkości młyńskiego koła? Nie mówiąc już o zabójczym zapachu formaliny, którym nasycono tego nieszczęśnika z prosektorium. Ale chyba największa dziura tkwiła w scenie przyjazdu córki pana domu. Ta depesza! Pożal się Boże, jakie partactwo! Papier posmarowany roztworem ałunu staje się wprawdzie ogniotrwały, ale za to błyszczący. Tak bardzo błyszczący, że wystarczy spojrzeć, by... Należało zostawić większe pole do domyślności dla mnie i inspektora. W ogóle: wszystko wypadło zanadto

demonstracyjnie, jakby podawano na tacy. Trzeba wierzyć w inteligencję ludzką. Choć, jeżeli chodziło na przykład o Mac Cormicka... Aha, prawda... Dobór jego osoby jako drugiego gościa na wyspie też dawał wiele do myślenia. Zbieracz starej porcelany i posiadacz pakietu Trustu Stalowego. Oczywiście, że miał dokonać ostatecznego popłochu na giełdzie, co zresztą wykonał znakomicie. Jeszcze jedno: cena za wazę była niewspółmiernie niska. Powiedziałbym nawet... - wpatrzył się w płyn musujący w kieliszku - rażąco niska. Bo przecież, zgodnie z założeniem reżyserii, propozycja sprzedaży wazy wyszła od jej prawowitego właściciela. No, a ten nie potrzebowałby szukać amatorów za tysiąc funtów, skoro pierwszy lepszy z brzegu handlarz wyłożyłby

pięć tysięcy.

- Ale... przy cenie pięciu tysięcy mógłbyś nie zdecydować się na przyjazd do Ricewood?

- Słusznie. Nawet prawdopodobnie bym się nie zdecydował.

- A widzisz!

- Jednak przy tysiącu funtów... Tak... Właściwie każdy jako tako inteligentny człowiek musiał dojść do wniosku, że tu coś nie jest w porządku.

Gordon popatrzył na niego z ukosa.

- Powiadasz: każdy jako tako inteligentny? - zapytał podstępnie.

- No, tak, bo...

- Poczekaj - przerwał z triumfem. - A ty sam...

Pentham roześmiał się z lekkim zażenowaniem.

- Masz rację. Właśnie ja sam postąpiłem w tym wypadku jak człowiek nieprzeciętnie nieinteligentny. Poszkapiłem. Przyznaję z całą pokorą ducha.

- No, proszę!... Sam poszkapił, a innym... Flo usłyszała tylko ostatnie słowo.

- Kto poszkapił? - nachyliła się ku ojcu.

- Twój oblubieniec, córeczko - podkreślił nie bez zadowolenia.

W fiołkowych oczach błysnęły zaczepne ogniki. - Fe, tatusiu, jak możesz w ten sposób... Reggi nic nie poszkapił. Reggi...

Gordon zatrzęsł się od bezdźwięcznego śmiechu.

- Otóż to: Reggi, Reggiemu, o Reggim i tak dalej - przedrzeźniał. - Od tej chwili - uwaga! Nie tylko komuś nie wolno zaczepiać jego nietykalnej mości pułkownika Penthama, ale on sam też musi podchodzić do swojej szanownej osoby z należytych szacunkiem... W przeciwnym razie ostre pazurki jego małżonki pouczą zuchwalca.

W tej chwili z sąsiedniego salonu popłynęły dźwięki tanga. Dygnęła żartobliwie przed Penthamem.

- Zatańczymy?

Gdy W kilkanaście minut później sir Percy chciał zapytać Penthama o jakąś sprawę nie cierpiącą zwłoki, nigdzie nie można go było znaleźć. Jego uroczej narzeczonej także.

Lindsaya również zaprzęgnięto do poszukiwań.

- Przy pańskim kocim wzroku - usiłował go wbić w ambicję sir Gordon.

Lindsay gorliwie spełnił poruczone zadanie. Przy sposobności zresztą chciał zagadnąć przyjaciela, czy akcje kopalni w Tampico mają jakieś szanse. Rzeczywiście posiadał niemal koci wzrok. Toteż, gdy zabrął w oddalony kąt tarasu, pomimo panującego mroku, bez trudu rozpoznał sylwetki poszukiwanych dezerterów. Trwały jednak tak blisko jedna drugiej, że...

Postąpił parę kroków i zatrzymał się niezdecydowanie. Chrząknął. Potem jeszcze raz, ale o wiele głośniej. Chrząkanie jednak nie wywołało żadnego efektu, choć powtarzał je kilkakrotnie. W końcu wycofał się dyskretnie. Cóż mu zresztą innego pozostało?

- Nie mogłem ich nigdzie znaleźć - zaraportował sir Gordonowi.

- Nigdzie?

- Tak - Lindsay myślał już zresztą o czym innym - Iw ogóle... chociaż chrząknąłem nie zwrócili na mnie uwagi.

- Ach, tak - roześmiał się milioner - rozumiem.

Tym razem śmiech jego zadźwięczał pełną gamą. ___